



WYBORY 2023

**CZYLI GŁOSOWANIE NAD
ISTNIENIEM SUWERENNEJ POLSKI**

**OBŁAWA NA TRUMPA,
KTÓRY ZNÓW ZMIERZA
PO WŁADZĘ**

**W CIENIU TRAGEDII
PYTAMY O SENS
PIELGRZYMOWANIA**

BOGUSŁAW SONIK

**O POPULIZMIE TUSKA
I DRAPIEŹNIKU
SCHETYNIE,
KTÓRY CZEKA,
BY UDERZYĆ**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 33 (507) 2022
16–21 sierpnia 2022

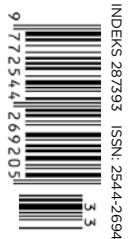
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

BITWA O WĘGIEL

ZA TĄ BATALIĄ KRYJE SIĘ DUŻO WIĘCEJ, NIŻ SĄDZIMY

WICEPREMIER JACEK SASIN ODSŁANIA KULISY



INDeksu 287393 ISSN 2544-2694

9 772544 269205

3 3

*Kup e-prenumeratę
teraz **50%** taniej*

SIECI

Letnie przepisy w prezencie



*aż **60**
przepisów
na lato*



Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl



Co wypada Tuskowi?

Wywiad z Jarosławem Kaczyńskim w tygodniku „Sieci” ustawił polityczną agendę tygodnia. Prezes PiS powiedział słowa oczywiste, wyraził to, co czuje wielu Polaków. Rzeczywiście trudno odbierać działania Unii Europejskiej wobec Polski inaczej niż pozaprawny terror i coraz trudniej to znosić. Czas więc rzeczywiście zacząć nazywać rzeczy po imieniu, a na dalsze próby ograniczania naszej suwerenności odpowiedzieć oporem. Nareszcie skutecznym.

Takie myślenie jest obce Donaldowi Tuskowi, który w czasie, gdy był najważniejszym polskim politykiem, a później odgrywał istotną rolę w Europie, nie miał Polski w sercu. Dlaczego więc dzisiaj miałby nagle się zatroszczyć o ojczyznę? Szef PO pisze więc: „Kaczyński wyciąga nas właśnie z Unii. Konsekwentnie i z uporem maniaka. [...] Wszyscy zwolennicy Unii muszą to wreszcie zrozumieć”. Zauważmy, że nawet w tych krótkich zdaniach znów nie chodzi o Polskę, ale o Kaczyńskiego. Jakże to banalne...

Dzisiaj Tusk martwi się o obecność Polski w Europie. Należy jednak zapytać, jakiej Polski i w jakiej Europie. Co i rusz dostajemy dowody na to, że były premier wrócił do zupełnie innego, lepszego kraju niż ten, z którego zwał do Brukseli w 2014 r. Nie do końca tę zmianę rozumiemy, ale to już jego problem. Inną sprawą jest to, że Europa, z której według Tuska wyciąga nas właśnie Kaczyński, też się zmieniła, ale na gorsze. I o tym rozjeżdżaniu się naszych pól wspólnych mówi Kaczyński w wywiadzie dla „Sieci”. Czy chce Unię opuszczać? Czy chce zawieszenia płatności składek? Nie! A tylko to byłoby realnym wyjściem z UE.

Dzisiaj Tusk nie ma żadnej władzy. Gdy coś od niego zależało w Polsce, uzależnialiśmy się od Rosji i Niemiec. Gdy miał coś do powiedzenia w Europie – wspólnotę opuściła Wielka Brytania. Tyle ma na koncie sukcesów. Wszyscy wyborcy w Polsce powinni to wreszcie zrozumieć. 

Marcin Wikło

Sądy vs. Polska

Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej” – pisał Andrzej Frycz Modrzewski. Dziś słowa królewskiego sekretarza coraz bardziej pozostają już tylko hasłem, znanym głównie z fasady budynku Sądu Okręgowego w Warszawie, a coraz mniej odnoszącym się do obecnej kondycji wymiaru sprawiedliwości.

Nie można wyciągać innych wniosków, skoro sędziowie już bezceremonialnie wystawiają moc i trwałość RP na szwank. Nie da się inaczej traktować wyroku w sprawie Władysława Frasyniuka, który w swoim knajackim stylu wyzywał broniących granicy żołnierzy Wojska Polskiego od śmieci i watahy psów. Uznał, że może sobie na to pozwolić, bo ujdzie mu to płazem. Jak widać, słusznie uznał. Jego uniewinnienie (tak, wiem, formalnie było to umorzenie na roczny czas próby ze śmieszną grzywną 3 tys. zł, ale *de facto* oznaczało uniewinnienie) to wypowiedzenie sądowej ochrony państwu polskiemu.

Wystarczyło kilkadziesiąt godzin, by Frasyniuk dowiódł, że nie zasługiwał na tę pobłażliwość. Oświadczył, że nie żałuje swoich słów. Stwierdził wręcz, że powinien być posunąć się dalej: „Pewnie powiedziałem za mało, nie wstrząsnąłem opinią publiczną”.

Wyrok sądu (kolejny już tego typu) pokazuje, że jak poważnym problemem mamy do czynienia. To zjawisko dużo szersze niż ryszotkowa logorea, na którą cierpi Frasyniuk, a która tak często bierze nad nim górę.

Krzykliwa grupa najzagorzalszych wrogów obecnie rządzących promuje taką postawę: jeśli nie odpowiadają nam demokratycznie wybrane władze, nie identyfikujemy się już z państwem polskim. Przestajemy szanować instytucje, na czele z wojskiem. Tym samym wypowiadają posłuszeństwo nie obecnej sejmowej większości, lecz Rzeczypospolitej.

I jakoś zawsze znajdzie się człowiek z łańcuchem na todze, który otwarty atak na trwałość RP zalegalizuje.

Nic dziwnego, że wizja urzędnika lba tej patologii tak przeraża walczących z Polską zamordystów – i tych w Sopocie, i tych w Brukseli. 

Marek Pyza



40

**Nieszablonowa
ofensywa Ukrainy
na Chersoń**
Marek Budzisz



46

**Unia – chory człowiek
Europy i jej chorzy
władcy**
Dariusz Matuszak



59

**Kiedy w zamku dzieje
się magia**
*Jolanta Gajda-
Zadworna*

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 POLOWANIE NA BRUTUSA**
Krzysztof Feusette
- 9 TYLKO PONIŻAŁ,
CZYLI NIE MA TEMATU?**
Dorota Łosiewicz
- 10 BILANSOWANIE
KABARETOWEJ TREŚCI**
Jan Pietrzak
- 10 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 11 WOJTEK SIKORA**
Bronisław Wildstein
- 12 WALIZKA KASI NOVEJ**
Michał Korsun
- 14 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 15 PODOBNA WALKA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16 TRZY RAZY „S”**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z JACKIEM SASINEM**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

- 26 GRA O WSZYSTKO**
Konrad Kołodziejcki
- 29 Z BOGUSŁAWEM SONIKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 32 WIELKA FRUSTRACJA**
Stanisław Janecki
- 36 REKOLEKCJE W DRODZE**
Goran Andrijanić
- 38 WYJĄTKOWY DAR**
Piotr Filipczyk

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 40 NIESZABLONOWA OFENSYWA
UKRAINY NA CHERSOŃ**
Marek Budzisz
- 43 „UKROPY, PODDAJCIE SIĘ!”**
z Oleksandrem Palii rozmawia
Jakub Augustyn Maciejewski

OPINIE

- 46 UNIA – CHORY CZŁOWIEK EUROPY
I JEJ CHORZY WŁADCY**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

- 50 W KAŻDYM JEST PIĘKNO**
Piotr Słabek

ŚWIAT

- 54 PRZEMYSŁ POGARDY PO WŁOSKU**
Włodzimierz Rędcioch

56 OBLAWA NA TRUMPA

Jan Rokita

SIECI KULTURY

- 59 KIEDY W ZAMKU DZIEJE SIĘ MAGIA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 63 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 64 WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ**
Goran Andrijanić
- 66 WROGOWIE I FIDES, I RATIO**
Robert Tekieli
- 67 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 68 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

EUROPA DLA CIEKAWYCH

- 70 LA MANCHA**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

- 72 MOJE SMAKI: DYKTATORZY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 74 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

SPORT

- 75 O CO CHODZI W TEJ PIŁCE?**
Cezary Kowalski

NA KONIEC

- 76 CYFROWE ZOMBI**
Hanna Karp
- 78 SIERPNIOWE DNI**
Alina Czerniakowska
- 79 IDIOKRACJA**
Wiktor Świetlik
- 79 SKOWRON – GENIUSZ JAZZOWYCH
KLAWISZY**
Adam Ciesielski
- 80 ZŁOTÓWKA DLA ONYCH**
Piotr Cywiński
- 80 WOLNOŚĆ**
Lech Makowiecki
- 81 TE „WIERZĄCE WOJENNE”**
Leszek Długosz
- 82 TĘCZA TO KRÓTKOTRWAŁA MGIEŁKA**
Katarzyna Zybortowicz

Nowe wydanie w kioskach!



Ucieczka przed biedą
– pomysły na polski kapitał

Syrena
– najdłużej produkowane
polskie auto

Sport za komuny
– jak zawodnicy uciekali
z PRL?

Zamów e-prenumeratę **wSIECI** i **HISTORII**
50% taniej!

Wejdź na www.SiecPrzyjaciol.pl



Sygnalista nadaaje

„Polska przypomina wrzeszczącego bachora, którego trzeba wystawić za drzwi, i tak zostanie uczynione” – powiedział na antenie TVN24 **Leszek Miller**, odnosząc się do sporu polskiego rządu z Komisją Europejską w sprawie wypłaty pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. Kto raz najął się do służby obcym mocarstwom, kto przez dekady pracował na rzecz zniewolenia Polski, ten po zmianie ustroju zazwyczaj instynktownie szuka nowego pana, któremu mógłby czyścić buty, oczywiście nie za darmo. Ale to także cena za połowiczny przełom 1989 r. Nieodpowiedziane rewolucje mają swoje bardzo brzydkie echo.

Byłemu szefowi SLD i byłemu premierowi odpowiedział premier Mateusz Morawiecki: „Pan Leszek Miller to komunista, postkomunista, nawykły do tego, żeby przytakiwać Moskwie, zgadzać się we wszystkim z Rosją, Kremlu. To jest ta wyuczona podległość wobec Wschodu, Rosji, która do dziś drzemie w głowie i niestety sercu pana Leszka Millera. Ale mamy w tej egzotycznej koalicji także drugą część, mianowicie liberalów. I oni są przyzwyczajeni do potakiwania wobec Brukseli, zgadzania się z wszystkim, co mówi Berlin czy Bruksela”. Coraz trudniej rozróżnić jednych od drugich. Pewnie dlatego, że ani jedni, ani drudzy nie traktują poważnie swoich haseł, skupiając się na walce o namiestnicze fotele.

Brukseli potakuje **Donald Tusk**, który tak skomentował wywiad Jarosława Kaczyńskiego dla tygodnika „Sieci”: „Kaczyński wyciąga nas właśnie z Unii. Konsekwentnie i z uporem ma-

niaka. Wszyscy zwolennicy Unii muszą to wreszcie zrozumieć. Słowa PiS o armatach i ogniu zaporowym przeciw Brukseli brzmią groteskowo, ale wiercie mi – tu już nie ma się z czego śmiać”. Faktycznie, nie ma z czego. Zwolennicy likwidacji polskiej suwerenności wyraźnie się śpieszą, by zrealizować swój cel i na zawsze sprowadzić nasz kraj do roli niemieckiego landu. I trudno im się dziwić: jeszcze parę lat polityki niepodległościowej i przełamiemy dziedzictwo rozbiorów. Stawka wyborów 2023 r. będzie gardłowa.

Posel Lewicy Maciej Kopiec wypowiedział się w sprawie reparacji w duchu separatyzmu śląskiego: „Mieszkańcy ziem utraconych przez Niemcy po II wojnie światowej powinni domagać się od państwa polskiego reparacji za zniszczony przemysł, infrastrukturę i zabytki architektury, które jako »niepolskie« od zawsze były przez Polskę traktowane jako gorsze i niewarte zainteresowania”. Posel w mediach społecznościowych przedstawia się tak: „Ślązak. Europejczyk. Ekonomista i przedsiębiorca. Posel z Rybnika”. Narodowości nie podał, ale nietrudno zgadnąć, co wybrał.

Barbara Kurdej-Szatan, która w czasie kluczowej batalii o granice nazwała polskich obrońców granic mordercami, gościła na festiwalu Jerzego Owsiaka. Jedno z pytań zadał mężczyzna, który przedstawił się jako żołnierz. Zarzucił aktorze, że od rana pije ona kawę, podczas gdy on musi bronić granicy z Białorusią. Aktorka odpowiedziała tak: „W prawie europejskim

W najnowszym sondażu dotyczącym obronności CBOS zapytał respondentów, czy w czasie pokoju należy w Polsce przywrócić powszechny pobór do zasadniczej służby wojskowej. Odpowiedzi robią wrażenie: za powrotem poboru opowiada się łącznie 54 proc. respondentów. Przeciw jest 39 proc. badanych. Brawo, Polacy. Warto o tym myśleć także ze względów wychowawczych. Potrzebujemy prawdziwych mężczyzn, a o tych – nie ma co ukrywać – coraz trudniej.

jest napisane, że zadań, które są niezgodne z prawem, żołnierz nie musi wykonywać. Bo są niezgodne z prawem. [...] Wiem, że dla tych żołnierzy będą to wieloletnie traumy. Założyłam dla nich telefon zaufania. Trzymam za nich kciuki. Nie pojmuję zła i nie rozumiem, dlaczego niektórzy zmuszają tych żołnierzy do robienia takich strasznych rzeczy". Niech pojedzie do Buczy, to może zrozumie. Ale też wątpliwe.

Wrocławski sąd warunkowo umorzył sprawę **Władysława Frasyniuka**, który znieważył polskich żołnierzy broniących granic, mówiąc: „To jest wataha psów”, „Śmiecie po prostu”. Zareagował minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, stwierdzając: „Polski żołnierz, pamiętaj, żaden śmieć nie jest w stanie cię obrazić. Bronisz nas, naszych dzieci, domów, ojczyzny. Na polskie sądy może nie masz co liczyć, ale na Polaków zawsze. Jesteśmy z ciebie dumni. Chwała ci, polski żołnierzul”. Media opozycyjne zawyły, przy okazji manipulując. Sytuację przedstawiano tak, jakby słowo „śmieć” skierowane pod adresem Frasyniuka wzięło się znikąd, a nie było cytatem z jego własnej wypowiedzi. Ale najważniejsze jest to, że o ile pierwsze użycie słowa „śmieć” przez Frasyniuka było haniebne, to w przypadku wypowiedzi Ziobry rzecz ujęto adekwatnie.

Obrońcy Frasyniuka zgodnie z przewidywaniami przywołali jego działalność w latach 80. „Władek Frasyniuk zawsze będzie bohaterem polskiej wolności”, „Minister sprawiedliwości o bohaterze narodowym. Podłość”, „Zbigniewie Ziobro, nazwałś Władysława Frasyniuka śmieciem, nie zbliżaj się do Wrocławia”. Czy jednak fakt, że Frasyniuk kiedyś walczył z komuną, usprawiedliwia wszystko? Oczywiście nie. Poza tym każde pokolenie ma prawo do walki o wolną Polskę. Kombatan ci, którzy porzucili dawne sztandary lub podmienili wypisane na nich hasła, sami depczą swoją przeszłość.

Jeden z internautów zestawił prognozy, które przez lata snuł Leszek Balcerowicz. I tak w 2013 r. przestrzegał: „Grozi nam węgierski scenariusz”. Dwa lata później, atakując PiS, przekonywał: „Grozi nam grecki scenariusz”. Miesiąc temu ostrzeżenie brzmiało tak: „Głapiński myśli, że NBP jest jak FED, a grozi nam scenariusz turecki”. W końcu lipca znów wróciła Grecja: „Balcerowicz krytykuje opozycję za wyścig na populizm i ostrzega przed scenariuszem greckim”. Żaden ze scenariuszy nie został zrealizowany. Dlaczego? Bo tym razem gramy według scenariusza polskiego, napisanego dla Polski i w jej interesie.



W mediach opozycyjnych ogłoszono narodowe zaciskanie pasa. Aktor Borys Szyc opowiedział „Wyborczej” o swoich rozterkach w kontekście turbulencji gospodarczych: „Przez kilka miesięcy próbowałem nie przejmować się wzrostem cen, czyli oszukiwać sam siebie, ale dalej już nie da rady. Mamy dom zasilany gazem i prądem, więc z miesiąca na miesiąc coraz mniej nam zostaje na życie. Odpuszczam postanowiony wcześniej remont. Materiały budowlane zdrożały co najmniej dwa razy. Może za rok ceny spadną?”. Wakacje aktorspędzina Mazurach: „Wakacjespędzamy w kraju, a nie – jak bywało – za granicą, jednak grzeszyłbym, narzekając. Kocham Mazury, widzę przy tym, jak pusto się tutaj zrobiło. Kiedyś były ceny warszawskie i mazurskie – teraz jest równie drogo tu i tam. Ludzi nie stać już nie tylko na luksusy typu czartery jachtów, ale i na noclegi”. Cieszy kurs na solidarność ze społeczeństwem. Może przyniesie jakąś głębszą refleksję w środowisku aktorskim?

Ważna figura Platformy Obywatelskiej Iwona Szymańska-Piękuta zapowiada rozprawę z TVP: „Jedno jest pewne – taka telewizja, obrzydliwa, wstrętne propaganda szczująca ludzi jednych na drugich, nie może istnieć ani pięć minut po wygranych wyborach. Zapewniam, że są w PO osoby, także pani marszałek Kidawa-Błońska, które się tym zajmują. Mamy rozwiązanie tego. Zrobimy to w taki sposób, żeby ludzie nie dezinformować, nie szczuć ani nie zalewać ludzi propagandą, tylko dostarczać im informacji”. Marzenia o powrocie monopolu informacyjnego, jak widać, wciąż są żywe w Platformie. Trudno się dziwić: to partia, która w warunkach pluralizmu czuje się zagubiona niczym emigranci z PRL w zachodnich supermarketach.

Były rzecznik praw obywatelskich **Adam Bodnar** na łamach „Gazety Wyborczej” zajął się prawem obywateli do węgla: „Prawo do węgla można odczytać z konstytucji, ale nie bezpośrednio, lecz jako konsekwencję obowiązku przestrzegania niektórych praw i wolności człowieka i obywatela, a także szczególnego traktowania niektórych grup społecznych. [...] Art. 66 ust. 1 mówi o prawie do bezpiecznych i higienicznych warunków pracy. Bez ogrzania zakładów pracy nie można tego obowiązku zrealizować. Z kolei art. 68 ust. 1 gwarantuje prawo do ochrony zdrowia. Trudno sobie wyobrazić realizację tego prawa, jeśli szpitale czy przychodnie byłyby nieogrzane”. Jeszcze parę miesięcy temu Konstytucją RP uzasadniano raczej konieczność likwidacji kopalń i przejścia wyłącznie na zieloną energię. Elastyczność interpretatorów ustawy zasadniczej może imponować.

Polowanie na Brutusa



KRZYSZTOF FEUSETTE

– *Halo, słucham...*
 – Cześć, Grzegorz! Mogę do ciebie mówić „Grzesiu”?
 – *Dawno i nieprawda. Śpię trochę. A co sprowadza pana przewodniczącego o trzeciej w nocy?*
 – Dzwonię z krótkim pytaniem. Grzesiu, co wy tam palicie?
 – *Ja? Radomskie. Ale jak pan przewodniczący woli, to Franz ma camelę.*
 – Timmermans jest u ciebie?
 – *Nie, no, wygłupiam się. „Psy” cytowałem.*
 – Aha. To co knujecie?
 – *Ale z kim?*
 – Widzisz, k...a, nie zapytałeś o knucie, tylko ci się skład osobowy nie podoba. Sam na siebie wydałeś wyrok. Będziesz do końca życia Jachirę niańczył i ze Sterczewskim na rower wychodził.
 – *Ale o co chodzi? O jakim knuciu pan przewodniczący mówi? U nas w partii?!*
 – Nie rzuć Szłapki, Grzesiu. Myślisz, że ja gazet nie czytam? Spiskujecie z Rafałem jak hieny!
 – *Czyli że nad grobem? No, jak tak można, panie przewodniczący, o własnej karierze, która przecież po powrocie rozkwitła pełnią poglądów i zapachów...*
 – I to was boli, patalachy. Hołownia wam marsza pogrzebowego grał, to musiał wujek Donald z Brukseli przyjechać? A teraz wam się partia matka marzy?
 – *Ale komu? Ja nic nie wiem. To znaczy tyle, co czytałem w tabloidach. Że potwór z Loch Ness. Ogórkowy temat i tyle.*
 – I tyle, k...a?! Tyle masz do powiedzenia, potworze? Będziesz miał Loch Ness, jak nikt z twoich na listy nie wejdzie! Rafał też ma przekichane!
 – *Panie przewodniczący, tak nie można. Należy przyjrzeć się sprawie na zimno. Kto miałby największy powód, by knuć? Ktoś jak my z Rafałem, syci i zadowoleni, czy raczej ten, kogo ambicje sięgały zbyt wysoko? A kogo pan przewodniczący jednym przewrotem obalił jak wieżę z klocków? Zapytam inaczej: czy pan przewodniczący ma wrogów?*
 – Ochłoń, Grzesiu, zanim się zmęczysz. Tak ci wierzę jak we własne obietnice. Żebyście się z ręką w Czajce nie obudzili. Bo ja wróciłem na 100 proc.! To policzcie sobie, ile zostaje dla was.
 – *Powtórzę: ktoś wprowadza naczelne kierownictwo w błąd, a to gorzej niż zbrodnia. Ja jestem za stary na rewolucje kadrowe, a Rafał za młody. Tropy wiodą zatem w zupełnie innym kierunku, dużo bliżej pana przewodniczącego...*
 – Czyli?
 – *Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jak donos, zwłaszcza że dowodów nie ma żadnych. Jednak w obliczu oskarżeń wobec mojej osoby czuję się zobowiązany przekazać na ucho pana przewodniczącego wynik pewnych obserwacji.*
 – I tak ci nie wierzę. Ale mów.
 – *Wydaje mi się, że Borysław śmierdzi.*

– Słucham?
 – *Brzydko pachnie. Łysy.*
 – Co to znaczy?
 – *To znaczy, że widziano go z ludźmi, którzy mogliby chcieć dokonać, że tak powiem, poważnego przewrotu na szczytach naszej formacji.*
 – Nazwiska?
 – *Nieznane. Za to wiadomo, że laził potem po toaletach i mówił, że będzie chodził na urodziny, do kogo chce i kiedy chce. I że nam szczęki opadną, jak on znowu będzie tym, kim będzie...*
 – Powiedział „znowu”?
 – *Siedem razy. Obawiam się, że mu odbiło. A to jest człowiek, który nie cofnie się przed niczym.*
 – Czyli na polaryzację jest dobry.
 – *Polaryzacja już nie żre.*
 – Jak to?
 – *No, niestety. Ładnie żarła i zdechła. To znaczy na tyle, żeby z Szymonka powietrze spuścić, to wystarczy, ale żeby wybory wygrać?*
 – To dlaczego nikt mi nie powiedział?!
 – *Czego?*
 – Żeby nie gadał o sznurze i galezi! O tym, że PiS to zło! Że kto wierzy w Boga, ten na nich nie głosuje! A ty mi teraz mówisz, że ta pauperyzacja nie żre?
 – *Polaryzacja. Przepraszam, a czy to ja pana przewodniczącego na lotnisku witalem? Ja fotel lidera oddałem w pozycji leżącej? Tylko ktoś naiwny mógł myśleć, że ten mały, zawistny człowiek zapomni, iż pozabawiono go korony, którą wcześniej sam wydarł podstępem.*
 – To mówisz, że niby Gomułka, atak naprawdę kuty Chruszczow?
 – *Właśnie. Dłużej nie mogłem milczeć, choć wiem, jakie nadzieje wiązał pan przewodniczący z tą osobą.*
 – Bez przesady. Pobiegam sobie z Pomaską. To mówisz, że gadał?
 – *I co drugie zdanie: „Tusk to, Tusk tamto”. Jeszcze żeby pozytywnie mówił, prawda? Na przykład: „Wrócił, pokonał Hołownię, z zawodu prezentera TVN, a potem przewrócił Budkę i przywrócił nadzieję. Że można wygrać. I że trzeba nam wszystkim jednej listy, bo dwie są złe, a trzy bez sensu...”*
 – Wystarczy. Nie w nocy. Zapamiętaj, Grzesiu, każdy wyborca ma jeden głos, ale każdy wybierany ma tylko jedno miejsce. W sercu układającego listy. Dlatego powtarzam: jedna opozycja, jedna lista, jeden lider. Rozumiesz?
 – *O, to, to. Dokładnie to samo z Rafałem mówimy. Potrzeba lidera.*
 – No, właśnie! Cieszę się, że się zgadzamy... Zaraz, ale jak to „potrzeba”? Przecież on już jest! Halo? Halo, Grzegorz...!
 – *„Heloł, siema, cześć, tu Grześ! Nie mogę odebrać telefonu, gdyż układamy z kolegą listy. Zostaw wiadomość po sygnale...”*
 – Halo?! Słuchać mnie?! Jakie, k...a, listy? Już możecie się pakować! Nagrywa się? To dobrze, bo podaję nazwiska członków partii usuniętych z ramienia! Albo nie! Wszyscy won! Z dniem wczorajszym!

Agata Staniszevska, rzecznik prasowa Agory, kilka dni temu poinformowała, że wyniki kontroli Państwowej Inspekcji Pracy nic nie zmieniły i Tomasz Lis nie wróci na antenę Radia TOK FM, gdzie był zapraszany m.in. do „trzódki”. Jednak odmienną opinię wyraził Jacek Żakowski. Jego zdaniem Tomasz Lis powinien wrócić, jeżeli do końca wakacji nie potwierdzą się żadne nowe zarzuty.

Przypomnijmy, że niedługo po tym gdy w maju zarząd Ringier Axel Springer Polska i Tomasz Lis nagle zakończyli współpracę, Szymon Jadczał na wp.pl opublikował tekst, w którym opisywał, jak dziennikarze „Newsweeka” od lat zgłaszali w wydawnictwie RASP, do którego należy tygodnik, niewłaściwe zachowania swojego szefa. Według publikacji Tomasz Lis, gdy był w dobrym nastroju, miał na kolegiach opowiadać świńskie, pełne seksualnych odniesień kawały. Gdy jednak humor mu nie dopisywał, wyśmiewał zgłaszane tematy, używał wulgarnego języka, a jego zachowania wobec podwładnych były po prostu skandaliczne. W kolejnych tygodniach w mediach społecznościowych pojawiały się kolejne opisy zwyczajnie niewłaściwych i chamskich zachowań byłego redaktora naczelnego „Newsweeka”.

Uwagę opinii publicznej zwrócił także fakt, że wobec Lisa podjęto natychmiastowe działania, choć problem mobbingu zamiatano pod dywan od lat. Sam Mark Dekan, prezes RASP Polska, napisał list do pracowników firmy, w którym zasugerował, że mogło chodzić o coś więcej niż o mobbing: „Chcilibyśmy Was zapewnić, że każdorazowo w przypadku zarzutów dotyczących niewłaściwych zachowań, natychmiast podejmujemy działania, ustalamy fakty, a nasza reakcja jest zawsze adekwatna do stopnia stwierdzonych naruszeń. Jeżeli w toku postępowania zostają potwierdzone niewłaściwe zachowania, takie jak mobbing lub molestowanie, podejmujemy natychmiastowe i zdecydowane działania. [...] Ważna jest dla nas dyskrekcja, gdy zwracacie się do nas z delikatnymi tematami”.

Cień podejrzeń, że sprawa „zwykłego” chamstwa i mobbingu to jeszcze nie jest koniec afery wokół Lisa, rzucił także sam Jacek Żakowski, publicysta Radia TOK FM, w wydanym po zwolnieniu Tomasza Lisa oświadczeniu: „Warszawa huczy od

Tylko poniżał, czyli nie ma tematu?

Tomasza Lisa z zarzutów o mobbing nie oczyściła także Państwowa Inspekcja Pracy, która odniosła się głównie do wewnętrznych procedur w RASP

plotek o tym, co jeszcze się w jego sprawie okaże. Biorę pod uwagę, że może się okazać coś, co uniemożliwi jego publiczną obecność. Na razie nic takiego nie wiemy”. Dziś ten sam Żakowski oświadcza: „W tekście Jadczała, który moim zdaniem nie kwalifikował się do publikacji ze względu na jednostronność i powierzchowność, ale się ukazał, padło słowo »mole-

stowanie«. To jest strasznie poważny zarzut, śmiertelny zarzut. To było słowo, które spowodowało, że ja podjąłem decyzję, że chwilowo nie mogę Tomka zapraszać. Ale w żaden sposób to nie zostało w dalszym ciągu uprawdopodobnione”.

Dziennikarze dotarli także do informacji, o czym pisaliśmy z Markiem Pyzą w jednym z lipcowych numerów tygodnika „Sieci”, że iskrą, która zmusiła władze koncernu do reakcji i zwolnienia Lisa, były dużo poważniejsze oskarżenia niż te dotyczące mobbingu. W ostatnich miesiącach do działu HR spółki miała zgłosić się dziennikarka o imieniu K. i poinformować o niewłaściwych zachowaniach przełożonego. Doniesienia K. wówczas zlekceważono. Być może to mieli na myśli Dekan i Żakowski. Do opinii publicznej dotarły także informacje o dwuznacznych SMS-ach, które miał do podwładnej wysyłać Lis.

O niewłaściwych, trwających latami zachowaniach Lisa pisał także w pierwszym wstępie Tomasz Sekielski. Nowy naczelny „Newsweeka” obwieścił, że nie zamierza udawać, iż nic się nie stało. „Nie będę [...] udawał, że Tomek był moim ulubionym szefem. Jego styl zarządzania redakcją opierał się raczej na używaniu kija niż marchewki. Wybuchy złości, niestająca presja sprawiały, że nie wszyscy wytrzymywali tę swoistą tresurę”.

Co więcej, Lisa z zarzutów o mobbing nie oczyściła także Państwowa Inspekcja Pracy, która odniosła się głównie do wewnętrznych procedur w RASP. Jeśli zaś chodzi o zarzuty związane z mobbingiem, to inspektorzy przeprowadzili anonimową ankietę, do której zaproszono 30 pracowników. Aż 22 odmówiło w niej udziału. Sześciu nie zgłosiło zastrzeżeń do byłego naczelnego, a zrobiło to dwóch. Dlaczego tak wielu pracowników odmówiło?

Dziś Tomasz Lis stroi się w szaty ofiary, a Jacek Żakowski nie widzi problemu i uważa, że osoba, która znęcała się psychicznie nad współpracownikami (często kobietami), może wciąż komentować rzeczywistość z perspektywy autorytetu. Tylko poniżał, czyli nie ma tematu?

Dorota Łosiewicz





**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bilansowanie kabaretowej treści

Grubsza awanturka powstała w związku z jakimś kabaretem, do której się nie wtrącam, by nie być oskarżony o starczą niechęć do rozpasanej młodości. Padło tam jednak moje nazwisko i nie wypada chować się do szafy, będąc wywołanym do tablicy. „Dopiero Jan Pietrzak zrobił z kabaretu narzędzie propagandy. Wcześniej pilnowaliśmy tego, aby treść była bardziej zbilansowana” – powiedziała wieloletnia telewizyjna protektorka środowiska „młodych kabaretów”, zwana Becią. Interesuje mnie liczba mnoga: „pilnowaliśmy”. Korzystając z okazji, byłoby miło dowiedzieć się, kto dokładnie zastąpił w III RP cenzurę i SB w bilansowaniu treści. Becia to jest zbyt mały pikus, by decydować, jaką twórczość nazwać kabaretem, a co rozrywkową sieczką. Tęgi trust mózgów musiał kierować tą operacją specjalną, by Kabaret pod Egidą zlikwidować pod fałszywym pretekstem propagandy. Może to zabrzmieć nieprzyjemnie, ale jednak PRL zachowywał się w tych sprawach z większym profesjonalizmem. Jak im coś nie pasowało, mieli odwagę to sformułować.

Kilka cytatów o Egidzie z akt IPN: „Całość programu dyskredytowała, ośmieszała, wyszydzała i poniżała PZPR, ustrój socjalistyczny, organy ścigania”. „Krytykuje i ośmiesza się władze, najczęściej w sposób złośliwy”. „Socjalizm jest jak papier toaletowy, ciągle się rozwija i zawsze do d...”. „Wypaczenia tak! Socjalizm nie!”. O czym świadczą akta z IPN? Że mój zespół nie był podróbą, lecz prawdziwym kabaretem w warunkach skrajnie trudnych, odsłaniającym prawdę o paskudnym, durnym ustroju. Sztuka, nie tylko kabaretowa, polega na poszukiwaniu, ujawnianiu prawdy o ludziach, społeczeństwach, zwłaszcza w czasach zniewolenia. A propaganda z założenia służy oglupianiu ludzi, pani Beciu.

Znienawidzona przez media PRL, pieśń „Żeby Polska była Polską” jest do dziś zakazana w wielu środowiskach, ponieważ jest zapisem polskiego marzenia o niepodległości. Cenzury niby nie ma, a zakaz działa. Nie ma również drwin o rządach Tuska, Komorowskiego, Bolka i Olka. Nie ma skąd zacytować. III RP doszła do wniosku, że zamiast urzędu cenzury taniej wyjdzie utrzymywanie różnych takich Beć pod przykrywką kabaretowej reżyserii.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Śmierć i polityka

Nie ma niepolityki. Wszystko jest polityką” – tłumaczy Hansowi Castorpowi, głównemu bohaterowi Mannowskiej „Czarodziejskiej góry” jeden z jego intelektualnych uwodzicieli, Lodovico Settembrini, liberał i wolnomysliciel. Przez wiele lat dorastałem do tej – jak niektórzy twierdzą – najnudniejszej książki świata. Ulubionej powieści mojej śp. Mamy, która bezskutecznie namawiała mnie do jej dokończenia. Próbowalem wiele razy, zazwyczaj kończyło się na kilku rozdziałach. Wciąż myślałem, że za głupi, za mało odczytany jestem, żeby fascynować się dylematami Castorpa, polemikami Settembriniego z Naphtą.

Chyba jednak nie o to chodziło. To pewnego rodzaju dojrzałość, którą mogły przynieść tylko umykające lata życia, dały mi szansę na udział w tej fascynacji. Przeczytana po pół wieku życia powieść okazała się głęboka i sprawiająca wiele przyjemności – jak to z wielką literaturą bywa. Świeża i szokująco aktualna, bo intelektualny spór, o którym opowiada, nadal tocimy.

W jednym z ostatnich wydań najważniejszej polskiej gazety opublikowano wspomnienie o dyrektorzce warszawskiego liceum, który zginął podczas wspinaczki w Tatrach. Długi tekst, całostronicowy, ale nie dowiemy się z niego, jakim był administratorem, jakim szefem, a nawet tego, jakim był pedagogiem.

Czy był kompetentny, czy dysponował odpowiednią wiedzą i umiejętnościami.

To dla gazety nie ma znaczenia. Pan dyrektor był wspaniały, bo przeciwstawił się rządowi i wspierał akcje lansujące ideologię LGBT+. Oraz był odważny, bo głosił, wzywał do oponowania wobec władzy (co akurat w jego środowisku raczej nie było objawem nonkonformizmu).

Czy to naprawdę może świadczyć o wartości człowieka? Czy nie lepiej sprawdzić i napisać, że był uczciwym obywatelem, dobrym ojcem, wiernym mężem? Czy powinniśmy oceniać człowieka w kilka dni po jego śmierci tylko przez pryzmat wyznawanej przez niego ideologii? I czy to nie pomysł ryzykowny, bo może zmarły nauczyciel zyskać uznanie jednych, ale jednocześnie wzbudzi gorącą niechęć innych?

W obliczu śmierci człowieka to nader prostacka narracja z użyciem politycznych argumentów o konstrukcji cepa. Zabrakło tylko stwierdzenia, że dyrektor zginął, bo był wrogiem władzy. A może i ta władza miała udział w tej sprawie? „Wszystko jest polityką” – mówił w powieści Manna wolnomularz Settembrini. Ale czy naprawdę tak być powinno?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wojtek Sikora

Trudno pogodzić się ze śmiercią. A przecież z wiekiem przyzwyczajamy się do niej. Kiedy jednak odchodzi ktoś bliski, świadomość jego nieobecności okazuje się znowu tak dojmująca jak pustka po wszystkich minionych odejściach ludzi, którzy dzielili nasze losy. Teraz, kiedy umarł mój przyjaciel Wojtek Sikora, ciągle nie potrafię wmontować tego faktu w świadomość. Mimo że przez ostatnie lata nasz kontakt był sporadyczny i sprowadzał się głównie do telefonicznych rozmów.

Chciałem spotkać go, kiedy ostatni raz byłem w Paryżu, ściągnięty tam ciężkim stanem naszej francuskiej przyjaciółki. Okazało się jednak, że zbiegiem okoliczności właśnie wtedy musiał pojechać do matki, do Krakowa.

Odwiedziłem Maison-Laffitte, siedzibę Instytutu Literackiego, wydawcy „Kultury”, którego dyrektorem po śmierci Henryka, brata Jerzego Giedroycia, był długie lata Wojtek. Willa, stanowiąca centrum życia tej instytucji, zarówno mieszkania jej twórców, jak i miejsca ich pracy, była dziwnie pusta. Urzędowała w niej tego dnia wyłącznie następczyni Wojtka, Anna Bernhardt, która na zawsze pozostanie dla nas Oleńką, bo tak nazywaliśmy ją w Studenckim Komitecie Solidarności. Kilka lat działalności tego najważniejszego ośrodka przedsierniowej opozycji w Małopolsce scementowało naszą przyjaźń. W ciągłym zagrożeniu musieliśmy polegać wyłącznie na sobie, a doświadczenia sprawdzały międzyludzkie relacje. W większości wypadków mimo różnic, które naturalnie wraz z biegiem czasu zaczęły nas dzielić, przyjaźń z tamtego czasu przetrwała.

Wojtek, młodszy ode mnie o cztery lata, był ważnym i aktywnym działaczem opozycji. Był m.in. przedstawicielem podziemnego pisma „Robotnik”, co oznaczało także jego większe zaangażowanie w tamtym środowisku. Razem z paroma przyjaciółmi wydawaliśmy inny nielegalny periodyk, „Sygnał”, i robiliśmy, co mogliśmy, by przeciwstawić się groteskowemu koszmarowi PRL.

Minionego listopada piliśmy kawę z Oleńką i jej mężem w Maison-Laffitte, w salonie willi, w której poza nami i duchami miejsca nie było nikogo. Patrzyły na nas obrazy Czapskiego, Lebensteina, fotografie twórców „Kultury”, przez przeszkłone ściany raziło prawie białe słońce późnej jesieni i oczywiste było, że ten dom odszedł już do historii, a obecność badaczy i archiwistów, którzy w pawilonach wokół willi katalogowali i opracowywali minione dzieje, wzmacniało tylko to odczucie. Nie mogłem opędnąć się od wrażenia, że także my, którzy osobiście znaliśmy twórców Instytutu zapadamy się w przeszłość. A przecież gdyby ktoś mi powiedział, że Wojtek umrze za kilka miesięcy, nie uwierzyłbym.

Stan wojenny dopadł nas za granicą, mnie w Holandii, Wojtka w Paryżu. Niedługo i ja przybyłem do stolicy Francji, gdzie wspólnie robiliśmy „Kontakt”, założony przez Mirka

Chojeckiego miesięcznik Solidarności, który był nie tylko pismem, ale i ośrodkiem nowej emigracji na Zachodzie. Z czasem Wojtek coraz bardziej wiązał się z „Kulturą” i dlatego, kiedy ja wróciłem do Polski, on został we Francji.

Jego szacowny wizerunek jako spadkobiercy Giedroycia wchodził niekiedy w kolizję z obrazami nieco awanturniczego młodzieńca z lat 70., bo przecież nasz życie nie redukowało się wyłącznie do politycznego zaangażowania. Przypominam sobie Wojtkę, w trakcie juwenaliów zrywającego ze ściany gaśnicę pianową i rozpraszający nią ogromną kolejkę, która formowała się po świeżo dowieszone piwo. Gaśnica czas jakiś pozwalała mu opierać się gniewowi poszkodowanych, ale piana się skończyła i trzeba było bronić Wojtkę przed rozjuszonym tłumem. Myślę, że i on mógł mieć poczucie dysonansu różnych wcieleń, którymi obdarzało nas przeznaczenie.

Najbardziej pamiętam go z pierwszego września 1980 r. Siedzieliśmy we trzech z Andrzejem Mietkowskim na Montelupich z sankcjami, czyli uwięzieni do procesu pod zarzutami, z groźbą kary śmierci włącznie. Siedzieliśmy osobno, mocno izolowani, nie wiedząc, co dzieje się na zewnątrz. niespodziewanie przed południem zostałem wyprowadzony z celi i dopiero eskortowany do bramy wyjściowej zorientowałem się, że wychodzę na wolność. Andrzej stał na zewnątrz, pod murem. Czekaliśmy na Wojtkę. Wreszcie metalowa brama z hałasem otworzyła się i w ciagle jeszcze letnie słońce wszedł Wojtek ze swoim specyficznym uśmiechem, wpinając kolczyk w ucho.

W tamtym czasie w PRL noszenie przez mężczyznę kolczyka było wyjątkowo ekscentryczne, toteż kiedy aresztowali nas, a zdarzało się to dosyć często, pierwszą reakcją na ozdobę Wojtka był rechot: „Zobacz, k...a, kółko sobie w ucho wprawił!” – a kolczyk wędrował do depozytu.

Obraz Wojtka pod bramą więzienia w jaskrawym świetle dnia wpinającego kolczyk w ucho pozostał dla mnie wizerunkiem nowego czasu, entuzjastycznego, gwałtownego i dramatycznego, który mimo wszystkich ponurych perturbacji oznaczał koniec komunistycznego zamknięcia.

Wojtek, emisariusz wolności. Tak pozostał nie w mojej pamięci. 





Walizka Kasi Novej

piosenkarki

Jestem domatorką uzależnioną od podróży. Kiedy zbyt długo przebywam w jednym miejscu, ciągnie mnie do wojaży, które wywołują u mnie katharsis. Uwalniam i oczyszczam się z nagromadzonego stresu, niepotrzebnych emocji, gdyż przenoszę się w inną rzeczywistość, poznaję nowe środowisko, nowych ludzi. Mam ogólnie szczęście do ludzi i z moich różnych podróży bliższych i dalszych przywożę nie tylko wspomnienia, ale przede wszystkim inspirujące znajomości, które pielęgnuję latami.

Lubię wracać w miejsca, które znam i w których bardzo dobrze się czuję, jak Włochy, Grecja, USA. Miesiąc temu spełniłam swoje marzenie o żeglowaniu. Zorganizowałam ekipę przyjaciół i wraz z zawodowym kapitanem żeglaliśmy ponad tydzień po Zatoce Saronijskiej w Grecji. Tydzień non stop na morzu odcina od wszystkiego. Z racji wykonywanego zawodu mogę często połączyć wyjazd na koncert z odpoczynkiem, zwłaszcza jeśli występ odbywa się w jakimś kurorcie nad morzem czy jeziorem. Ostatnio debiutowałam na 41. Pikniku Country w Mrągowie nad jeziorem Czos. Po koncercie mogłam troszkę skorzystać z mazurskich uroków.

MOJE PŁYTY

Dla moich fanów po koncercie. Ta, którą widzicie, to singiel „Zamykam serce”. W tym roku zamierzam wydać kolejny singiel, który będzie dumnie się prezentował w mojej walizce.



STATYW DO TELEFONU

Praktycznie non stop nagrywam na swoje social media jakieś relacje. Albo jest to zapowiedź wydarzenia albo live z koncertu. Ponieważ nie zawsze mam przy sobie ekipę z kamerą, mój zestaw pozwala mi być samowystarczalną.



OKULARY

Mam ich spory zestaw, bo przecież nigdy nie wiadomo, które akurat będą mi pasowały. Jestem uzależniona od dokupywania nowych par, ale często je gdzieś zostawiam, więc równowaga jest zachowana.

KOSMETYKI

Mam perfumy, które zostały ze mną na dłużej – Chanel Chance. Są świeże i zawsze mi poprawiają humor. Obecnie wakacyjny ulubiony kolor na paznokciach to pomarańcz. Ekspresowe serum z witaminą C do twarzy lubię nałożyć na noc i rano tuż przed zrobieniem make-upu.



CZARNE SZPILKI

Moje must-have. Pasują do wszystkiego: dzinsów, sukienki, szortów i kostiumu kąpielowego. Uwielbiam wysokie obcasy i czuję się w nich bardzo kobieco. Ten jeden element garderoby potrafi bardzo rozpalic zmysły.

UKULELE

Pokochałam ten instrument od pierwszego zagrania. Jestem na etapie nauki gry na nim, ale idzie mi dość sprawnie, więc zapewne niedługo będę już śmigać. Zabieram je wszędzie z sobą, bo jest małe. Miałam je również podczas żeglowania.



KSIĄŻKI

Książki dzielą się na dwie kategorie: te na godzinę i te na całe życie. Zaczytuję się w biografiach ludzi, których życie mnie inspirowało. Lubie też wracać do książek motywacyjnych i poradników, jak np. „Potęga podświadomości”. Gdy zbyt zanurzę się w przyniatającą rzeczywistość, przywołuję motto, że wszystko zależy od naszego sposobu myślenia i uwolnienia naszych możliwości.



NOTES

Notatki gwarantują zatrzymanie ulotnych myśli. Zapisuję zasłyszane ciekawe słowa, sentencje i swoje przemyślenia. Fajnie jest potem do tego wrócić. Ostatnio znowu zaczęłam pisać teksty piosenek. Zobaczmy, co uda mi się z tego zamieścić na płycie, którą zamierzam wkrótce nagrać.

RAJSTOPY

Myślę, że jestem ulubioną klientką firm produkujących rajstopy. Dreje na potęgę, dlatego zawsze w walizce mam dodatkową parę.



DRES

Ogólnie lubię luz i swobodę, dlatego zawsze mam w walizce ulubione dresy, w których chodzę na spacerach lub w których zasiadam na kanapie z książką.

ZEGAREK

Bardzo lubię swój smartwatch, który nie tylko pozwala prowadzić rozmowy telefoniczne, ale również m.in. monitoruje mój puls podczas aktywności sportowych. Mogę z nim nurkować i robić zdjęcia pod wodą. To fajne, że tak mała rzecz może tak ułatwić życie.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Panika na Krymie



Wtorkowy atak na bazę rosyjskich sił powietrznych w Nowofedoriwce na Krymie wywołał nie lada konsternację na Kremlu. Turyści wieją z półwyspu, starając się wjechać w stukilometrowym korku na most nad Cieśniną Kerczeńską – ostatnią drogę ratunku dla Moskali uwięzionych na krymskich wakacjach. Jedna kobieta w samochodzie jadącym z Krymu do Rosji cała zapłakana dramatyzuje: „Naprawdę nie chcę wyjeżdżać z Krymu. Tu jest fajnie. Ja przywykłam. Czuję się jak w swoim domu. Tak było po domowemu”. A tu wiać nada! Nie trzeba było nielegalnie przekraczać granicy ukraińskiej i jeździć na okupowany półwysep, naruszając artykuł 332 ukraińskiego kodeksu karnego. Główny propagandysta Kremla Władimir Sołowjow, zwany medialnym żołnierzem Putina, zwrócił się do Ukraińców i rzucił im wyzwanie, żeby... zaatakowali miasta Rosji: Moskwę czy Sankt Petersburg. Widać było przy tym, że Sołowjow jest wyraźnie zdenerwowany tym, co się wydarzyło na Krymie. Propagandysta pyta: po co rysować sobie jakąkolwiek czerwoną linię? „Może zorganizować wybuch w Soczi albo Kazaniu?” – dodaje. A czemu niby nie? Jak przyjdzie taka chwila, będziesz miał wybuchy nawet pod swoją telewizją. Obyś się Sołowjow nie dziwił.

Ukraińskie siły zniszczyły 331. pułk spadochroniarzy 8. dywizji powietrznodesantowej z Kostromy. Według relacji strony ukraińskiej, obrońcom wystarczyły dwa spotkania, by rozbić cały pułk Rosjan. Ukraińcy zlikwidowali go w całości w dwóch potyczkach. Po pierwszym

spotkaniu z Siłami Zbrojnymi Ukrainy pozostało ok. 15 proc. całego pułku. W walkach przetrwało ok. 70 żołnierzy. Jednak dowództwu Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej to nie wystarczyło. Upokorzeni stratami postanowili jeszcze raz pozostałości doborowego regimentu wysłać do boju. Wówczas ukraińskie siły rozbiły resztę żołnierzy z tej jednostki. Najtęższe głowy zastanawiają się nad irracjonalnymi decyzjami moskiewskich dowódców. Już w II wojnie światowej Niemcy wojskowi odkryli pewną prawidłowość. Ruski często atakował ich pozycje o tych samych godzinach z regularnością szwajcarskiego zegarka. Wystarczyło na kilka minut przed przygotowaniem artyleryjskim cofnąć się do drugiej linii okopów, by po skończonym ostrzale bez strat wrócić na poprzednią pozycję i odeprzeć kolejny atak. Podobnie dziś. Na lotnisku Czernobajiwka pod Chersoniem Moskal z uporem maniaaka postanowił trzymać sprzęt i amunicję pod nosem ukraińskich artylerzystów. Z tego, co pamiętam, już miesiąc temu doszło do kolejnego, skutecznego artyleryjskiego ataku. „Czernobajiwka 20:0” – pochwalił się ukraiński sztab generalny. Jakby ktoś się pytał, to w Czernobajiwce dalej bez zmian. I to samo ze spadochroniarzami. Zamiast wysłać 331. pułk na tyły w celu reorganizacji i wykorzystania do szkolenia weteranów, którym udało się przeżyć, dowództwo posłało ich do następnego nieudanego ataku. Doradca ministra spraw wewnętrznych Ukrainy Anton Heraszczenko podkreśla, że w ciągu pięciu miesięcy wojny 45-tys. doborowe Siły Powietrznodesantowe Federacji Rosyjskiej (WDW) straciły na Ukrainie kilka tysięcy żołnierzy, mimo że byli to najlepiej wyszkoleni i gotowi do walki bojownicy. Ale weź tam dojdź za Ruskim.

Niemieckie Panzerhaubitze (PzH) 2000 wreszcie trafiły na ukraiński front. Co prawda tylko 15 (10 z Niemiec i 5 z Holandii) na 185, którymi dysponuje Bundeswehra, ale zawsze. Do tej pory cieszyły się opinią najlepszych samobieżnych zestawów artyleryjskich na świecie. Charakteryzują się piekielną szybkostrzelnością: 3 strzały w 9,2 s, 8 strzałów w 42,3 s, 10 strzałów w 56,2 s i 20 strzałów w 1 min 47 s. Problem polega jednak na tym, że się popsuly. Tematem zainteresował się Marcus Faber, polityk FDP ds. obrony, który właśnie wrócił z Ukrainy. Starał się zdementować informacje, jakoby miały być one zepsute albo zużyte. „Słyszałem od ministerstwa obrony, że w tej chwili 5 z 15 haubic pancernych nadal działa” – oświadczył Faber. Można by rzec – super! W wywiadzie dla stacji NTV polityk wyjaśnił, że haubice są wykorzystywane na ogromną skalę. Według danych ukraińskich wystrzeliwały ok. 100 pocisków dziennie, co jest normą przy tej intensywności walki artyleryjskiej. Faber pochwalił się ponadto, że żadna z haubic nie została zniszczona przez rosyjski ostrzał. Prawdę mówiąc, to żadna rewelacja, bowiem PzH 2000 ma gruby pancerz niczym dzika świnia skórę, z której potrafią się ześlizgnąć breneki (nabój na dziką) myśliwych. Polityk przy okazji dokonał jeszcze jednego odkrycia: „W związku z awariami potrzebne są części zamiennie. Dostarczono pakiety części zamiennych, ale nie zawsze właściwych. Poza tym do większych napraw potrzebny jest również odpowiedni warsztat”. Ta sytuacja przedstawia realną niemiecką pomoc dla walczącej Ukrainy. Sam nie wiem: śmiać się czy płakać?

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Podobna walka



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Bitwa Warszawska jest uznawana za przełomowe wydarzenie w ogólnoświatowej historii. Według brytyjskiego polityka lorda Edgara D'Abernona, gdyby Piłsudskiemu i Weygandowi nie udało się pod Warszawą powstrzymać triumfalnego marszu Armii Czerwonej, przyniosłoby to w rezultacie nie tylko niebezpieczny zwrot w dziejach chrześcijaństwa, lecz również fundamentalne zagrożenie całej zachodniej cywilizacji. Zwycięstwo Polaków nad bolszewikami powstrzymało ich marsz na Europę zachodnią, decydując o przyszłości całego kontynentu. Udało się także zapobiec powołaniu w Polsce sowieckiego rządu, który wedle planu bolszewików czekał tylko na przegraną Wojska Polskiego.

Już w listopadzie 1918 r. na rozkaz Lenina rozpoczęto operację Wisła. Wojska pod dowództwem Tuchaczewskiego miały zdobyć Warszawę, żołnierze Budionnego atakowali rejon Lwowa. Kawaleria, którą dowodził Gaj-Chan, miała przejąć kontrolę nad północną częścią Mazowsza. Lew Trocki zapowiedział sowietyzację Polski, Ukrainy i Finlandii, mających stanowić łącznik sowieckiej Rosji z sowieckimi Niemcami. Najważniejsze było bowiem dla bolszewików zajęcie Berlina. Już w 1919 r. ogłoszono powołanie Rewolucyjnej Rady Wojennej Polski, która to miała przejąć władzę w Warszawie. 23 lipca 1920 r. w Smoleńsku bolszewicy powołali Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski (TKRP), który miał sprawować komunistyczną władzę na terenach II Rzeczypospolitej zajętych przez Armię Czerwoną. Komitet przemieszczał się w pociągu pancernym za frontem nacierającej Armii Czerwonej. 30 lipca 1920 r. w Wilnie ogłoszono manifest do polskiego ludu roboczego miast i wsi, którego autorem był Feliks Dzierżyński. Zapowiadano w nim utworzenie Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad, nacjonalizację ziemi oraz laicyzację. W odezwie do żołnierzy Wojska Polskiego zachęcano ich do buntu. Rządy TKRP, które trwały przez kilka tygodni na Wileńszczyźnie i Białostocczyźnie, to czas terroru rewolucyjnego. Specjalnie powołane trybunały represjonowały i zabijały przeciwników rządów komitetu. Rozpoczęto formowanie Polskiej Armii Czerwonej. Znamienne, że do białostockiego pułku strzelców zgłosiło się zaledwie 70 osób, a cała Polska Armia Czerwona składała się z 176 ochotników.

Pięć dywizji piechoty i brygada kawalerii pokonały bolszewików w rejonie Kocka i Cycowa, by zaatakować wojska Sowieków zmierzające w kierunku Warszawy. Klęska bolszewików nastąpiła pod Osowcem, Białymstokiem i Kolnem. Gdy Armia Czerwona szturmowała okolice Warszawy, kierownictwo TKRP, w którego skład wchodził Julian Marchlewski, Feliks Dzierżyński i Feliks Kon, przyjechało do Wyszkowa, by wraz z bolszewickimi wojskami wkroczyć do stolicy. Zwycięska kontrofensywa wojsk polskich, nazywana cudem nad Wisłą, spowodowała, że już 22 sierpnia członkowie komitetu musieli uciekać z Białegostoku razem z wycofującymi się wojskami Armii Czerwonej.

24 lata później, w sprzyjających okolicznościach międzynarodowych, Stalin dokonał udanej realizacji scenariusza nakreślo-

nego przez Lenina. Za pomocą terroru dał początek kilkudziesięciu latom komunistycznego zniewolenia Polski i podporządkowania Moskwie.

Prezydent Lech Kaczyński twierdził, że zwycięstwo, które odnieśli Polacy w 1920 r., było możliwe dzięki wspólnemu trudowi elit patriotycznych, powracających emigrantów oraz świadomych swojej tożsamości robotników i chłopów, którzy potrafili skutecznie podjąć wspólnie wyzwanie. Lech Kaczyński zwracał uwagę na znaczenie solidarności i ofiarności całego społeczeństwa, które w tym dramatycznym momencie porzuciło spory i podziały.

Dziś o wolność i niepodległość walczy napadnięta przez Rosję Ukraina. Stawka jest taka sama, jak w ubiegłym wieku, a metody stosowane przez współczesnych najeźdźców ludzaco podobne do praktykowanych przez ich przodków. Wiemy przecież, że w planach było błyskawiczne podbicie naszego wschodniego sąsiada, wyeliminowanie elit, sterroryzowanie społeczeństwa i zainstalowanie marionetkowego rządu. Zamyśl putinowskiej maszyny nie został zrealizowany, ale walka o najwyższą cenę wciąż trwa i sądząc po wydarzeniach z ubiegłego wieku, szybko się nie zakończy.

Kupuj **SIECI** na swojej Poczcie!



Sprawdź, czy jesteśmy na Twojej poczcie:

www.poczta.pl/tygodnik-sieci



Autopromocja

Trzy razy „s”

Gdy w lutym Rosja dokonała agresji na Ukrainę, wielu z nas myślało, że będzie konkretny reset, a skoro cały wolny świat zwrócił wzrok na nasz kawałek planety, to skupi się na przywróceniu u naszych sąsiadów pokoju i wypchnięciu nieproszonych Rosjan z nieswojej ziemi. Stało się inaczej i nawet jeśli nie doszło do aneksji w kilka dni, na co liczył Kreml, to faktem jest, że Europa pokazała słabość i totalną bezradność wobec nowego Hitlera.

Jeśli przyjęliśmy ósmy pakiet sankcji przeciwko Rosji, tzn. że po poprzednich siedmiu reakcja UE okazywała się za słaba. Ile musi być tych pakietów, żebyśmy sobie uświadomili, że coś jest nie tak? Co jeszcze muszą zrobić Niemcy, ile kolejnych działań na rzecz Ukrainy zablokować, żebyśmy zrozumieli, że Berlin pod wodzą SPD to sojusznik Rosji, a w najlepszym razie jej niewolnik? „Jeśli zważyć dotychczasową wartość obu [unijnych] pakietów sankcyjnych, to wartość pakietu polskiego raczej przewyższa pakiet rosyjski” – zauważył Jan Rokita i mało kogo ta oczywista oczywistość ruszyła, bo się do tej rzeczywistości przyzwyczailiśmy.

Niemcy nie chcą wygranej Ukrainy i tak naprawdę ona ich nie interesuje, podobnie jak przestała interesować frak-

cję niemiecką w Polsce. Czy powinno nas dziwić milczenie na temat Ukrainy ze strony partii, która powstała za niemieckie marki? Nie. Tacy rzekomo wpływowi w Unii, a jedyne, co potrafili załatwić, to kolejne rezolucje, kary i blokowanie środków dla Polski. Podobnie jest, jeśli porównamy postawę państwa wobec kryzysu teraz i po 2008 r. Ta sprawczość – niezależnie, co myśleć o PiS – staje się głównym atutem tego ugrupowania w oczach wyborców. Teraz dodatkowo kontrastującym z bezradnością Unii. Politycy w Brukseli jedyne, na czym potrafili się skupić, to na wykonywaniu niemieckich poleceń i lobbowaniu za federalizacją, czyli *de facto* ograniczaniu suwerenności krajów członkowskich. W tym celu konieczna jest zmiana władzy w Polsce, a pomóc ma w tym emocjonalne rozedrganie i spory, które podgrzewają ich przedstawiciele w naszym kraju.

Sprawczość, suwerenność i spokój – tego chcą dziś obywatele i jeśli nic się drastycznie nie zmieni, o tym będą najbliższe wybory.

Autor jest szefem portalu tvp.info



Samuel Pereira

To dwór buduje króla

Z aktorem **Michałem Chorośińskim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

W realizowanym właśnie serialu „Korona królów. Jagiellonowie” gra pan wielkiego księcia litewskiego Witolda. Przy takiej roli wyżej nosi się głowę?

Michał Chorośiński: Stare teatralne powiedzenie mówi: „Dwór buduje króla”.

Jeśli wchodzi się we wspaniały kostium, w czasie zdjęć całe otoczenie respektuje rangę granej postaci i reaguje na każde spojrzenie... to człowiek rzeczywiście, niemal dosłownie, rośnie. Trzeba tylko pamiętać, żeby się z tego otrząsnąć przed wejściem do domu, by nie brzmieć jak wielki książę, gdy przypomina się dzieciom o wyniesieniu śmieci [śmiech].

Jaki jest pana bohater?

Już Jan Długosz bardzo pozytywnie odnosił się do księcia Witolda. Z jego opisu (ale też ze

scenariusza) wylania się bardzo stanowczy, inteligentny władca, który robił świetną robotę dla Litwy, czasami wchodząc w konflikt z Jagiellą.

W filmie „Korona królów. Jagiellonowie” mój bohater pojawia się w 1399 r., w związku z klęską nad Worskłą. Gdyby udało mu się wtedy pogromić Tatarów, z podbitymi ziemiami ruskimi wyrósłby pewnie na potężnego, niezależnego władcę, któremu Rzeczpospolita nie byłaby potrzebna. Tymczasem porażka spowodowała, że Litwa musiała związać się z Polską i... mogła zacząć się piękna 600-letnia historia Kresów.

Ekipa rozpoczęła zdjęcia do bitwy pod Grunwaldem. Na ile obraz Matejki był dla pana inspiracją przy budowaniu postaci?

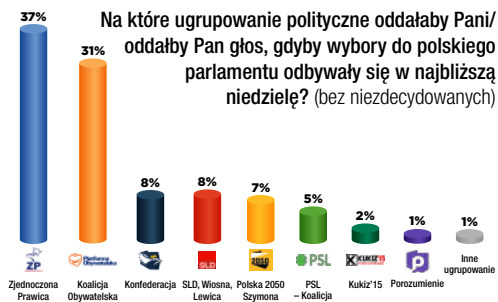
Cały czas przeszkadza mi świadomość, że model pochodził z XIX w., ale z pewnością widać w tym człowieku wewnętrzną siłę i dumę.



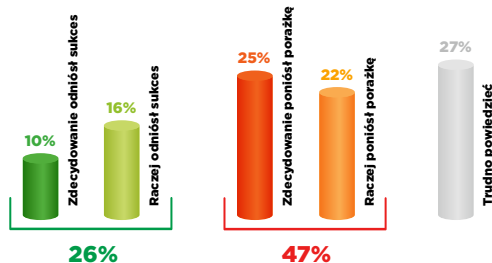


pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

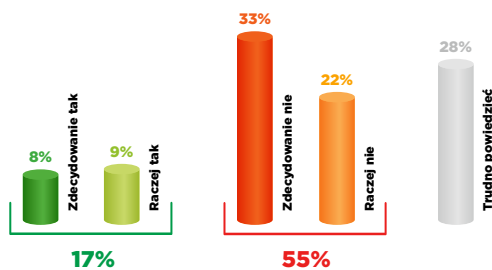
nasz sondaż



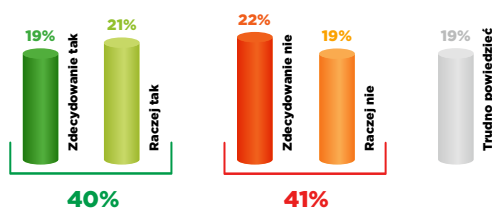
Jak Pani/Pan ocenia – czy Donald Tusk po powrocie do Polski odniósł sukces, czy poniósł porażkę?



Czy według Pani/Pana Polska powinna zrezygnować ze swojego prawa weta w Unii Europejskiej we wszystkich kwestiach dotyczących Polski i Unii Europejskiej?



Czy Pani/Pana zdaniem Unia Europejska w relacjach z Polską postępuje uczciwie?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1066. Zakres czasowy badania 5-8 sierpnia 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOKOWSKA,
MARIOLA.BARCOKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŹLIK, ROBERT TEKIELI,
BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

E-WENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZES WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, A. ZEMIANICHENKO/AP/ASTNEWS, T. JASTRZEBOWSKI/
REPORTER, A. MICHALIUS, A. NIK, M. BERGSMAN, PRZECZOWSKI, PRZESZAK, P. K. MEDIA, A. J.
RIGEL, DROP OF LIGHT/SHUTTERSTOCK, ARCH. PRYWATNE.



Masz auto? Zapomnij o kurortach

Mozolne odbudowywanie sieci lokalnych połączeń kolejowych i autobusowych w Polsce potrwa z pewnością jeszcze przynajmniej kilka lat, co oznacza, że wiele wartych odwiedzenia miejsc w Polsce jest najłatwiej dostępnych dla turystów zmotoryzowanych. Samochodowe wakacje w naszej ojczyźnie mogą dostarczyć wrażeń trudno dostępnych dla pasażerów komunikacji zbiorowej

Podróżując po Polsce samochodem, często natrafiamy na przejazdy kolejowe, po których został jedynie krzyż św. Andrzeja. O tym, że po torach, przed którymi ostrzega ten znak, nie przejechał od lat żaden pociąg, świadczą często młode drzewa, które zdążyły wyrosnąć na dawnym torowisku. Są jednak i takie miejsca, co do których trudno na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy dana linia kolejowa jest nadal w użytkowaniu, czy jednak nie. Są to zazwyczaj tory, po których kursują bardzo rzadko lekkie szynobusy, które stanowią dopiero pierwsze nieśmiałe próby odtworzenia regularnych i częstszych połączeń w danym regionie. Wspomniane kursy odbywają się zazwyczaj we wczesnych godzinach porannych i późnych godzinach popołudniowych, tak by zaproponować mieszkańcom małych wsi i miasteczek dojazd do pracy i powrót z niej. Jednak taki transport nie jest specjalnie użyteczny, jeśli chodzi o wykorzystanie go do celów turystycznych.

Cierpią trochę na tym mniej znane regiony Polski, które wcale nie ustępują tym najbardziej znanym, jeśli chodzi

o walory krajobrazowe czy dziedzictwo kulturowe. Dobrym przykładem takiego miejsca jest chociażby Pogórze Ciężkowickie, naszpikowane wręcz atrakcjami dla ciała i ducha, ale praktycznie niedostępne dla osób, które nie dysponują własnym samochodem. Podróżując po tym miejscu, które od południa graniczy z bardziej popularnym Beskidem Niskim, bardzo trudno natknąć się na pociąg czy autobus, mimo iż przystanki i przejazdy kolejowe mijamy dosyć często. Trudno wyobrazić sobie np., by niezmotoryzowany turysta dotarł sprawnie do perły, którą jest XVI-wieczny kościół pw. św. Michała Archanioła w Binarowej, a który jest odwiedzany przez turystów z całego świata ze względu na zachowane w nim w nienaruszonym stanie XVI-wieczne polichromie czy unikatowe figury. W leżącym nieopodal Binarowej urokliwym Bieczu mamy takie skarby jak choćby pierwszy w Polsce szpital ufundowany przez królową Jadwigę, przepiękną kolegiatę Bożego Ciała, fragment zabytkowego średniowiecznego barbakanu czy malowniczy rynek z dostępną dla turystów wieżą ratusza, z której w pogodny dzień można dostrzec

nawet Tatry. We wspomnianych Tatrach latem trudno znaleźć spokój i wytchnienie od ludzi, tymczasem w Bieczu, Binarowej czy nawet pobliskich Gorlicach nie grożą nam kolejki nawet w szczycie sezonu turystycznego.

Podobny tłok co na tatrzańskich czy karkonoskich szlakach nie grozi nam także w Skamieniałym Mieście w Ciężkowicach, opiewanym przez pisarzy i poetów, które od stuleci było uważane za miejsce szczególnie urokliwe, o czym świadczą chociażby wyryte na skałach „pamiętki” typu „byłem tu”, ale datowane np. na 1807 r.

Dla osób ceniących sobie wygodę i niezależność, którą daje własne auto podczas wakacji, Polska oferuje wiele miejsc, których próżno szukać w zestawieniu najpopularniejszych letnich czy zimowych kierunków podróży. Warto zatem wykorzystywać możliwości, które dają własne cztery koła, i odkrywać piękno naszej ojczyzny. Poza Zakopanem, Sopotem, Karpaczem, Helem, Krynicią czy Władysławowem też można wypocząć, a przy okazji zapoznać się z walorami i historią regionu, które będą potrafiły nas zadziwić. 

NA WAKACJE



-30 gr/l

**Miesięcznie
aż 3 promocyjne
tankowania
z Programem **VITAY**.
Każde do 50 litrów taniej!**

-40 gr/l
**z KARTĄ DUŻEJ
RODZINY**

Ważna karta VITAY lub Wirtualna Karta VITAY uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje autogazu (LPG), nie łączy się z innymi programami rabatowymi i promocyjnymi i jest ograniczona czasowo – termin obowiązywania w Regulaminie promocji. Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Regulamin promocji oraz lista stacji uczestniczących w promocji na stronie vitay.pl/rabaty



Węgiel. Powinno się udać

Rządy Zjednoczonej Prawicy broniły węgla i to im zawdzięczamy, że wciąż mamy własne kopalnie. Jestem przekonany, że gdyby rządziły siły uległe wobec Brukseli i Berlina, dawno by je zamknęto. Presja na to była i jest ogromna. Zasadnicze decyzje o zwijaniu polskiego górnictwa zapadły w czasach PO-PSL. Oni mają najwięcej na sumieniu

**Michał Karnowski rozmawia z wicepremierem *Jackiem Sasinem*,
ministrem aktywów państwowych, politykiem Prawa i Sprawiedliwości**

Panie premierze, jest pan w środku bitwy o węgiel, którą z uwagą obserwują miliony Polaków. Jak ona przebiega?

Jacek Sasin: Bitwa jest trudna, bo tak wielkiej, skomplikowanej logistycznie operacji dawno w Polsce nie przeprowadzano. Musimy pamiętać, że to jeden ze skutków wojny, barbarzyńskiej napaści Rosji na Ukrainę. Państwo polskie musiało zmierzyć się z jej skutkami na wielu polach, w tym energetycznym. Nikt nie ukrywa, że jest trudno. Ale dziś mogę powiedzieć czytelnikom „Sieci”: powinno się udać.

Na czym opiera pan ten optymizm?

Nie ma problemu z zakupem węgla na świecie. Problemem jest jego szybkie przetransportowanie do granic Polski i dalej, w głąb kraju. Największe zmartwienie to przepustowość portów. Już wcześniej mocniej obciążonych, przejeły one przecież część ruchu, który szedł przez porty ukraińskie. Ciężko pracujemy nad tym wąskim gardłem całej operacji i dziś możemy powiedzieć, że powinniśmy zdołać przeladować co najmniej 9 mln ton węgla.

Dlaczego porty to aż taki problem? Słyszeliśmy przez ostatnie lata, jak mocno się rozwijają.

To prawda. Ale równie szybko zwiększa się ich obłożenie. Są kontrakty, zobowiązania, wiele firm zależy od tego, czy towar dotrze albo wyjedzie na czas. Zadanie polegało więc na tym, by przeladowały także ten dodatkowy węgiel bez szkody dla gospodarki.

Najkrócej: będzie węgiel przed zimą?

Na pewno nie zabraknie go w nadzorowanych przez nas dużych elektrowniach. Oczywiście jeżeli nie pojawią się jakieś dodatkowe czynniki o dużej skali, których nie sposób dziś przewidzieć, jakieś nowe – odpukać – wojny, katastrofy, które zablokowałyby szlaki transportowe. Podkreślam raz jeszcze – to operacja bezprecedensowa, każdego dnia usuwamy ujawniające się przeszkody, wyskakujące problemy.

Ale wygląda to coraz lepiej. Obok portów udało się zabezpieczyć odpowiednią moc kolei, które muszą to rozwieźć dalej, po Polsce. Wielka tu zasługa ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka. Mamy zabezpieczone konieczne składowiska, gdzie będzie można ten węgiel zrzucić.

Stamtąd kupią go Polacy?

Stamtąd odbiorą go przedsiębiorcy zajmujący się dystrybucją węgla. To prawie 8 tys. podmiotów gospodarczych, dużo też zależy od nich.

Będą chcieli współpracować? Do programu dopłat dla pośredników węglowych nie zgłosił się nikt i rząd musiał zastąpić go dopłatami bezpośrednio dla konsumentów energii.

To dwie różne sprawy. Tu po prostu zaoferujemy pośrednikom węgiel, który będą dalej sprzedawać. To istota ich biznesu, nie sądzę więc, by nie było woli współpracy.

To będzie węgiel zarówno dla odbiorców indywidualnych, jak i ciepłowni, kotłowni osiedlowych, instytucji publicznych, elektrowni?

Żadnego z tych podmiotów nie tracimy z oczu. Dziś także w odniesieniu do elektrowni możemy powiedzieć, że do wiosny mają zabezpieczone dostawy węgla. Bardzo proszę jednak, by to moje zastrzeżenie, że jest to operacja skomplikowana, że podchodzimy z pokorą do każdego punktu, trzy razy wszystko sprawdzamy, wybrzmiało. Nie ma mowy o hurraoptyzmie, jest ostrożny optymizm. Ale jedno mogę powiedzieć: nie ma problemu braku węgla w tzw. dużej energetyce. Ona ma zabezpieczone paliwo. Ma zapasy, kontrakty, a przygotowania do kolejnych sezonów zaczyna z dużym wyprzedzeniem. Proszę też pamiętać, że w dużej energetyce nie ma problemu luki po rosyjskim węglu. Wbrew wrażeniu, które usiłuje wywołać opozycja, duża energetyka od dawna nie korzystała z paliwa z Rosji. Od razu dodam też jedną rzecz. Od kilku tygodni nieustannie czytam materiały, jak

to z powodu rzekomych braków węgla czekają nas wyłączenia prądu czy wręcz balansujemy na granicy blackoutu. Otóż jest to nieprawda! Przestrzegam, by do tego typu rewelacji medialnych podchodzić z najwyższą dozą ostrożności. Wiemy bowiem, że jest to obecnie jeden z głównych wektorów działań rosyjskiej dezinformacji obliczonych na wywołanie w Polsce niepokoju czy wręcz paniki. No więc prądu w gniaздkach na pewno nie zabraknie.

Ludzie pytają: dlaczego w ogóle znaleźliśmy się w takiej sytuacji? Śpiemy przecież na węglu. Coś przespaliśmy?

Przespali ci, którzy budowali energetyczne bezpieczeństwo Europy na rosyjskim gazie. Polska tego błędu nie popełniła. Za pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości rozpoczęliśmy budować zręby infrastruktury umożliwiającej dostawę gazu z kierunków innych niż rosyjski, po 2015 r. z mocą ten program kontynuowaliśmy. Dziś możemy się w pełni obejść bez dostaw z Rosji. Wiele państw europejskich, w tym Niemcy czy Włochy, nie mają takiego komfortu. Również dostawy ropy zostały zabezpieczone. Polska odrobiła tę lekcję. Właśnie dlatego wokół Orlenu powstaje też wielki koncern multienergetyczny. To pozwoli na dalsze, konieczne inwestycje. W przypadku węgla sytuacja była bardziej skomplikowana.

Dlaczego?

Rządy Zjednoczonej Prawicy broniły węgla i to im zawdzięczamy, że wciąż mamy własne kopalnie. Jestem przekonany, że gdyby rządziły siły uległe wobec Brukseli i Berlina, dawno by je zamknęto. Presja na to była i jest ogromna. Zasadnicze decyzje o zwijaniu polskiego górnictwa zapadły w czasach PO-PSL. Oni mają najwięcej na sumieniu. Nie wiem, czy pamięta pan, za co nas w odniesieniu do górnictwa atakowano, gdy przejęliśmy władzę?

Pamiętam: za program ratowania kopalni. Mówiono o marnotrawstwie,

uleganiu górniczemu lobby, bezsensownym kupowaniu czasu, bo przecież to branża skazana na zagładę.

Tak było i dobrze byłoby dziś przypominieć tamte spory. Także w tej sprawie obóz premiera Jarosława Kaczyńskiego miał rację. Dziś nie wykluczam, że tamte rządy świadomie grały na bankructwo całego górnictwa. Przecież doprowadzili je na skraj upadku. To by bardzo pasowało ich mocodawcom.

Głośne były słowa Elżbiety Bieńkowskiej z rozmowy z Pawłem Wojtuniem zapisane na słynnych taśmach: „Mówię ci, żenada z tym całym górnictwem i z tą gospodarką, po prostu takie zaniedbania... Prawda jest taka, że właściciel, czyli Ministerstwo Gospodarki, generalnie w d...e miało całe górnictwo przez całe siedem lat. Były pieniądze, a oni, wiesz, pili, lulki palili, swoich ludzi poobstawiali, sam wiesz, ile za-rabiali, i nagle pierdyknęło”.

Po takich ludziach musieliśmy posprzątać. Zmarnowanych przez nich czasu i pieniędzy nie dało się jednak całkowicie nadrobić, bo za naszych rządów z Brukseli płynęły w odniesieniu do węgla tylko nakazy, presje, żądania, by kopalnie i energetykę opartą na węglu związać. Było to możliwe, bo premier Ewa Kopacz zrezygnowała z możliwości wetowania unijnej polityki klimatycznej. I zapewniała, proroczo się przejęzyczając, że koszt energii dla odbiorców nie wzrośnie. Wzrósł dramatycznie i cały czas rośnie.

Może to koszt transformacji, wszystkie kraje go ponoszą i tylko Polska jest za leniwa, by wziąć byka za rogi?

Takiej ceny, jakiej żąda się od Polski, nikt inny nie ma płacić. Mieliśmy zawsze duże zasoby węgla, na tym zbudowaliśmy nasz system energetyczny. Tej historycznej wyjątkowości nie chciano uwzględniać, choć jest zasadą, że wszystkie reformy, tempo ich wdrażania, należy dostosowywać do możliwości poszczególnych państw i całej Europy. Decyzja Ewy Kopacz spowodowała, że straciliśmy możliwości we-

towniania, decydowała większość. Próby budowania trwałej koalicji w tym obszarze się nie udawały.

Opowiadał mi jeden z polskich urzędników zajmujących się tymi kwestiami: rok po roku liczba państw gotowych nas wesprzeć malała. Jednych przekupiono, inni uznali, że nie będą kopać się z koniem, nawet mimo ewidentnych strat dla własnego kraju.

To właśnie spowodowało sytuację, w której różne dodatkowe podatki i opłaty za emisję CO₂ doprowadziły

Warto inwestować w zieloną energię i my też to robimy. Ale jest iluzją nadzieja, że te źródła energii w bliskiej przyszłości zastąpią gaz, atom, ropę i węgiel. Nie udało się to także w Niemczech

do tego, że energia z węgla stawiała się coraz droższa w całej Europie. Aż doszliśmy do obecnego momentu.

Jaki był pomysł europejskiego establishmentu? Co miało być dalej?

Docelowo zielona energia – choć to bardzo wątpliwe. Żeby było jasne: popieram pozyskiwanie energii z wiatru, ze słońca i z innych tego typu źródeł odnawialnych, ale są one dzisiaj zbyt niestabilne, by mogły być rdzeniem systemu energetycznego. Wymyślono więc, że przejściowym paliwem transformacji będzie gaz, mniej emisyjny, a więc w finale dający tańszy prąd.

I tak doszliśmy do Nord Stream 1, Nord Stream 2, uzależnienia od Putina, wojny i wielkiej katastrofy całego tego planu.

Wojna to radykalnie przyspieszyła, ale kłopoty zaczęły się już jesienią ub.r., kiedy ceny gazu gwałtownie skoczyły

do góry. I jesteśmy, gdzie jesteśmy. W Polsce na szczęście gaz i ropa są zabezpieczone, toczymy za to bitwę o węgiel.

Możliwy jest powrót do węgla na pełną skalę? Na Lubelszczyźnie mamy gigantyczne zasoby dobrego jakościowo. Wracamy do węgla czy opóźniamy jego śmierć?

Wiele będzie tu zależeć od tego, co się będzie działo w Unii Europejskiej i od tego, jak się wobec tego będziemy pozycjonować. Na pewno wcześniejsze plany dotyczące górnictwa wymagają zasadniczej rewizji. Przypomnę, gdzie jesteśmy: zobowiązaliśmy się w umowie społecznej z górnikami, ale ona jest uznawana przez Komisję Europejską za nasze zobowiązanie, do całkowitego wygaszenia wydobycia węgla do 2049 r. Co roku mamy zmniejszać wydobycie, zamykać kopalnie.

Robimy to?

Robiliśmy, choć z bólem i rozsądnie. W tym roku założony cel oczywiście nie będzie zrealizowany, kopalnie pracują pełną mocą, każda tona jest potrzebna. Musimy mieć jednak świadomość, że samo utrzymanie obecnych możliwości wydobycia – nie mówię nawet o zwiększeniu – wymaga potężnych inwestycji. Sprzęt się zużywa, po wyczerpaniu starych złóż trzeba uruchamiać kolejne, otwierać nawet nie nowe kopalnie, co nowe ściany. Kopalnię buduje się od pięciu do sześciu lat, uruchomienie nowej ściany w istniejącej kopalni to rok, półtora roku. Nie ma takich technicznych możliwości, by wydobycie zasadniczo zwiększyć z tygodnia na tydzień.

Wielu Polaków myśli: nie oglądajmy się na Unię, sięgnijmy po nasze czarne złoto, bo alternatywą jest marznięcie, zduszenie przemysłu drakońskimi podwyżkami cen prądu, ubóstwo energetyczne wielu rodzin.

To są poważne decyzje. Założmy, że ktoś by coś takiego zrobił. Może się okazać, że za pięć, sześć lat mamy tak głęboki zielony zwrot, że nie da się kursu na węgiel utrzymać i wszystkie



te wydatki pójdą na zmarnowanie. Już dzisiaj zmiana charakteru elektrowni w Ostrołęce i związane z tym straty są przecież dla opozycji pretekstem do nieustannych ataków. Przypomnę, że tam przyczyną było właśnie gwałtowne zaostrenie brukselskiej polityki klimatycznej.

Z tego, co wiem, są też potężne problemy z pozyskaniem finansowania takich inwestycji. Banki, fundusze inwestycyjne nie chcą w to wchodzić?

Zagraniczne uciekają od tych tematów, krajowe czynią to niechętnie, mając świadomość ryzyka. To się zdarzyło też w Ostrołęce – żadna poważna instytucja finansowa nie chciała się podjąć dalszego finansowania tej inwestycji. To doświadczenie powinno nas skłaniać do bardzo ostrożnego, przemyślanego postępowania w tym obszarze. I tak właśnie postępujemy.

W ubiegłotygodniowym wywiadzie dla tygodnika „Sieci” prezes Jarosław Kaczyński mówi, że transformacja energetyczna była dwustronną umową, pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy miały pójść także na ten cel. W sytuacji gdy druga strona nie dotrzymuje umowy, my musimy uznać tę prawdę i skupić się na zabezpieczeniu obywateli. Co

według pana premiera może to konkretnie znaczyć?

Całkowicie podzielam tę opinię. Najkrócej mówiąc: nas dzisiaj nie stać na transformację energetyczną w formule i tempie, które narzuca Komisja Europejska. Wobec braku należnych Polsce funduszy nie stać nas tym bardziej. I chcę powiedzieć każdemu, że tu nie chodzi o politykę, o jakieś fochy pisowskiego rządu, ale o niewyobrażalne skutki dla gospodarki i każdego obywatela. Wdrożenie programu „Fit for 55” – bez odpowiednich, ogromnych funduszy na transformację – cofnęłoby nasz rozwój o dekady. Z wyliczeń ekspertów banku Pekao wynika, że koszt dekarbonizacji dla czteroosobowej rodziny wyniosłby do końca tej dekady ponad 0,25 mln zł. A koszt liczony na pojedynczego obywatela, czy to staruszkę, czy dziecko, to ok. 64 tys. zł. O takich kwotach mówimy. Rząd, który by tego spróbował, zostałby natychmiast przepędzony przez ubożających szybko obywateli. Nie mówiąc o tym, że nie byłby to polski rząd, bo taki na coś takiego nie pójdzie.

Nie odrzucałbym podejrzeń, że może właśnie o takie radykalne zahamowanie naszego wzrostu gospodarczego, konkurencyjności, gonienia

Zachodu tutaj chodzi.

To często spotykana opinia. Na pewno Polska bardzo szybko się rozwija, zmniejsza dystans wobec najbogatszych państw zachodnich. Powiedziałem niedawno, że i Niemcy dogonimy, jeśli chodzi o PKB na głowę mieszkańca. Najpierw spadła na mnie fala krytyki i szyderstw, a chwilę później pojawiła się seria analiz ekonomicznych pokazujących, że ten dystans nie jest dziś tak ogromny, jak przyzwyczailiśmy się myśleć. Zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę nie tylko suche liczby. Nie mam wątpliwości, że ten polski skok rozwojowy, tak widoczny zwłaszcza w okresie po 2015 r., wielu niepokoi. Niektórzy przyzwyczaili się widzieć w nas rodzaj kolonii gospodarczej, zasób demograficzny do użycia. Narzucana nam radykalna polityka klimatyczna ten stan rzeczy by przywróciła. Na to zgody naszego rządu nie będzie. Nie chcemy być kolonią, montownią ani rezerwuarem taniej siły roboczej.

Jest szansa na powrót rozumu w Unii Europejskiej w odniesieniu do energii? Wojna Putina obnażyła, jak niebezpieczną drogą poszła Europa.

Nadzieja jest, ale coraz jej mniej. Dla wielu polityków europejskich radykalny klimatyzm i związane z tym decyzje

dotyczące energetyki to ideologia, z którą nie ma dyskusji. Żadne koszty, żadne nieszczęścia ich narodów i całego kontynentu nie powodują korekty kursu.

Mamy inwestować w zieloną energię, to ma być recepta na wszystkie kłopoty. Realna w polskich warunkach?

Warto inwestować w zieloną energię i my też to robimy. Ale jest iluzją nadzieja, że te źródła energii w bliskiej przyszłości zastąpią gaz, atom, ropę i węgiel. Nie udało się to także w Niemczech. Przyczyny są obiektywne: nie ma dziś możliwości magazynowania tak pozyskanej energii, jest ona niestabilna, nieprzewidywalna i też niesie koszt środowiskowy.

Mają też chyba nadzieję, że kłopoty Polski umożliwią powrót do władzy Donaldowi Tuskowi, w normalnej sytuacji niewyobrażalny, bo zła pamięć o jego rządach jest wciąż bardzo silna?

Kolejne sankcje i kary pod byle pretekstem nakładane na Polskę, kraj przyfrontowy, udzielający tak ogromnej pomocy Ukrainie, przyjmujący w gościnę prawdziwych uchodźców, to dowody na nieczystą grę. Chodzi o wzbudzenie niezadowolenia obywateli i zmuszenie Polaków, by odwrócili się od naszego obozu politycznego. Z takim planem i obietnicą takiego wsparcia został tu wysłany Tusk. Spójrzmy na Krajowy Plan Odbudowy: zostaliśmy tu ordynarnie oszukani. Jest tak, jak powiedział premier Kaczyński w „Sieciach”: „Była umowa – z naszej strony dotrzymana. Z tamtej złamana. Dalej cofać się nie możemy”. Można powiedzieć, że to, co w sowieckim systemie załatwiano za pomocą czołgów, wysyłając je do Budapesztu i Pragi, a w Polsce kilkakrotnie strasząc najazdem, teraz robi się przez politykę głodzenia, jak to ujęła niemiecka europoseł.

Uda im się?

Zrobimy wszystko, by się nie udało. Zasadnicze pytanie dotyczy tego, czy Polacy będą rozumieli, o co tutaj chodzi.

Finałem tej operacji ma być nie tylko zmiana władzy, ale przede wszystkim związana z tym rezygnacja przez Polskę z ambicji, inwestycji, powstrzymanie wzrostu, naszej siły i konkurencyjności, zubożenie obywateli. Dzisiaj wyliczają miliony kar, które nakładają na nas za obronę suwerenności i niepodległości. Przypomnę też elektrownię w Turowie. Mówili: „Macie zamknąć natychmiast, nie obchodzi nas, że zamrażanie”. Tamta sprawa wielu otrzęźwiła.

Patrząc z perspektywy ostatnich lat, można powiedzieć, że ochrona polskich rodzin jest naszym znakiem rozpoznawczym. Najpierw przypilnowaliśmy, by podział dochodu narodowego był sprawiedliwy, by rósł poziom życia wszystkich Polaków, by bezrobocie było jak najniższe. I to się udało. Teraz gdy przyszedł kryzys, robimy wszystko, by ten dorobek nie został zniweczony, by Polacy znowu nie osunęli się w biedę

Dochodzimy do kluczowego pytania: czy ten rząd będzie potrafił obronić Polaków przed ubóstwem energetycznym?

Zrobimy wszystko, by tak się stało. Już dzisiaj wydajemy ogromne pieniądze na zmniejszenie dolegliwości kryzysu energetycznego dla polskich konsumentów. Wprowadziliśmy specjalną taryfę dla wrażliwych odbiorców gazu, wcześniej istniały takie taryfy tylko dla prądu i tylko dla odbiorców indywidualnych. Musimy rozumieć, o jak wielkim szoku mówimy: rynkowa cena

gazu poszła w górę 10-krotnie! Dlatego budżet państwa przeznaczył 10 mld zł dla PGNiG, by zapobiec tej społecznej katastrofie.

Z początkiem nowego roku możemy spotkać się z równie szokowym wzrostem cen prądu. Też będzie reakcja rządu?

Analizujemy sprawę. Wstępne szacunki mówią, że bez działań podobnych jak na rynku gazu rachunki gospodarstw domowych za prąd mogą wzrosnąć o 100–150 proc. Do tego nie możemy dopuścić.

Gdyby nie było tych działań rządu, to o ile wyższe byłyby dziś rachunki za energię dla odbiorców indywidualnych?

W przypadku gazu byłyby około trzykrotnie wyższe niż obecnie. W przypadku prądu kilkadziesiąt procent plus szokowa podwyżka z początkiem nowego roku, o czym już wspomniałem. Ważna jest też benzyna i olej napędowy – w tym obszarze także zmniejszyliśmy obciążenia podatkowe i akcyzję do najniższych możliwych poziomów, co dało znaczące ograniczenie podwyżek. Są one wciąż bolesne, ale warto pamiętać, że mamy ogólnosiatowy kryzys energetyczny. Jeśli chodzi o węgiel i pelet, też będą dopłaty. Rozszerzamy wsparcie rządowe także na ciepłownictwo, tak by i ludzie korzystający z sieci ciepłowniczej nie zostali zrujnowani. Działania w tym obszarze są głównym celem rządu. Patrząc z perspektywy ostatnich lat, można powiedzieć, że ochrona polskich rodzin jest naszym znakiem rozpoznawczym. Najpierw przypilnowaliśmy, by podział dochodu narodowego był sprawiedliwy, by rósł poziom życia wszystkich Polaków, by bezrobocie było jak najniższe. I to się udało. Teraz gdy przyszedł kryzys, robimy wszystko, by ten dorobek nie został zniweczony, by Polacy znowu nie osunęli się w biedę.

To wszystko prawda, ale ludzie doświadczający niepewności, trudności, w desperacji mogą dać posłuch Tuskowi, który nie wspomina o kry-

zysie na świecie, nie mówi nic o wojnie, tylko krzyczy, że to wszystko wina rządu. Nie obawia się pan tego?

Tylko amnezja, młody wiek albo naiwność uprawniają do tego, by uwierzyć, że Donald Tusk poprawi los Polaków. Gdy rządził, podnosił podatki i wiek emerytalny, skasował OFE, zwił państwo i bezradnie patrzył na okradanie Polski przez mafie VAT-owskie i paliwowe oraz plagę umów śmieciowych. Gdy pojawiał się kryzys, zwiększał wyzysk Polaków, a nie myślał o jakichś ulgach. A gdy potrzebne było wsparcie, słyszeliśmy, że pieniędzy nie ma i nie będzie. My z taką polityką definitywnie skończyliśmy.

Ale chwali się, że za jego rządów inflacja była minimalna.

Jakim kosztem? Ogromnego bezrobocia, emigracji młodych rodzin za chlebem, głodowych pensji, braku programów pro-dzinnych i prospołecznych, ograniczeniem rozwoju gospodarczego. Nie było wojny, która w połączeniu z kryzysem energetycznym rozpędziła inflację na całym świecie, a zwłaszcza w państwach leżących w sąsiedztwie napadniętej Ukrainy. Dziś Tusk i jego ludzie mają jeden pomysł na inflację: wyprowadzenie prezesa NBP przez silnych ludzi. Czy on nie widzi, jak bardzo brzmi to Łukaszenką?

Bo prezes NBP nie przewidział, że grozi nam inflacja – tak argumentują.

Czy prof. Glapiński spowodował 20-proc. inflację w państwach bałtyckich? Spowodował historyczne wzrosty cen w Niemczech, Stanach Zjednoczonych? Przecież to są bzdury. Podobnie jak zarzut, że prognozując inflację, nie przewidział takiej wojny, z jaką mamy do czynienia na Ukrainie. To wszystko jest elementem większego obrazu. Opozycja nie ma dzisiaj żadnej wiarygodności, nie jest żadną alternatywą dla Zjednoczonej Prawicy.

Tusk przekonuje, że się zmienił, że nic, co dane, nie będzie zabrane. Może naprawdę się zmienili?

Posel Tomasz Lenz powiedział, co naprawdę planują. Idąc do wyborów, zapewniali, że nie podniosą wieku emerytalnego. Po zwycięstwie natychmiast to zrobili. Oni nawet nie udają, że chodzi im o cokolwiek poza władzą dla władzy.

Liczą jednak na frustrację związaną z trudnościami.

Wiemy to i absolutnie nie lekceważymy ludzkich obaw. Żyje się trudniej, mamy tego pełną świadomość. Spowodowały to czynniki zewnętrzne, ale rząd robi, co w jego mocy, by dolegliwości złagodzić. Dlatego choćby twarda walka z inflacją z jednej strony,

Dla wielu polityków europejskich radykalny klimatyzm i związane z tym decyzje dotyczące energetyki to ideologia, z którą nie ma dyskusji. Żadne koszty, żadne nieszczęścia ich narodów i całego kontynentu nie powodują korekty kursu

a z drugiej pomoc grupom wrażliwym. Mamy świadomość, że uderza ona najmocniej w mniej zamożnych, jest niesprawiedliwa. Łatwo w tych czasach o rozbudzenie emocji, złość, żal. Nam też zdarzają się błędy, potknięcia, jesteśmy tylko ludźmi, a błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi. Ale mimo wszystko jestem optymistą, bo Polaków nie tak łatwo oszukać. Sondaże także pokazują, że skuteczność agresji i kłamstwa jest ograniczona. Tusk przekroczył w tym wszelkie granice, a jednak sukcesu jak dotąd nie osiągnął. Nawet mocodawcy z Berlina wydają się zniecierpliwieni.

Skąd się bierze to uzależnienie Tuska od Niemiec? Nie ma jednej sprawy, w której by się im sprzeci-

wił, także wtedy, gdy w grę wchodzi zasadniczy interes Polski.

To temat, który może kiedyś rozwiłkają jacyś dziennikarze śledczy. Jest faktem, że są to szokujące sytuacje. Opowiem niedawną scenę z Sejmu. Kiedy marszałek Małgorzata Gosiewska przypominała dziesiątki tysięcy ofiar rzezi Woli i dodała, że te krzywdy nie zostały w żaden sposób wyrównane, Polacy nie dostali zadośćuczynienia za zbrodnie II wojny światowej, w ławach zajmowanych przez Platformę Obywatelską rozszedł się mocny szmer niezadowolenia, oburzenia.

Zakazany temat?

Widać, że pojawienie się w polskim Sejmie czy rządzie czegośkolwiek, co może nie spodobać się w Berlinie, powoduje natychmiastową nerwowość, reakcję obronną, chęć riposty. I to dotyczy nie tylko historii. Ich wrażliwość jest po tamtej stronie Odry. W żadnej sprawie nigdy nie przedłożą polskiego interesu ponad niemiecki.

Niemcy teraz proponują coś, co ładnie nazywa się odejściem od jednomyślności, a faktycznie oznacza odebranie państwom narodowym ostatniej broni w walce z dyktatem – weta.

I polska opozycja już to popiera.

Czy nie dochodzimy do granicy, za którą jest utrata suwerenności z wszystkimi kosztami i tragediami z tym związanymi?

Uważam, że do tej granicy właśnie dochodzimy. Pozbawienie prawa weta oznacza, że nie mamy żadnej mocy w debatach o nas, na nic nie mamy wpływu. To inni za nas decydują. Dlatego wybory 2023 r. nie będą dotyczyły tego, kto ma w Polsce rządzić, czy jak ma rządzić. To będzie wybór zasadniczy: czy Polska ma być nadal państwem suwerennym, w którym decydują obywatele polscy, czy też staniemy się jakimś landem zarządzanym z Brukseli i Berlina. Pamiętajmy, że ten proces nie ma końca. Oni się nigdy nie zatrzymają, denerwuje ich każdy przejaw niezależności. My jednak z tej drogi nie zejdziemy. 



Gra o wszystko

Następne wybory nie będą zwykłym głosowaniem. Wszystko wskazuje bowiem na to, że ich stawką będzie walka nie tylko o władzę, lecz przede wszystkim o suwerenność państwa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Przyszłoroczne wybory mogą okazać się najtrudniejsze i najbardziej kluczowe od czasu upadku komunizmu. Mamy sytuację bez precedensu w najnowszej historii Polski, bo nie wiemy – nawet w przybliżonym zarysie – co może nas czekać w najbliższych miesiącach. Czy będziemy oddawać głos w warunkach toczącej się tuż obok wojny, która może zagrozić również naszemu istnieniu? Czy sytuacja uspokoi się, a jeśli tak – to na jak długo? Nikt z nas woli nie myśleć o jeszcze jednym wariantcie przyszłości, w którym wybory w ogóle się nie odbędą, bo nie będzie już kogo ani gdzie wybierać. Ale i tego wa-

riantu – choć na szczęście stosunkowo mało dziś prawdopodobnego – nie powinniśmy całkiem odrzucać. Czasy, w których żyjemy, stały się bowiem trudne do przewidzenia.

ODKRYTE KARTY

Zakładając jednak, że ten najgorszy wariant się nie ziści, przyszłoroczne wybory będą w istocie głosowaniem nad istnieniem suwerennej Polski. To mocne słowa, ale w obecnych okolicznościach całkowicie uzasadnione. Wojna na Ukrainie odkryła bowiem wiele kart. Przede wszystkim stało się dla wszystkich jasne, że putinowska Rosja jest brutalnym agresorem dążą-

cym do podporządkowania sobie naszej części Europy. Również zachowanie Niemiec w obliczu moskiewskiego zagrożenia okazało się niesłuchanie dwuznaczne. Berlin prowadzi miękką politykę wobec Kremla, a jednocześnie – ukrywając się za fasadą Unii Europejskiej – ostro broni swojej dominacji na kontynencie. Ci, którzy mają otwarte oczy, z coraz większym zaskoczeniem zauważają, że w istocie nic się nie zmieniło i historia się powtarza. Państwa położone między Niemcami a Rosją stają się celem wzmocnionych wysiłków zmierzających do ich ubezwłasnowolnienia. W przypadku Moskwy te wysiłki przybrały już formę brutalnej agresji na Ukrainę. Z kolei Niemcy, nauczone

doświadczeniem II wojny światowej, preferując grę polityczną, której przejawem jest w Polsce wściekłe antypisowska kampania prowadzona przez opozycję z Donaldem Tuskiem na czele oraz skoordynowana z nią akcja instytucji unijnych, które za pomocą instrumentów ekonomicznych niemal jawnie dążą do obalenia obecnej władzy.

Powody tej polityki są czytelne. Suwerenna, silna Polska, zwłaszcza taka, która w przyszłości byłaby potencjalnie zdolna do utworzenia bloku regionalnego, szkodzi zarówno interesom niemieckim, jak i moskiewskim (co nie oznacza, że są one tożsame). Nic więc dziwnego, że rząd PiS, który jest w tej chwili jedynym gwarantem utrzymania suwerennego kursu, znalazł się na kursie kolizyjnym z Berlinem i Moskwą. Utrata władzy przez tę formację byłaby przyjęta w obu stolicach z dużą satysfakcją, bo oznaczałaby całkowite odwrócenie dotychczasowej polityki i degradację Polski do roli wasala. A dla Polaków konsekwencje tego zwrotu byłyby w dzisiejszych wojennych warunkach bardzo poważne i trudne do przewidzenia.

WOJNY NIE MA

Rosja nie ukrywa, że Ukraina jest jedyną jej pierwszym celem. Kreml dość otwarcie wyłożył swoje żądania w grudniowym ultimatum skierowanym do Stanów Zjednoczonych i kolektywnego Zachodu. Padły w nim słowa o wycofaniu wojsk i infrastruktury wojskowej NATO z państw przyjętych do paktu przed 1997 r. Dotyczyły więc wszystkich członków NATO z naszej części Europy, w tym Polski. Gdyby Zachód ugiął się przed moskiewskimi żądaniami, Polska i cały nasz region stałyby się szarą strefą bezpieczeństwa, ziemią niczyją, którą można byłoby sprzedać Rosji w zamian za pokój.

Zresztą Moskwa co jakiś czas mówi o swoich planach co do Polski. Jedną z opcji, publicznie rozważaną w tamtejszej propagandzie, jest likwidacja naszej państwowości, przy czym ewentualne dyskusje dotyczą tego, jak duża część naszego państwa ma przypaść Rosji, czy ma to być całość, czy do linii granicznej zaboru ro-

syjskiego z 1914 r., a może tylko do Wisły. Każdy z tych wariantów zakłada zajęcie Warszawy, a zatem zamysł jest czytelny: żadnej suwerennej Polski albo w ogóle Polski w dalekosiężnych planach Kremla nie ma. Można oczywiście twierdzić, że to tylko propagandowe pogrożki, ale warto przypomnieć, że tak samo myślano wcześniej o planach podbicia Ukrainy.

Rzecz jasna, dopóki w Polsce znajdują się bazy NATO i stacjonują wojska amerykańskie, plany Moskwy muszą pozostać wyłącznie zamierzeniami, chyba że Kreml oszaleje i zaryzykuje konflikt z USA oraz nieuchronną w takim wypadku wojnę nuklearną. Dlatego też Moskwa woli wywierać presję na Europę, chce doprowadzić do powstania podziałów na Zachodzie, tak by w za-

Utrata władzy przez PiS byłaby przyjęta w Moskwie i w Berlinie z dużą satysfakcją, bo oznaczałaby całkowite odwrócenie dotychczasowej polityki i degradację Polski do pozycji wasala

mian za pokój uzyskać ograniczenie obecności NATO na wschodniej flance. Najbliższy rok – przede wszystkim zima w związku z deficytem paliw – pokaże, czy naciski Moskwy odniosą skutek.

Obecny rząd przygotowuje się do każdego, także najgorszego wariantu, w którym Moskwa głównie dzięki presji energetycznej zacznie wygrywać polityczną batalię z Zachodem. To dlatego zadbano o dywersyfikację dostaw energii i podjęto decyzje o pilnym dobrojeniu armii w broń pancerną, artylerię i samoloty. Chodzi o to, żeby Moskwa, osłabiona przedłużającym się konfliktem na Ukrainie, kilkakrotnie zastanowiła się, zanim pójdzie dalej. Oczywiście jest to wyścig z czasem, który może być przegrany, jeżeli w Polsce w tym samym czasie dojdzie do poważnych turbulencji politycznych

i zmiany władzy. Nie ma bowiem żadnej pewności, że ewentualny rząd sformowany przez antypisowską opozycję będzie kontynuował politykę zbrojeniową i energetyczną PiS. A nawet jeśli tak się stanie, co jest zresztą dość mało prawdopodobne, to nieuchronne zmiany w ministerstwach i agencjach rządowych zakłóca realizację zawartych kontraktów i utrudnią podpisanie nowych.

Trzeba bowiem zauważyć, że kampania polityczna prowadzona dziś przez antypisowską opozycję, zwłaszcza tę spod znaku PO, opiera się na tworzeniu złudzenia, że wojna nam nie grozi, a prawdziwym zagrożeniem dla Polaków nie jest agresywna polityka Rosji, lecz rządy PiS.

Niestety, wiele osób daje się na to nabrać, co niekiedy wynika ze zmęczenia przeciągającym się konfliktem, ale czasem także z tego, że dorośli ludzie – niczym małe dzieci – muszą najpierw doświadczyć czegoś na własnej skórze, by się przekonać o tym, że to coś istnieje. Tak jest również z wojną. Jeśli ktoś jej nie doświadczył za swojego życia, to jest skłonny sądzić, że jej wybuch jest niemożliwy.

Pokolenie, które pamiętało II wojnę światową, już właściwie przeminęło, a obecne niewiele o niej wie. Gdy więc się okazało, że moskiewska agresja utknęła w odległym Donbasie, spora część polskiej opinii publicznej uznała to za koniec zagrożenia. Jednak w rzeczywistości nic nie wskazuje na to, by Rosja zamierzała porzucić swoje agresywne plany. Każdy, kto choć trochę śledzi politykę Kremla lub przynajmniej zna na tyle historię, by zauważać w niej niepokojące analogie, doskonale o tym wie.

BATEM PO TWARZY

Tydzień temu, gdy okazało się, że Komisja Europejska nie zamierza wypłacić obecnemu rządowi ani centa z obiecanego i zatwierdzonego Krajowego Planu Odbudowy (KPO), Katarzyna Pełczyńska, była ambasador RP w Moskwie, kiedyś powiązana politycznie z Bronisławem Komorowskim, a ostatnio z Szymonem Hołownią, napisała na Twitterze rzecz skandaliczną.

Stwierdziła mianowicie, że w sytuacji gdy po raz pierwszy Polska nie stoi samotnie w obliczu konfrontacji z Rosją, rząd PiS, kierując się zasadą „zab za zęb”, rozpoczyna wojnę z Unią Europejską. Można to zrozumieć w ten sposób, że Europa pędzi rzekomo z pieniędzmi dla zagrożonej Polski, a ta odrzuca oferowaną jej pomoc i wywołuje awantury.

W rzeczywistości nie ma żadnej poważnej pomocy ze strony Unii. Jest wręcz przeciwnie. Unia, blokując w obliczu wojny z Rosją pomoc w ramach KPO oraz ściągając od nas kary za zakończony ugodą spór wokół kopalni w Turowie i jakoby niewystarczające wykonanie wyroku TSUE w sprawie sądownictwa, nakłada *de facto* na Polskę sankcje, które – jak zauważył Jan Rokita – są prawdopodobnie wyższe od tych, które nałożono na Rosję. Agresor został więc potraktowany łagodniej niż my. Wbrew temu, co sugeruje pani Pelczyńska, Bruksela nie tylko nie wyciąga do nas pomocnej dłoni, ale nas leje batem po twarzy.

Dziś jest już właściwie jasne, że wbrew obietnicom i umowom żadnych pieniędzy nie dostaniemy. Przynajmniej do czasu, gdy obecnego rządu PiS nie zastąpi ekipa wyznaczona przez Donalda Tuska. On sam beczelnie twierdzi, że Kaczyński „z uporem maniaka” wyciąga Polskę z Unii. Tymczasem to właśnie jego partia skutecznie antyszambrowała w brukselskich korytarzach, by zablokować należne nam wypłaty, mimo że Polska pilnie potrzebowała funduszy, by poradzić sobie ze skutkami kryzysu wywołanego pandemią i trwającą u naszych granic wojną.

Cel tej strategii jest prosty. Wyłożyła go nieopatrznie niemiecka wiceszefowa Parlamentu Europejskiego Katarina Barley z SPD, która dwa lata temu wprost zapowiedziała zagłodzenie Polski. Gdy was zagłodzimy, to może zmądrzejecie i wymienicie rząd na inny, uległy i spolegliwy, bo – jak z tego wynika – jesteście za głupi, by sami o sobie decydować. To kolonialna polityka, tyle że ukryta za wzniosłymi hasłami o praworządności i demokracji.

Oczywiście nie oznacza to, że do Polski przyjedzie unijny gubernator. Berlin ma tu od dawna swoje aktywa w postaci

Donalda Tuska z ekipą, teraz szczególnie bojową, bo wyposzczoną po długich latach spędzonych w opozycji. Dlatego jak będzie sygnał, Tusk rozbroi armię, tak jak to zrobił w 2011 r., przyjmie euro, by pogłębić nasze uzależnienie gospodarcze od Niemiec, zablokuje budowę CPK, co utrudni przerzut wojsk sojuszniczych w razie konfliktu i otworzy granicę białoruską przed nielegalnymi imigrantami. Za jego rządów Polska nie była skonfliktowana z instytucjami unijnymi, bo nie wychodziła przed szereg i bez szemrania wykonywała wszystkie sugestie płynące z Berlina i Brukseli. Teraz w obu stolicach chcą powrotu do tamtych reguł. Chce też tego sam Tusk.

Rosji nie przeszkadza Polska kierowana z Berlina, bo Niemcy mogą zagwarantować, że nie dopuszczą tu Amerykanów, nowoczesnej broni ani baz NATO. Tak zresztą było za rządów Tuska

DRAMAT NA SCENIE

Jeszcze 10 lat temu można było naiwnie sądzić, że polityka uległości, którą reprezentował wobec Berlina rząd Donalda Tuska miała jakiś – nazwijmy to umownie – walor. Taki mianowicie, że gdy staniemy się *de facto* niemieckim landem, Berlin poczuje się zobowiązany do ochrony swoich wschodnich włości. Po wybuchu wojny na Ukrainie widać doskonale, że tak wcale być nie musi. Niemcy wyciągają oczywiście korzyści z istnienia spokojnych peryferiów na wschodzie, czerpią z nich zyski gospodarcze, ale gdyby przyszło co do czego, przehandlowaliby Polskę w zamian za pokój, tak jak to chcą dziś zrobić z Ukrainą.

Rosji oczywiście nie przeszkadza Polska zwasalizowana przez Berlin, bo nie będzie wierzcą, a Niemcy mogą przy

tym zagwarantować, że nie dopuszczą tu żadnych Amerykanów, nowoczesnej broni ani baz NATO. Tak zresztą było do czasu, gdy do władzy w 2015 r. doszedł PiS i jasno zdefiniował polskie interesy, które uprzednio były fasadowym pojęciem mającym zamaskować układ lenny, w którym przez lata tkwiła Polska, i wyrażanym chociażby w bredniach o naszym rzekomym wejściu do Europy (tak jakbyśmy wcześniej byli w Afryce).

Polski rząd, który zaczął nagle prowadzić samodzielną politykę bez ciągłego oglądania się na cudze interesy i tym samym wzmocnił pozycję Polski, szybko znalazł się na celowniku Niemiec i Rosji. Odtąd oba te kraje, choć niezależnie od siebie, podkopują pozycję Polski. Berlin ustami Brukseli krzyczy o braku praworządności, Moskwa o faszystach, a obie stolice – jeszcze do niedawna – widziały u nas gniazdo antysemityzmu i homofobii, co w szczególności miało do nas zniechęcić wrażliwe na tym punkcie elity amerykańskie. Wszystkie te kalumnie służyły tylko jednemu: przedstawianiu Polaków i Polski jako odrażającego rezerwatu mentalnych jaskiniowców, którzy nie zasługują na sympatię i wsparcie i którym jest potrzebna zewnętrzna kuratela.

To jednak nie jest najgorsze. Polityka, w tym międzynarodowa, często bywa brutalną grą interesów. Problem polega na tym, że pewna część polskiego społeczeństwa nie dostrzega tej gry i ogranicza swoje horyzonty wyłącznie do krajowej sceny, zupełnie nie rozumiejąc treści dramatu, który jest na niej rozgrywany, oraz nie odróżniając realnych aktorów od marionetek. Być może właśnie dlatego od dziesiątek lat nie udawało się Polsce osiągnąć pozycji, na którą kraj z naszym potencjałem zasługiwał. Wprawdzie co pewien czas podejmowano próby odbudowy pełnej suwerenności, ale były one szybko torpedowane i cofane, zwykle z udziałem sił z zewnątrz. Ten cykl w najnowszej historii Polski powtarzał się kilkakrotnie. Podczas przyszłorocznych wyborów mamy wreszcie szansę go przerwać. O ile większość głosujących zrozumie, co się wokół nas dzieje i o jak wysoką stawkę toczy się gra.

W partiach władzę zdobywają drapieżnicy



Fot. Archiwum prywatne

Na pewno mamy zbliżenie środowisk, czyli otoczenia Rafała Trzaskowskiego i Grzegorza Schetny. Obaj chcieliby zachować podmiotowość wewnętrzną w Platformie i nie dać się zmarginalizować

Z Bogusławem Sonikiem,
posem Platformy
Obywatelskiej, rozmawia
Dorota Łosiewicz

Czy wszyscy w PO cieszą się z powrotu Donalda Tuska?

Bogusław Sonik: Po tym jak Grzegorz Schetyna przestał być szefem Platformy Obywatelskiej, partia zaczęła dołować w sondażach, zaczęła dryfować. Pojawiły się wewnętrzne spory i krytyka, która wypływała na zewnątrz. Przykładem tego był domagający się zmian list kilkudziesięciu posłów, zaadresowany do ówczesnego szefa PO Borysa Budki. Wtedy przypłynął okręt z Donaldem Tuskiem i uspokoił te wzburzone fale. Z tego powodu większość członków Platformy cieszy się z powrotu kapitana. Udało się zatrzymać odpływ elektoratu i członków PO do Szymona Hołowni, a nawet

część sympatyków wróciła. Podobnie jak wiara, że zwycięstwo jest możliwe. Ten ostatni rok pokazał jednak, że nawet z Donaldem Tuskiem na czele nie udało się wrócić do dawnych notowań. Nie osiągnęliśmy jeszcze najlepszego wyniku z czasów, gdy przewodniczącym był Grzegorz Schetyna. Mówiąc publicystycznie – udało się uratować PO przed zatonięciem, ale do pełnego sukcesu jeszcze trochę brakuje.

A kim jest Donald Tusk, który powrócił? Jeszcze liberałem czy bardziej socjalistą? Ciężko to wywnioskować na podstawie haseł i luźno wrzucanych propozycji programowych.

Donald Tusk jest dziś socjaldemokratycznym liberałem z cichą nutką konserwatyzmu. Prezentuje różnorodne poglądy i propozycje. Taka postawa przewodniczącego Tuska nie jest nakierowana na to, by wyborcy zidentyfikowali się z jedną ideą czy formacją.

Chodzi przede wszystkim o wzbudzenie emocji wśród wyborców, bowiem to właśnie decyduje o sukcesie wyborczym. Oprócz tego chodzi o to, by pokazać, że zwycięstwo jest możliwe. Stąd pojawiają się populistyczne postulaty, typu czterodniowy tydzień pracy, zachowanie krytykowanych wcześniej świadczeń socjalnych, 20-proc. wzrost płac dla budżetówki. Widzimy wiele propozycji, które mają pokazać, że PO może zwyciężyć, a jak zwycięży, to wszystko zrobi lepiej, a świat będzie piękniejszy. Chodzi też o uspokojenie Polaków, że nie stracą świadczeń socjalnych. Na tym odcinku ofiarą swojego liberalnego podejścia padł poseł Tomasz Lenz, który wypowiedział się za ograniczeniem świadczeń. A wyborcy oczywiście chcą wierzyć w to, że będzie taniej, szybciej, sprawniej. Chodzi więc o to, żeby przekonać do siebie jak największą grupę wyborców, którzy pójdą do urn i zagłosują za zmianą.

A panu osobiście podoba się ta strategia?

W polityce chodzi o to, żeby wygrać. Zwycięzców nikt nie sądzi. Czy mi się podoba ta oferta? Na pewno PO nie jest dziś partią, która ma jasny przekaz ideowy. Prezentuje różnorodne poglądy, co ma doprowadzić do zwycięstwa. I to jest ważne. A pewne jest to, że polskie partie od lat są partiami wodzowskimi. I tu PO niewiele różni się od PiS.

A to chyba nie wszystkim się podoba. Dużo ostatnio słychać o porozumieniu Grzegorza Schetyny i jego ludzi z ekipą Rafała Trzaskowskiego.

O porozumieniu moglibyśmy mówić, gdyby zbliżały się wybory w PO i któryś z wymienionych polityków zdecydował się powalczyć o przywództwo. Takiego scenariusza nie ma na horyzoncie, bowiem celem Rafała Trzaskowskiego jest powtórne kandydowanie w wyborach prezydenckich. Poza tym ma on dość ograniczoną wolę walki. Te dwie dane uniemożliwiają mu jawnie samodzielną grę w partii, bowiem potrzebuje jej, by wygrać wybory. Na pewno jednak mamy zbliżenie środowisk, o których pani mówi, czyli otoczenia Rafała Trzaskowskiego i Grzegorza Schetyny. Obaj chcieliby zachować podmiotowość wewnętrzną w Platformie i nie dać się zmarginalizować. Mam na myśli np. kontekst tworzenia list wyborczych. Obaj chcieliby być istotnymi partnerami w rozmowach z jednoosobowym przywódcą.

Pojawiły się plotki, że Grzegorz Schetyna może nie być na listach PO, a na polityczną emeryturę chyba za wcześnie. Jaki jest więc jego cel?

Już raz Grzegorz Schetyna został zesłany do Kielc przez premier Ewę Kopacz. Tak więc to nie byłaby pierwsza próba zakopania Schetyny. A cel jest podobny do tego, co zrobił kilka lat temu, gdy zgromadził wokół siebie opozycję, budując listy do Parlamentu Europejskiego czy pakt senacki. Formalnie pewnie chciałby doprowadzić do podobnej sytuacji w najbliższych wyborach parlamentarnych. Tylko że

sam tego nie osiągnie, musi szukać sojuszników – stąd zbliżenie z Rafałem Trzaskowskim. Mamy czas na młodsze pokolenie, choć ci młodzi mają dziś ok. 50 lat, jak Trzaskowski, Kosiniak-Kamysz czy Hołownia. Ale oni jednak obrazują nowy rozdział w polskiej polityce. Mogliby więc być tym magnesem, który przyciągnie nowych wyborców. A wszystko w takim duchu, że oto pokolenie 40–50-latków jednoczy siły, buduje nową jakość w polityce i ta polityka będzie inna w stosunku do tego, co działo się w ostatnich latach w Polsce. Proszę sobie przypomnieć, że przez chwilę Rafał Trzaskowski proponował nowe podejście do polityki, dystansował się od totalności, radykalizmu, ostrych słów.

Nie mam problemu z krytykowaniem rządzących, kimkolwiek by byli, ale też nie mam problemu z przyznaniem im racji. Jak z budową zapory na granicy i przekopem mierzei

Pamiętam to wystąpienie podczas Rady Krajowej, po wyborach prezydenckich. A potem wrócił Donald Tusk.

No cóż. W partiach władzę zdobywają drapieżnicy. Trzeba mieć w sobie wolę walki.

Ale Grzegorz Schetyna kojarzy mi się raczej z drapieżnikiem politycznym. Skąd więc ta marginalizacja?

Drapieżnik czeka też na moment, w którym będzie mógł zaatakować i uderzyć.

Ale to przyczajenie już trochę trwa.

Może to chińska strategia? Może siedzi na brzegu i czeka, aż spłyną ciała wrogów?

Mówi pan: zwycięzców się nie rozlicza. Ale przegranych już tak. Na to czeka drapieżnik, by zaatakować?

Chińscy strategowie sprzed wieków mówili, że najsprytniej zbudować taką pozycję, by atak nie był konieczny. Chodzi więc o wymuszenie pewnego układu wewnętrznego, który pozwoli na konsensus. Nikt nie chce, by na zewnątrz było widać rozdarcie w Platformie. Wracamy tu do dawnych modeli partii w Polsce. We Francji kiedyś było tak, że partie miały różne nurty, które negocjowały z sobą wewnętrzny układ sił na czas wyborów, tak by nikt nie czuł się marginalizowany czy poszkodowany. I latami było to źródłem sukcesu tych partii.

Zewnętrznym przejawem tego wewnętrznego rozdarcia są chyba m.in. konkurencyjne imprezy dla młodych: Meet Up i Campus Polska Przyszłości.

Różnorodność jest cenna, a te imprezy jednak się różnią. Trzaskowski organizuje kilkudniowe spotkanie dla młodych ludzi zainteresowanych życiem publicznym, którzy nie są działaczami partii. Celem Meet Upów jest pokazanie, że Donald Tusk też potrafi zorganizować młodych ludzi, tylko to są bardziej środowiska Platformy i zbliżone do PO. Prawdopodobnie Donald Tusk w kampanii będzie chciał pokazać, że idzie młodość.

Nie chce zostawić całego pola związanego z młodością i ludźmi młodymi Rafałowi Trzaskowskiemu.

Jak pan widzi te przedwyborcze sojusze. Kto z kim pójdzie wspólnie?

Za wcześniej na takie typowanie. Grzegorz Schetyna sformułował oczekiwanie, żeby razem do wyborów poszedł Rafał Trzaskowski, Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz.

Jak rozumiem Trzaskowski z częścią PO?

To zależy, czy Hołownia i Kosiniak-Kamysz zdecydują się na sojusz z Platformą z szefem Donaldem Tuskiem. Wszyscy mają w pamięci los Nowoczesnej, która zniknęła. Czekają nas na pewno próba sił i wymuszania na mniejszych partiach wspólnego startu z odwoływaniem się do tęsknot wyborców za wspólnotą i zjednoczeniem. Nie mam

wątpliwości, że pokoleniowo Trzaskowski jest łatwiejszy do przyjęcia dla Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Jednak PO jest najsilniejszą partią, ma struktury w całej Polsce, a to daje gwarancje znalezienia się w Sejmie.

A Zjednoczona Prawica pozostanie zjednoczona czy Solidarna Polska stworzy osobną listę?

Według badań, startując samodzielnie, Solidarna Polska nie miałaby szans, by dostać się do Sejmu. Już kiedyś Zbigniew Ziobro próbował. Jarosław Kaczyński raczej nie pozwoli, by z prawej strony wyrósł mu twór, który zgarnie 2-3 proc. Myślę, że raczej chodzi o to, by do wyborów tak zmarginalizować środowisko Solidarnej Polski, by przyszła i pokornie poprosiła o umieszczenie jej kandydatów na wspólnej liście.

A konflikt wokół KPO pomaga Solidarnej Polsce czy wręcz przeciwnie? I na ile realny jest konflikt między premierem a ministrem sprawiedliwości?

Jest bardzo realny. Mieliliśmy już tyle wypowiedzi ministra sprawiedliwości, za które w innych okolicznościach inny minister dawno już by wyleciał z rządu... Sytuacja wokół UE wzmacnia pozycję Solidarnej Polski, ponieważ właśnie to środowisko negowało sens łagodnej postawy w polityce europejskiej.

Polska dostanie wreszcie środki z KPO?

Nie sądzę. Raczej ich nie będzie. Celem części polityków zachodnioeuropejskich jest doprowadzenie do tego, by PiS nie odniosło sukcesu w wyborach. To jest powód zabawy w kotka i myszkę w sprawie KPO. Pieniądzy nie będzie, a reszta, czyli wypłaty z wieloletniej perspektywy budżetowej, będą zależały od wyniku wyborów. Teraz raczej wypłaty nie są zagrożone, bo to środki rozłożone na lata, do 2027 r., i są wypłacane transzami. Aż tak daleko urzędnicy się nie posuną. Wystarczy chłostanie Polski za pomocą KPO. No i brak wsparcia w sytuacji wielkich kosztów przyjęcia 3 mln uchodźców.

Dlaczego tak wielu polskich europarlamentarzystów występowało prze-

ciw Polsce i popierało kolejne rezolucje, by nie wypłacać Polsce środków z KPO?

To stało się potężnym narzędziem polityki krajowej. Nie chodzi o występowanie przeciw Polsce, tylko przeciw rządowi. Poparcie takiej rezolucji to jedno z narzędzi walki politycznej. Polska jest dziś niestety karana podwójnie. Wciąż są potrącanie kary za nierealizowanie wyroku TSUE, poza tym zablokowano środki z KPO. A wszystko w sytuacji gdy Polska wywiązuje się z wydatkowania środków unijnych. Poza tym mamy wojnę na Ukrainie, gdzie Polska jest jednym z największych sojuszników i dostawców pomocy dla tego kraju. Przyjmujemy miliony uchodźców wojennych. Poza sporem o wymiar sprawiedliwości Polska wpisuje się we wszystkie polityki europejskie, a czasem próbuje się tworzyć wrażenie, jakby Polska stała w ogóle okoniem wobec całej UE. Tak nie jest. Polska wyraziła zgodę na fundusz odbudowy, czyli wspólne zadłużenie państw, zgadza się na walkę ze zmianami klimatycznymi. Spór idzie tak naprawdę o niuans. Polska przez lata zrealizowała cel, którym było zlikwidowanie emisji przemysłowych, jednak nie udało się znacząco obniżyć indywidualnych emisji. Poza tym z wydatkowaniem unijnych funduszy Polska świetnie sobie radzi.

Kanclerz Niemiec ogłosił niedawno pomysł ograniczenia prawa weta, poparli go niektórzy polscy eurodeputowani. Jak pan ocenia ten projekt?

To jest zły pomysł. To jest realizacja marzenia o federalizacji, które ucieleśnia m.in. Guy Verhofstadt, były premier Belgii. Moim zdaniem wśród Europejczyków nie ma wystarczającego przyzwolenia na realizację tego projektu. Zapewne ułatwiłoby to zarządzanie Unią, ale wzmocniłoby napięcia w sytuacji już trudnej, bo wojennej. Wojna uwypukliła przecież spore różnice stanowisk. Zamiast rzucać rewolucyjnymi pomysłami, kanclerz mógłby się skupić na waloryzowaniu przywiązania do UE, chęci współpracy, zbliżaniu różnych polityk europejskich, głównie tych opisanych traktatami, co następuje m.in. w handlu, w ochronie środowiska. Nie widzę milowych przeszkód (odnosząc

się do nowej nomenklatury) w rozwijaniu współpracy w ramach UE, sankcje wobec Rosji są przyjmowane w konsensusie. Nie widzę więc większego sensu zniesienia weta.

Skorzystałyby Niemcy czy Francja, które miałyby jeszcze większy wpływ na Unię.

Ja bym spojrział na sprawę mniej negatywnie. Marzeniem wielu polityków i instytucji UE jest po prostu zbudowanie silnej Europy. Upatrują więc przyszłości kontynentu w modelu, który szybko pozwala podejmować decyzje bez straty czasu, bez negocjowania. Wyrazem tej wizji jest pomysł, który zawsze krytykowałem, by budować dwie listy do PE: jedną europejską i krajową. Tym, którzy tego chcą, traktaty dają możliwość zacieśnionej współpracy między krajami.

Panu bliżej do opozycji konstruktywnej czy totalnej? Nie mówi pan jak typowy polityk PO.

Nie lubię określenia „opozycja konstruktywna”, bo w czasach komunistycznych, gdy tworzyłem opozycję antykomunistyczną, zarzucano nam, że nie jesteśmy konstruktywni. Ale cenię sobie niezależność myślenia. Nie jestem w stanie powtarzać ogólników, sloganów, staram się zachować wewnętrzną wolność i uczciwość, mieć własne spojrzenie na świat i politykę. Tak będzie zawsze. Dziś gra idzie o sprawy dla Polski ważne, o decyzje, które można krytykować, trzeba dyskutować, ale monopol na jedynie słuszną rację polityczną nie istnieje. Nie mam problemu z krytykowaniem rządzących, kimkolwiek by byli, ale też nie mam problemu z przyznaniem im racji. Jak z budową zapory na granicy i przekopem mierzei. Na szczęście w miarę jednym głosem udaje nam się mówić o pomocy dla Ukrainy. Nie bawi mnie powtarzanie w mediach za Verhofstadtem, że Polska jest zarządzana, jak Rosja putinowska, a po ulicach biega 60 tys. faszystów.

Nie boi się pan, że z tego powodu zabraknie dla pana miejsca na listach wyborczych PO?

Ja się tylko żony boję. Jak ktoś idzie do polityki i się boi, to powinien zająć się czymś innym. 

Wielka frustracja

Platforma Obywatelska triumfuje tylko w głowie Donalda Tuska, a faktycznie cierpi na bezwład. Dobija ją także niezadowolenie działaczy



STANISŁAW JANECKI

W lipcu 2021 r. nastąpił triumfalny powrót Donalda Tuska do polskiej polityki oraz przewodniczenia Platformie Obywatelskiej. I choć zwycięskie fanfary brzmią od ponad roku, sytuacja partii w kwestii odzyskania władzy nie zmieniła się wcale. A nawet jest dużo gorzej, gdyż podczas tego roku nie stało się nic, co by tę władzę przybliżyło, a czas upływa. Jeden zwycięski sondaż wywołuje raczej zażenowanie niż dumę, bowiem nie poszła za nim istotna zmiana tendencji. Tusk wmawia swoim kolegom i sympatykom partii, że odzyskanie władzy to tylko kwestia kalendarza wyborczego, ale przez ponad rok nie zrobił niczego, żeby na ten kalendarz przenieść bez obaw.

Platforma prowadzi całej opozycji wyłącznie deklaratorywnie, gdyż ani to przywództwo nie jest uznawane, ani nie powstała żadna formalna struktura, w której pracowano by nad zjednoczeniem przed wyborami w 2023 r. Dla liderów innych partii nie ma to większego znaczenia, gdyż nie oni z jednego, wielkiego opozycyjnego bloku uczynili fetysz i nie ogłaszali wygranej, mimo że nawet nie wiadomo, kiedy odbędą się wybory. A w Platformie przedwczesny i „dmuchany” triumfalizm wywołuje wyłącznie ogromną frustrację. Podobnie jak zapowiedzi zjednoczenia opozycji, co zostało uznane za test sprawności, siły przyciągania i przywództwa – zarówno partii, jak i jej lidera. Przeciwnicy Tuska

w partii mówią z przekąsem, że lider się porozumiał, ale z hologramami, dlatego efektów nie widać.

Rzeczywistych powodów do triumfu nie ma wcale, zwłaszcza podpatrując, jak wygląda partia w terenie. A wygląda jak bokser po kilku nokdaunach, który nawet nie wie, jak trafić do własnego narożnika, a czasu na zmianę wyniku walki praktycznie już nie ma. Jak mówią ludzie Grzegorza Schetyny, Platforma Tuska to nie zapowiadana husaria, tylko ciury w zagubionych taborach. Miarą frustracji ma być agresja skierowana już nie tylko na zewnątrz, ale także we własnych szeregach, szczególnie wtedy, gdy ktoś wątpi w geniusz lidera. A i tych wątpiących właściwie nawet nie można wyrzucić, bo kto by został i chciał pracować.

WYJŚCIE BEZ WYJŚCIA

Ogólnokrajowa konwencja Platformy Obywatelskiej 2 lipca 2022 r. w Radomiu, w pierwszą rocznicę powrotu Donalda Tuska do polskiej polityki, okazała się wielkim forum frustracji, a nie triumfu, choć miało być to największe wydarzenie od jubileuszu 10-lecia PO w 2011 r. (w gdańskiej Ergo Arenie). I choć hala Radomskiego Centrum Sportu została zapelniona ok. 6 tys. osób, wysiłek na ich zwieźnienie (braki uzupełniano mieszkańcami Radomia, najpierw zapraszanimi, a potem jak leci) niemilosiernie par-



cię wyczerpał. A to, co Donald Tusk napisał w zaproszeniu na to epokowe wydarzenie, było potem powodem kpin: „Zaczyna się ostateczna rozgrywka o przyszłość Polski. Rok temu umówiliśmy się na wspólną, ciężką pracę, której celem jest uwolnienie Polski od PiS, a więc od korupcji, od arogancji władzy, od wszechobecnego kłamstwa i nienawistnej propagandy, od drożyzny i od lęku o przyszłość naszą i naszych dzieci”. – Która to już ostateczna rozgrywka od odsunięcia od władzy w 2015 r.? – pytano. A słowa Tuska już na konwencji: „Żyjemy w kraju, w którym trzeba mieć odwagę, żeby porozmawiać z liderem opozycji”, interpretowano nie jak ostrzeżenie przed prześladowaniami ze strony władzy, tylko jako lęk przed tym, co może się temu liderowi nie spodobać i jaka kara może za to grozić.

Samo zwiezenie publiczności służącej liderowi za tło było nie lada wyzwaniem, bo w terenie nie bardzo byli chętni na imprezę na początku sezonu wakacyjnego. Były więc prośby i groźby sekretarza generalnego partii Marcina Kierwińskiego, były zobowiązania frekwencyjne przy-

pominające te z czasów przodowników pracy, a wreszcie branie na litość, że jak to będzie wyglądać, szczególnie w wojnie z PiS, jeśli hala nie zostanie zapelniona.

Rozczarowani po konwencji byli nie tylko działacze PO, ale i sprzyjające im media. Np. tygodnik „Polityka” odnotował, że Tusk objawił się jako „pełnowymiarowy populistą”. Publicysta tygodnika Rafał Kalukin napisał: „Dzisiaj można odnieść wrażenie, że 65-letni polityk doszedł do takiego momentu w swojej karierze, że jest w stanie wygłosić dowolny pogląd. Pomstować na drożyznę i jednocześnie obiecywać podwyżki. Obiecywać państwo skuteczne i zarazem tanie. Publicznie deklarować wiarę w Boga i stanowczo odcinać się od Kościoła”.

Buńczucznie i groźnie brzmiały zapowiedzi Donalda Tuska, szczególnie te dotyczące wyprowadzania z urzędów prezesa NBP Adama Glapińskiego i prezes TK Julii Przyłębskiej, ale po chwili nawet entuzjaści tych zapowiedzi stwierdzili, że proponując coś, czego nie da się zrobić, Tusk tylko się ośmiesza. Nawet gdyby wygrał wybory i miał większość w Sejmie, a ta większość przyjąłaby stosowną uchwałę, prezesa NBP nie dałoby się odwołać bez zgody prezydenta Andrzeja Dudy, którego kadencja kończy się w sierpniu 2025 r. A prezydent Duda nie po to poparł na drugą kadencję Adama Glapińskiego, żeby go odwoływać. Podobnie nieodwoływalna jest prezes TK Julia Przyłębska, której odkuwanie od fotela Tusk zapowiedział. Nawet według PO i jej zaprzyjaźnionych prawników Julia Przyłębska została powołana na swoje stanowisko



REKLAMA



Modlitwa różańcowa
codziennie, godz. 21.35

**Transmisja Koronki
do Bożego Miłosierdzia**
codziennie, godz. 15.00

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

530722/F

prawidłowo. „Procedura odwoławcza mogłaby być uruchomiona tylko wtedy, gdyby to sam Trybunał uznał, że trzeba wszcząć postępowanie dyscyplinarne” – wyjaśniał opinii publicznej, a faktycznie Donaldowi Tuskowi, prof. Wojciech Hermeliński, sędzia TK w stanie spoczynku.

Co odważniejsi ludzie w partii, np. Grzegorz Schetyna, uznali zapowiedzi Tuska za fanfaronadę, skoro „to będzie wielki dylemat, w jaki sposób odwrócić, nie łamiąc prawa, zmieniać ustrój, który wprowadził PiS. To będzie bardzo trudne”. A nieoficjalnie zwolennicy Schetyny uważają, że Tusk stawia w okropnej sytuacji tych partyjnych działaczy, którzy potem w mediach muszą tłumaczyć, że możliwe jest to, co nie jest możliwe.

NAJWIĘKSZY KRYZYS OD 2011 R.

Powodem frustracji są też obietnice Tuska, w partii najpierw uznawane za pozytywne, choć nierealne, a obecnie już traktowane jako bardzo ryzykowne i granie z wyborcami.

To dobrze brzmi, gdy lider partii mówi, że „jednym z najpoważniejszych impulsów proinflacyjnych jest legion, tysiąc, dziesięć tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy działaczy pisowskich, aktywistów pisowskich, którzy załęgali się w spółkach Skarbu Państwa, w różnych urzędach i doją Polskę zupełnie bez opamiętania, bez litości. I mówimy tu o miliardach złotych”. Nawet w partii jest to traktowane jako populistyczna bzdura, bo można to piętnować z powodów moralnych, ale wiązanie tego z inflacją jest po prostu odłotem. Przecież nieporównanie większy wpływ na inflację miałyby proponowane przez Tuska: podwyżka o 20 proc. pensji w budżetówce, zamrożenie WIBOR czy utrzymanie wakacji kredytowych. Tacy politycy jak Izabela Leszczyna mogą temu zaprzeczać, ale rozsądni wyborcy nie kupią tego rodzaju kitu. Podobnie jak nie kupują bajek Tuska nie tylko o końcu inflacji wraz z końcem rządów PiS, ale też zapowiedzi znaczącego spadku cen benzyny. „Gdybym rządził, benzyna byłaby po 5,19 zł” – mówił Tusk. Wymienienie ceny z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku w PO uznano za jedną z większych wpadek, bo takiej zapowiedzi nie da się poprzeć żadnymi racjonalnymi argumentami. To również jest powodem frustracji w partii, ponieważ w mediach od razu jest się na straconej pozycji, gdy polityczni rywale wyciągną takie czynniki, jak: wojna i reakcja rynków na nią, odejście od dostaw ropy z Rosji i szantaż energetyczny Putina, popyt na paliwa generowany przez kilka milionów uchodźców, zwiększone potrzeby polskiej armii, problemy po pandemii, czyli zaburzenia w łańcuchach dostaw. Donald Tusk może obiecywać zmuszenie np. Orlenu do sprzedaży paliw poniżej ceny rynkowej, ale to byłoby działanie na szkodę spółki i groziło odpowiedzialnością karną. A nawet gdyby udało się obniżyć ceny paliw

Platforma w terenie wygląda jak bokser po kilku nokdaunach, który nawet nie wie, jak trafić do własnego narożnika, a czasu na zmianę wyniku walki praktycznie już nie ma

w Polsce, natychmiast wykorzystaliby to obywatele innych państw i efekt zniknąłby błyskawicznie.

Bezsensowne obietnice Tuska nie nastrajają działaczy bojowo, tylko wywołują ból głowy i frustrację, że zostali wpuszczeni w kanał, z którego nie ma dobrego wyjścia. A muszą tego bronić, bo jeśli nie, mogą zapomnieć o znalezieniu się na listach wyborczych, czym Tusk nieustannie ich straszy.

Terenowi działacze Platformy są zastraszeni z byle powodu, np. słabej frekwencji podczas objazdu Tuska po kraju. Nieprzypadkowo część tych spotkań jest organizowana w plenerze, gdyż brakuje chętnych do wypełnienia większych sal, a w salach pustki są od razu widoczne.

W Platformie panuje powszechna frustracja, gdyż nikt nie interesuje się tymi, którzy organizowali życie partii przed powrotem Tuska. Spośród 10 wiceprzewodniczących PO troje właściwie nic nie robi dla szefa (Małgorzata Kidawa-Błońska, Ewa Kopacz, Rafał Trzaskowski), troje jest uważanych za niezdolnych do współpracy arogantów (Marzena Okła-Drewno-

wicz, Bartosz Arłukowicz, Cezary Tomczyk), a czworo za słabych organizatorów (Izabela Leszczyna, Dorota Niedziela, Borys Budka, Tomasz Siemoniak). W 35-osobowym zarządzie jakakolwiek użyteczną dla partii aktywność wykazuje może sześć osób (Stanisław Żmijan, Jacek Protas, Andrzej Buła, Artur Gierada, Waldemar Ślugoński, Wojciech Saługa), reszta zaś zajmuje się wyłącznie sobą albo walką z partyjnymi wrogami. Sekretarz generalny Marcin Kierwiński bardziej interesuje się partią w Warszawie niż w całym kraju, a jego trzech zastępcy (Monika Wielichowska, Paweł Olszewski, Jarosław Urbaniak)

walczą między sobą o wpływy. W efekcie do pracy na poziomie sekretariatu partii jest jedna osoba – Jan Harhaj (starosta powiatu lidzbarskiego).

Frustracja w partii bierze się też z tego, że zarząd krajowy jest uważany za wyjątkowo słaby: organizacyjnie, intelektualnie, koncepcyjnie. Że to dwór Tuska oraz dekoracja, a nie zarząd. Tusk zresztą z zarządem ponoć niczego nie konsultuje, bo nie uważa, żeby miał tam partnerów. Szefowie organizacji terenowych PO frustrują się, bo nie przybywa członków, a dostali polecenie, żeby w tym roku ich liczba zwiększyła się o co najmniej 25 proc. W dodatku po amnestii dla nieplacących składek te same osoby znowu nie płacą i zgodnie ze statutem powinny być uznane za „martwe dusze”, a nie są, żeby statystyki wyglądały lepiej. Nie przybywa młodych w partii ani lepiej wykształconych, a wzrasta średnia wieku członków i coraz bardziej dominują ci gorzej wykształceni. Nie istnieje w partii żaden system komunikowania się dołół z górą, a jedyna kontakt jest wtedy, kiedy Tusk gdzieś się wybiera i chce mieć widownię.

W Platformie panuje więc przekonanie, że tak źle partia nie funkcjonowała od swojego powstania w 2001 r. Jak w takim razie ma wygrać wybory?



Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych,
z udziałem ekspertów i liderów administracji oraz biznesu

IV edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

JAK STWORZYĆ WARUNKI DO BUDOWY NOWEGO PORZĄDKU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO W CZASACH PRZEŁOMU WYWOŁANEGO WOJNĄ NA UKRAINIE

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
INFRASTRUKTURY



Minister Rodziny
i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY



Ministerstwo
Rozwoju i Technologii



MZ

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNERZY STRATEGICZNI:



allegro



PARTNERZY WSPIERAJĄCY:



budimex



Deloitte.

大成 DENTONS



Więcej informacji na www.wGospodarcze.pl/sektory/forum-wgospodarcze

GAZETA BANKOWA
MIĘSIACZNIK BANKOWY W POLSCE

SIECI

wPolityce.pl

W POLSCE PL

wGospodarcze.pl

Rekolekcje w drodze

Niedawna tragedia w Chorwacji, kiedy w wypadku autokaru wiozącego polskich pielgrzymów do Medjugorie zginęło 12 osób, wywołała wielki szok opinii publicznej. Obok żalu z powodu śmierci naszych rodaków pojawiły się pytania o znaczenie pielgrzymowania i o to, co dziś oznacza ono dla nas, katolików



GORAN ANDRIJANIĆ

Dante Alighieri w „Boskiej komedii”, w części poematu, w którym odwiedza Raj, opowiada o chorwackim pielgrzymie, który przybywa do Rzymu, by podziwiać chustę Weroniki, relikwię przechowywaną wówczas w Wiecznym Mieście. Padają wtedy słowa: *Kiedy oglądał szedł Kroata dziki Z twarzą Chrystusa chustkę Weroniki, Patrząc, łzą rzewną błysnął w oku twarzem, A patrząc, mówił sam w myśli: „O, Chryste! Takież twe rysy były rzeczywiste?”*

Zachwyt nad Rajem, po którym oprowadza Dantego św. Bernard, poeta po-

równuje z uczuciem barbarzyńcy, który przybył z dalekich stron, żeby spojrzeć na znaną w świecie relikwię. „Twarde oko” Chorwata nie przestało szukać Boga, a wspomnienie tego narodu w dziele Alighieri ma znaczenie ponadczasowe i nie tylko metaforyczne. Pielgrzymowanie do dziś ma dla mojego narodu, tak samo zresztą jak dla Polaków, ogromne znaczenie. Bogata i owocna duchowo tradycja odwiedzania miejsc, w których człowiek szczególnie odczuwa obecność Boga i spotyka Go – jest elementem, który mocno charakteryzuje katolicyzm i Chorwatów, i Polaków. Szczególnie w sierpniu, kiedy przy okazji urlopów wiele osób wyrusza do sanktuariów maryjnych na całym świecie.

Niedawna tragedia w Chorwacji, kiedy w wypadku autokaru wiozącego polskich pielgrzymów do Medjugorie zginęło 12 osób, wywołała wielki szok opinii publicznej. Obok żalu z powodu śmierci naszych rodaków pojawiły się pytania o znaczenie pielgrzymowania i o to, co dziś oznacza ono dla nas, katolików.

Niektóre publiczne reakcje kwestionowały cel pielgrzymki i jej znaczenie. Dość płytki argument brzmiał mniej więcej tak: gdyby nie pojechali na pielgrzymkę, pewnie by dzisiaj żyli.

Tak bezsensowne stwierdzenia nie zdziwiły mnie, kiedy wychodziły spod palców lewicowych trolli, jak np. Jana Hartmana, znanego z zamieszczania w sieci podobnych komentarzy. To, co mnie zaskoczyło, to fakt, że po reakcjach na portalach społecznościowych takie poglądy pojawiły się również wśród katolików.

Mówimy o Kościele w Polsce, tym samym, w którym już od kilku wieków można obserwować rozkwit niezwykle kultu Maryi w ikonie jasnogórskiej, przekraczający granice innych państw. Ten fakt miał zresztą wpływ na powstanie serii kopii cudownej ikony i narodzin nowych miejsc pielgrzymkowych w całej Europie Środkowej, m.in. na Węgrzech, Słowacji, w Czechach, Chorwacji czy Serbii. Tymczasem dzisiaj niektórzy wierzący katolicy, również kapłani, kwestionują pielgrzymki!

DOŚWIADCZYĆ NIEZWYKŁĘJ WSPÓLNOTY

Ks. Henryk Zieliński, redaktor naczelny tygodnika „Idziemy”, podkreśla ich znaczenie w katolicyzmie, ale nie tylko w nim. – Pielgrzymki są tak stare, jak stara jest religia – mówi nam ks. Henryk. – Sięgają zatem samych początków ludzkości i są zakorzenione w naturze. Jesteśmy przecież *homo viator*! W pielgrzymce nie chodzi tylko o dotarcie do geograficznego celu, ale również o pokonanie pewnego dystansu duchowego. Do tego potrzebny jest czas. Stąd często mówi się, że pielgrzymka to rekolekcje w drodze. Pozwalają one także doświadczyć człowiekowi niezwykłej wspólnoty, spotkać w miejscu świętym innych ludzi, mających podobną wrażliwość i system wartości. A nade wszystko dotknąć miejsc naznaczonych życiem Chrystusa czy świętych, jakimś szczególnym działaniem Boga i przesiąkniętych modlitwą milionów ludzi. Tego nie doświadczy się w świecie wirtualnym.

PRZEZ POLSKĘ I AMERYKĘ

Roman Zięba, pielgrzym i ikonopisarz z burzliwą przeszłością (spędził kilka lat w więzieniu), jest autorem książki „Krzyż Ameryki”, w której opisał swoją pielgrzymkę po Stanach Zjednoczonych. Kilka lat temu razem ze swoim przyjacielem Wojtkiem przemierzył Amerykę dwiema trasami, które ułożyły się na mapie w znak krzyża, przecinając się w Denver. Pielgrzymka trwała trzy miesiące.

– W sierpniu br. z Warszawy wyruszyło pięć pieszych pielgrzymek na Jasną Górę, wszystkie wracają na szlak po dwuletniej przerwie spowodowanej pandemią. Nawet w USA Polacy w sierpniu wyruszają na piesze pielgrzymki. W 2018 r. uczestniczyłem w trzydniowej wędrówce z Chicago do miejsca kultu wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej w Merrillville w stanie Indiana, w której szło blisko 5 tys. osób, z czego większość stanowiła młodzież. W tym roku amerykańska Polonia będzie pielgrzymować do sanktuarium w Merrillville po raz 35. – mówi nam Zięba.

I dodaje: – Pielgrzymowanie jest bardzo silnie zakorzenione w polskiej tradycji i nowe czasy nie są w stanie tego

zmienić. Tydzień temu zostałem zaproszony, by 5 sierpnia wyruszyć w Pieszą Pielgrzymkę Niepełnosprawnych. Jeszcze kilka lat temu brali w niej udział więźniowie na przepustkach, którzy pchali do Częstochowy wózki z niepełnosprawnymi. 21 lat temu byłem jednym z nich. Właśnie podczas tamtej 13-dniowej drogi odbyłem swoją spowiedź życia przygotowując mnie do sakramentów. Od tamtego czasu każdego roku wyruszam w pieszą pielgrzymkę, żeby doświadczyć tego zaskakującego spotkania, które pamiętam z chwili mojego nawrócenia: spotkania z prawdą o sobie, z Bogiem i z drugim człowiekiem.

Takie historie doskonale pokazują duchowe znaczenie pielgrzymowania. Ale oprócz duchowego pielgrzymki mają również ważne znaczenie kulturowe. „Europa zrodziła się w pielgrzymce, a jej ojczystym językiem jest chrześcijaństwo” – to słynna wypowiedź niemieckiego poety Johanna Wolfganga Goethego, mająca szczególne znaczenie w kontekście Europy Środkowej.

– Pielgrzymki pomagają przekraczać lokalne i krajowe granice – mówi nam ks. Zieliński. – Dają doświadczenie uniwersalności Kościoła. Dla wielu ludzi – szczególnie najbiedniejszych (wykluczonych ekonomicznie) – są często jedyną okazją wyjazdu za granicę. Niestety – mówi dalej ksiądz – to oni najczęściej padają ofiarami wypadków. Korzystają z najtańszych ofert, w których nie przewidziano noclegów po drodze, podróżują tanimi, czyli zużytymi, autokarami itd. Czy zatem zabronić im wyjazdów? Wyjazd zagraniczny ma być tylko dla tych, których stać na samolot? Być może trzeba zabronić jazdy non stop, nawet jeśli w autokarze jest dwóch kierowców? Najwięcej wypadków zdarza się bowiem nad ranem – komentuje ks. Zieliński.

Za każdym razem, gdy dochodzi do tego rodzaju tragedii, staje się ona rodzajem sprawdzianu wiary nie tylko dla rodzin zmarłych, ale także dla wszystkich wierzących. Pielgrzym idzie szukać Boga i umiera na drodze. Jak to wytłumaczyć duchowo?

– Tragedia zdarzyła się akurat o święcie w niedzielę, kiedy w kościołach na całym świecie była czytana Ewangelia o konieczności czuwania, ponieważ Pan przyjdzie niespodzianie, „jak złodziej

w nocy”. Cóż więcej można powiedzieć. Można zginać, czekając na przystanku na tramwaj, wracając w sobotę z dyskoteki albo w niedzielę z kościoła. Jesteśmy wezwani do rozważi i roztropności, żeby bezsensownie nie narażać życia swojego ani cudzego. Ale nie możemy ze strachu przestać żyć, pracować, podróżować i pielgrzymować. Zwyczajnie musimy być gotowi. Wyciągamy wnioski – również duchowe – z cudzych tragedii, by w przypadku, kiedy mogłyby one dotknąć nas samych, nie zabrakło nam czasu na rachunek sumienia i załatwienie swoich spraw z Bogiem i z ludźmi – podkreśla ks. Zieliński.

DO ATAKU KAŻDA OKAZJA JEST Dобра

Nie powinien nas dziwić fakt, że nawet tę tragedię wykorzystano do ataku na Kościół, zauważa ks. Zieliński. – Żyjemy w czasach, w których każda okazja jest wykorzystywana, żeby uderzyć w Kościół i katolickie praktyki religijne. Dokonuje się to w ramach szerszego procesu przedstawiania Kościoła jako przestrzni, w której ludzie doznają największych zranień, zawodów i traum. Nawet jeśli Kościół, jak w tym przypadku, nie był organizatorem tej pielgrzymki, to mimo wszystko oskarżenia padają pod jego adresem tylko za to, że cel tego wyjazdu był religijny. Czy byłoby podobnie, gdyby był to wyjazd np. kibiców na mecz do Zagrzebia? Albo gdyby doszło do wypadku autokaru z uczestnikami Pol'and'Rock Festival?

Duchowość pielgrzymowania nie zależy od okoliczności społecznych czy politycznych. Ona jest ponadczasowa. Tak pisze o tym chorwacki franciszkanin śp. Slavko Barbarić, niezwykle ważny dla duchowości Medjugorje teolog i duszpasterz: „Pielgrzymki są wyrazem człowieka poszukującego Boga w miejscach, gdzie objawiał się w szczególności sposób, gdzie mogli łatwiej odczuć Jego obecność, albo szczególnie ubogaczonych charyzmatami osób, które służąc tymi darami, stały się znakiem obecności Bożej. Przez każdą pielgrzymkę człowiek wychodzi ze swojej codzienności, zostawia pracę, rodzinę, przyjaciół, pewność i wyrusza w drogę niesiony pragnieniem nowego spotkania z Bogiem”.

Wyjątkowy dar

na 300-lecie koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej

*Tętniące życiem
sanktuarium maryjne
w nadbużańskim
Kodniu jest znakiem
nadziei, że polskie
tradycje i przywiązanie
do wiary przodków
przetrwają burzliwe
czasy, w których
przyszło nam żyć*



PIOTR FILIPCZYK

W przyszłym roku znowu zjawia się tam tłumy wiernych. Okazją będzie 300. rocznica koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej. Nowe korony, wykonane przez jednego z najwybitniejszych światowych twórców sztuki sakralnej Mariusza Drapikowskiego, pobłogosławił papież Franciszek.

– Kodeń jest dla mnie i mojej rodziny miejscem wyjątkowym. Powierzamy Kodeńskiej Pani nasze troski i dzielimy się z nią naszymi radościami. To są skromne dowody mojego oddania i wdzięczności. Bo tak naprawdę prze-

cież nigdy nie znajdę możliwości, by odwdziżyć się Matce Bożej i wspinałym kodeńskim zakonnikom za ten bezmiar dobra, które moja rodzina tutaj otrzymała – mówi nam senator Grzegorz Bierecki, współfundator koron.

Kodeńskie sanktuarium jest jednym z najchętniej odwiedzanych miejsc kultu we wschodniej Polsce. Obraz Matki Boskiej Kodeńskiej, według legendy porwany przez Mikołaja Sapiehę z Rzymu, a zgodnie z przekazem historycznym prawdopodobnie kupiony przez magnata w Hiszpanii, słynie z cudów uzdrowień. Od wieków otaczają go czciami nie tylko rzymscy katolicy, ale też wierni katolickich obrządków wschodnich, a także prawosławni.

Kodeń był miejscem szczególnym dla św. Jana Pawła II. Jeszcze jako kardynał przyjechał tu w 1977 r. w zastępstwie prymasa Stefana Wyszyńskiego. To wtedy Karol Wojtyła nazwał królową

Podlasia Matką Sprawiającą Jedność. Chodziło mu o wspólnotę narodów byłej Rzeczypospolitej: Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców. Przyszły papież stanął wówczas na balkonie klasztoru i pobłogosławił cały Wschód.

Cudowny obraz został ukoronowany koronami papieskimi po raz pierwszy w 1723 r. Były one ufundowane przez kapitułę bazyliki św. Piotra. W przyszłym roku, w 300. rocznicę koronacji cudownego obrazu, znajdą się na nim nowe korony. Dzieła to szczególne. W koronie Kodeńskiej Pani znajduje się bowiem kamień z Groty Narodzenia Pańskiego, w koronie jej Syna – kamień z Grobu Pańskiego.

– Pozyskanie tych skarbów było możliwe dzięki naszej pracy przy wielu dziełach, które trafiły do Ziemi Świętej. Nawiązałem tam kontakty, które umożliwiły mi pozyskanie tych kamieni. Nadają one koronom dodatkową, niezwykle przejmującą symbolikę – mówi nam twórca dzieła Mariusz Drapikowski.

Aby dobrze odczytać przesłanie, jakie niosą z sobą korony, trzeba zwrócić uwagę na wiele detali.

– Wykonując wszystkie prace sakralne, chcemy, żeby można było z nich odczytać treści ewangeliczne. W koronie Maryi w bursztynie zamieściliśmy lilie, które są przecież atrybutem Matki Bożej, podkreślającym zarówno jej niewinność, jak i królewskość. Maryjny jest również kolor niebieski, stąd zdecydowaliśmy się na użycie szafirów. W przypadku korony Jezusa widzimy z kolei rubiny, które mówią nie tylko o jego królewskości, ale także cierpieniu, które przyniosło nam zbawienie – tłumaczy Mariusz Drapikowski. – Praca jest tym cenniejsza, że mogliśmy też korzystać z darów złożonych przez mieszkańców





Od prawej: biskup siedlecki Kazimierz Gurda, papież Franciszek, o. Paweł Zając OMI oraz senator Grzegorz Bierecki z żoną

Kodnia i pielgrzymów. W koronę wtopiliśmy m.in. złoto z wotywnych pierścieni. Ta ofiara to modlitwa każdego z tych ludzi w intencjach, które zawierzyli Maryi – dodaje artysta.

Gdański twórca, specjalizujący się w złotnictwie i bursztynnictwie, pracował już wcześniej z oblatami opiekującymi się kodeńskim sanktuarium. Wykonał przepiękną monstrancję, podarowaną sanktuarium przez senatora Grzegorza Biereckiego. Także korony zostały ufundowane m.in. przez parlamentarzystę reprezentującego w Senacie południowe Podlasie.

Papież Franciszek pobłogosławił korony w Auli Pawła VI w Watykanie. Delegację Polskiej Prowincji Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej sformowali o. Paweł Zając OMI, o. Krzysztof Borodziej OMI i o. Michał Hadrich OMI. Wraz z biskupem diecezji siedleckiej Kazimierzem Gurdą zakonnicy zaprosili legata papieskiego na przyszłoroczne uroczystości w Kodniu.

– Inicjatywa nowych koron pojawiła się kilka miesięcy temu. Chcieliśmy przypomnieć ten wielki akt, który miał miejsce w naszym sanktuarium 300 lat temu. Tym bardziej, że przecież nie było to możliwe 200 lat temu, kiedy Polska znajdowała się pod zaborami, czy 100 lat temu, gdy obraz Królowej Podlasia przebywał w Częstochowie – mówi nam o. Krzysztof Borodziej OMI, superior kodeńskiego sanktuarium, kustosz świątyni.

Rozpoczęła się zbiórka funduszy i wotów wśród pielgrzymów i mieszkańców południowego Podlasia. Ci pospieszili z ofiarną pomocą.

– Sprawa znacznie przyspieszyła, gdy podczas jednej z rozmów o naszym projekcie usłyszał senator Grzegorz Bierecki. Postanowił on pokryć resztę potrzebnej kwoty. Robił to w szczególnej intencji, której jednak nie będę wyjawiał, bo to intymna sprawa i nie wiem, czy życzyłby on sobie, bym się nią publicznie dzielił. Grzegorz przyjechał tu jako pielgrzym, człowiek, a nie po-

lityk. Zaoferował pomoc, nie pierwszy zresztą raz – dodaje o. Borodziej.

Oblaci przypominają, że ostatni rok był dla Kodnia bardzo trudny. Spłonął bowiem tamtejszy dom pielgrzyma. Jednocześnie sanktuarium stało się miejscem spotkań i modlitwy żołnierzy, strażników granicznych i policjantów strzegących polskiej granicy po tym, jak wykorzystując migrantów, zaatakował ją reżim Łukaszenki. Od 1 lipca dom pielgrzyma działa już normalnie. I na pewno przyda się w przyszłym roku, kiedy do Kodnia zjadą ludzie z całej Europy.

– Tak uroczysta celebracja 300-lecia koronacji to dla nas ogromne wyróżnienie. W przyszłym roku papież wyśle do nas swojego legata, który będzie brał udział w uroczystościach rocznicowych i który jeszcze raz potwierdzi doniosłość tego wydarzenia – mówi o. Krzysztof Borodziej OMI. – Ludzie przyjeżdżają tu i bardzo często wracają. To miejsce promieniuje łaską i chwałą Maryi – puentuje zakonnik.

Nieszablona ofensywa Ukrainy na Chersoń

Wielu zachodnich wojskowych podkreśla niezwykłą pomysłowość Ukraińców w wojnie z Rosjanami, która obejmuje i kwestie związane z taktyką, i sztuką operacyjną



MAREK BUDZISZ

„O ni już czują, że nadszedł czas, by uciec z Chersonia i w ogóle z południa naszego państwa – powiedział Wołodymyr Zełenski w przemówieniu do narodu wygłoszonym dzień po skutecznym ataku na znajdujące się na Krymie rosyjskie lotnisko wojskowe Saki. – Nadejdzie czas, kiedy uciekną z Charkowa, Donbasu, Krymu”. Jednocześnie zaapelował do mieszkańców okupowanych terenów, by ci wsparli działania ukraińskich sił zbrojnych, przekazując informacje o ruchach wroga i zdrajcach. W tych kilku zdaniach zawarto wszystko to, co w Kijowie myśli się zarówno o nowej fazie wojny, rozszerzonych celach Ukrainy, jak i o tym, w jaki sposób ofensywa na południu miałaby zostać przeprowadzona, czyli o zmianie taktyki strony ukraińskiej.

ZMIANA TAKTYKI

O tej ostatniej kwestii mówi też w wywiadzie dla „Ukraińskiej Prawdy” Ołeksij Reznikow, minister obrony, przytaczając opinie swoich odpowiedników ze Stanów Zjednoczonych i z Wielkiej Brytanii. „Rosjanie stosują taktykę maszynki do mielenia mięsa – mieli mu powiedzieć w rozmowie. – Jeśli planujesz z nimi walczyć tą samą taktyką, to my nie będziemy mogli ci pomóc. Nie mamy środków, by pokryć terytorium ciałami i pociskami, jak to się dzieje w przypadku taktyki Rosjan. Dlatego musicie zmienić taktykę, walczyć w inny sposób”. I strona ukraińska walczy inaczej na południu niż w Donbasie, atakując precyzyjnie rosyjskie linie zaopatrzenia, magazyny paliwa i amunicji, punkty dowodzenia.

Najpierw ukraińskie siły zbrojne w ten sposób zaczęły atakować mosty przez Dniepr w okolicach Chersonia i niszczyć, a tylko w ostatnim tygodniu przeprowadziły co najmniej 10 skutecznych uderzeń na rosyjskie składy amunicji i punkty dowodzenia. Jak powiedział mediom gen. mjr Dmitrij Marczenko, do kwietnia dowodzący

obroną Mikołajowa, a obecnie – jak się spekuluje – przygotowujący ukraińską kontrofensywę: „Uwierzcie, nasza sytuacja nie jest tak zła, jak się powszechnie uważa”.

Natalia Humeniuk, kierująca centrum prasowym Południe, powiedziała z kolei, że ukraińska armia obecnie przede wszystkim utrudnia Rosjanom rozwinięcie grup uderzeniowych oraz dodatkowo atakuje mosty na Dnieprze. Jej słowa są związane z informacjami o znacznym wzmocnieniu, mówi się nawet o tym, że Rosjanie dysponują już na prawym brzegu rzeki potencjałem 25 tys. żołnierzy i znacznymi ilościami sprzętu, są zgrupowani na Chersońszczyźnie i przygotowani do uderzenia na Mikołajów i Krzywy Róg, i dalej – na Woznesieńsk. Ten scenariusz potwierdza, mówiąc, iż to jedna z opcji, gen. Marczenko. Gdyby jego diagnozy potwierdziły się, to zapowiadana od kilkunastu dni ukraińska ofensywa na Chersoń miałaby wyglądać zupełnie inaczej, niż się powszechnie sądzi. To raczej Rosjanie byłiby prowokowani do ataku po to, by po wciągnięciu ich kolumn pancernych w głąb ukraińskiego terytorium powtórzyć scenariusz spod



Kijowa, gdzie pozbawieni dostaw paliwa i amunicji w pewnym momencie stanęli i stali się łatwym celem.

Wielkiego uderzenia ze strony sił ukraińskich na Chersoń nie należy się spodziewać również dlatego, że aby odnieść sukces, jak napisał Daniel Davies, pułkownik rezerwy i ekspert think tanku strategicznego Defence Priorities, strona ukraińska potrzebowałaby cudów, i to nie jednego, lecz trzech, które powinny nastąpić w jednym czasie i w jednym miejscu. Po pierwsze, jak napisał, Rosjanie musieli nie zauważyć, co się szykuje, i nie podjąć działań wyprzedzających. Ale to już się nie wydarzy, bo Moskale, o czym otwarcie informują ukraińskie media, nie tylko ściągnęli więcej wojska, ale również rozbudowują umocnienia. Po drugie, musiałaby przestać się liczyć geografia. Atakując w kierunku na Chersoń, strona ukraińska musiałaby przejść 20 km stepu – otwartej, płaskiej przestrzeni. Trzeci cud jest jeszcze mniej prawdopodobny. Jeszcze nigdy w historii wojen, argumentuje Davies, nie zdarzyło się, by słabsza liczebnie, a także jeśli chodzi o siłę artylerii i lotnictwa, atakująca strona zdołała wyprzeć prze-

ważających pod każdym względem przeciwników, broniących się w miastach i wykorzystujących umocnione pozycje. A tak jest w przypadku relacji sił na kierunku chersońskim.

Czy zatem należy przypuszczać, że ofensywa Ukrainy to wytwór hurraoptymistycznej propagandy, wydarzenie medialne, a nie realne? Niekoniecznie, jednak musimy zrozumieć, że „niezwykła pomysłowość Ukraińców w tej wojnie”, o której niedawno mówił gen. Ben Hodges, może obejmować i kwestie związane z taktyką, i sztuką operacyjną. W tym przypadku terminem „ofensywa” może być opatrzone działanie, które wcale nie przypomina klasycznego manewru tego rodzaju.

BRAWUROWA AKCJA NA KRYMIE

Po uszkodzeniu przepraw przez Dniepr i niemałej liczby rosyjskich magazynów i składów paliwa strona ukraińska wykonała następne brawurowe posunięcie – uderzyła na znajdujące się na Krymie lotnisko Saki. Kosztowało to Rosjan, jak skrupulatnie obliczyli zachodni specjaliści, utratę od 6 do 14 samolotów,

w tym 3 Su-30 i 6 Su-24, o szacunkowej wartości 1 mld dol. Elliot Higgins, jeden z twórców i dyrektor niezależnej agencji śledczej Bellingcat, napisał, że nie może przypomnieć sobie dnia, w którym Rosjanie straciliby więcej za jednym zamachem. A Mick Ryan, emerytowany generał australijskich sił zbrojnych, komentujący dla światowych mediów przebieg wojny na Ukrainie, napisał, że straty Rosjan są znacznie, znacznie większe niż wartość zniszczonych samolotów. W jego opinii skuteczne uderzenie na lotnisko znajdujące się na Krymie, w odległości 300 km od linii frontu, podważy zaufanie Moskali do własnych systemów obrony przeciwlotniczej, w tym przereklamowanego S-400.

Rozszerzenie obszaru, na którym są prowadzone aktywne działania, oznacza też, że rosyjscy dowódcy wojskowi będą zmuszeni rozproszyć swoje ograniczone przeciw siły, bo będą chcieli chronić inne potencjalne cele ukraińskich uderzeń, takie jak główna baza floty wojennej w Sewastopolu czy słynny most Krymski. Franak Viačorka, doradca Swiatłany Cichanouskiej, poinformował dzień po ataku na lotnisko w Sakach o serii kilku eksplozji w rosyjskiej bazie wojskowej niedaleko białoruskiego Homla, 100 km w linii prostej na północ od Czernihowa. Jeśli te doniesienia się potwierdzą, to oznaczałyby one, że strona ukraińska, precyzyjnie atakując cele wojskowe położone za linią frontu, dąży do rozproszenia rosyjskiego potencjału, a w efekcie jego osłabienia, bo wiadomo, że Moskwa ma zbyt małe siły, by obsadzić front ciągnący się na długości 2,5 tys. km.

Równie znaczące jest w opinii Mike’a Ryana zniszczenie przez ukraińskie siły zbrojne czterech dużych magazynów z bronią i składów paliwa, znajdujących się w Sakach. Ryan w tym przypadku używa porównania do ataku na Pearl Harbour, tyle że tam Japończykom nie udało się zniszczyć amerykańskich zbiorników paliwa i uzbrojenia, co w dłuższej perspektywie wpłynęło na losy wojny. W przypadku ataku na rosyjskie lotnisko wojskowe na Krymie sytuacja jest inna. Ukraińcy zrealizowali swój plan w 100 proc., więc zdaniem australijskiego eksperta konsekwencje dla przebiegu dalszych działań zbrojnych będą poważniejsze.

Tym bardziej że jak przypomnieli dziennikarze „The New York Times”, od kilkunastu dni na okupowanych przez Rosjan terenach prawego brzegu Dniepru znacznie zaktywizowała się ukraińska partyzantka. Eliminowani są kolaboranci, tak jak stało się to w przypadku wicemera Nowej Kachowki, pojawia się coraz więcej informacji o tym, że Moskale obawiają się swobodnie przemieszczać, współrządne atakowanych później celów są przekazywane ukraińskim siłom zbrojnym.

Wydaje się, że Ukraińcy wykorzystali w przypadku tego, co się określa mianem ofensywy na Chersoń, pochodzące jeszcze z czasów sowieckich analizy, jak słabsza strona powinna prowadzić wojnę asymetryczną, partyzancką. Jeszcze w latach 60. Rosjanie, badając konflikty tego rodzaju, doszli do wniosku, że strona słabsza zazwyczaj nie jest w stanie wygrać w otwartym starciu, ale by odnieść sukces, wystarczy jej odebranie przeciwnikowi inicjatywy strategicznej. Polityczne koszty kontynuowania wojny są w świetle tej teorii zawsze w przypadku strony silniejszej wyższe. Choćby dlatego, że wszyscy spodziewali się szybkiego i łatwego sukcesu, a przedłużające się zaangażowanie pociąga za sobą wzrost niepożądanych, najczęściej o charakterze wewnętrznym, zjawisk w państwie większym, atakującym. Tak było w przypadku amerykańskiej wojny w Wietnamie, ale również dwóch interwencji w Afganistanie – sowieckiej i amerykańskiej. Wydaje się, że Ukraina stara się przyjąć podobną taktykę. Odcina rosyjskim siłom zbrojnym powietrze, atakując linie zaopatrzenia, pozbawia je mózgu, eliminując punkty dowodzenia, a rozszerzając obszar operacji, zmusza do ciągłej adaptacji do nowych realiów. To utrudnia planowanie, nie mówiąc już o manewrowaniu.

ROZMOWY Z ROSJĄ SĄ MOŻLIWE, ALE...

Z tym wszystkim łączy się nie mniej istotny obszar polityczny, bo wojna – jak wiadomo – jest przedłużeniem polityki, tylko uprawianą przy użyciu innych środ-

ków. Zelenski, przemawiając po ataku na krymskie lotnisko, podjął kwestię przyszości anektowanego w 2014 r. półwyspu, mówiąc: „Region Morza Czarnego nie może być bezpieczny, gdy Krym jest okupowany. W wielu krajach wybrzeża Morza Śródziemnego nie będzie stabilnego i trwałego pokoju, dopóki Rosja będzie mogła używać naszego półwyspu jako swojej bazy wojskowej”. Dodał również: „Dzisiaj wiele uwagi poświęca się Krymowi. I to jest prawidłowe, dlatego że Krym jest ukraiński i my nigdy się nie zgodzimy z jego utratą”. Prezydent

Ukraińcy odcinają rosyjskim siłom zbrojnym powietrze, atakując linie zaopatrzenia, pozbawiają je mózgu, eliminując punkty dowodzenia, a rozszerzając obszar operacji, zmuszają do ciągłej adaptacji do nowych realiów. To utrudnia planowanie, nie mówiąc już o manewrowaniu

powiedział też, co uznać należy za ważny sygnał polityczny, że wojna zaczęła się od aneksji Krymu i skończy jego wyzwoleniem. A zatem atak na lotnisko Saki jest nie tylko posunięciem wojskowym, ale również politycznym, jego istotą jest bowiem doprecyzowanie przez Kijów jednego z celów wojny i pokazanie, że Ukraina ma realne możliwości dążenia do jego osiągnięcia.

Symptomatyczne jest to, że Karine Jean-Pierre, rzeczniczka Białego Domu, pytana o stosunek Waszyngtonu do tego uderzenia odpowiedziała, że Stany Zjednoczone podtrzymują wysiłki Ukrainy mające na celu obronę suwerenności i integralności terytorialnej, czego trudno nie odczytać jako aprobaty dla ataku na Krym. Jest to o tyle ciekawe, że ukraiński minister obrony kilka-

krotnie już podkreślał, iż oczekiwania, by strona ukraińska nie atakowała przy użyciu otrzymanych od Amerykanów systemów raketowych celów w Federacji Rosyjskiej, nie dotyczą Krymu. To, co stało się w ubiegłym tygodniu, zdaje się potwierdzać tę interpretację.

Równolegle doradca Zelenskiego Mychajło Podolak powiedział, że rozmowy z Rosją są możliwe, ale dopiero potem, jak Moskale doznają kilku porażek w polu, a Andrij Jermak, szef administracji Zeleńskiego, stwierdził w wywiadzie dla portalu RBK-Ukraina, że Kijów chciałby przed zimą zakończyć, oczywiście na własnych warunkach, aktywną fazę wojny z Rosją. Podobnie chyba myśli Kurt Volker, były specjalny wysłannik na Ukrainę za administracji Trumpa, który w wywiadzie dla „Ukraińskiej Prawdy” zapowiedział zmiany na korzyść Ukrainy tej jesieni. Również na tego rodzaju podejście wskazuje niedawne, wspólne oświadczenie premiera Johnsona i prezydenta Macrona, w którym znalazło się istotne zdanie, że prezydent republiki i premier potwierdzili swoją determinację, by wspierać Ukrainę tak długo, jak to konieczne.

Jak można przypuszczać, strona ukraińska liczy nie tyle na sukces wielkiej ofensywy na Chersoń, bo ten w związku z relacją sił byłby chyba mało prawdopodobny i z pewnością okupiony wielkimi stratami po stronie atakujących, ile na powtórkę scenariusza spod Kijowa. Rosjanie pozbawieni zaopatrzenia i stale atakowani – zarówno przez partyzantów, jak i ukraińską artylerię i siły specjalne – mieliby dojść do wniosku, że pozostanie na prawym brzegu Dniepru jest z ich perspektywy zbyt ryzykowne i ogłosić, oczywiście „w geście dobrej woli” ewakuację. Po tym jak Ukrainie udało się odzyskać jedyną zajęętą przez Rosjan stolicę prowincji, mogłyby zacząć się ewentualne rozmowy pokojowe. Ale już w zupełnie innych warunkach. Moskwa stała by wówczas oko w oko z coraz silniejszym i pewnym siebie przeciwnikiem, a na dodatek sankcje Zachodu byłyby już odczuwalne. I taki jest strategiczny i polityczny – jak się wydaje – cel ukraińskiej nieszablonowej ofensywy na Chersoń.



Rosjanie biegną na nas z okrzykiem: „Ukropy, poddajcie się!”

Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

Widzieliśmy go w akcji. Twardy, niewzruszony, odważny, naprawdę rakietom rosyjskim się nie kłania. Skąd ta pewność siebie i gorliwość bojowa?

Starszy sierżant **Oleksandr Palii** zaczął walczyć z Rosją w wieku 18 lat, gdy w Donbasie w 2014 r. padły pierwsze strzały. Teraz w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim odsłania prawdę o Rosjanach na froncie

Możemy zdradzić mniej więcej, gdzie się znajdujemy?
Oleksandr Palii: Pod Słowiańskiem, obwód dnieński.

Powiedz proszę, jak długo jesteś tutaj w Donbasie.
Czwarty miesiąc.

I przeżyłeś...
Tak, no dlaczego by nie? [śmiech]

A jednak nie wszyscy z waszej jednostki przeżyli...
Wielu naszych poległo w działaniach bojowych.

Ale Rosjan chyba więcej poległo?
Ja jestem pewien, że Rosjan więcej poległo.

A jak wygląda rosyjski atak? Jest ich wielu, mają mnóstwo ciężkiego sprzętu, rakiet...

Wszystko zależy od pory. Wiosną, kiedy mieli przewagę liczebną, wyglądało to tak, że przez kilka tygodni szły przygotowania – codziennie ostrzały, ostrzały, ostrzały... Potem nagle podjeżdżał ciężki sprzęt, wysadzał desant, który biegł na nas przez pole. Piechota idzie na nas w stylu II wojny światowej w Armii Czerwonej.

Naprzód?

Prosto przed siebie, jak w dym.

Ale im nie wychodzi.

Czasem im się udaje, czasem im się nie udaje.

Ale na twoim odcinku się nie udaje.

Bywało i odwrotnie. To zależy od przewagi w ciężkim sprzęcie i ogniu artyleryjskim. Odkąd przyjechały Himarsy i zaczęły ostrzeliwać ich sztaby i magazyny, nagle liczba rosyjskich ostrzałów się zmniejszyła, ich jakość spadła, ataki stały się słabsze.

Powiedz, jak wygląda taki dzień, gdy zaczyna się rosyjski atak, rusza rosyjska piechota, strzelają czołgi... Co dalej?

Strzelają czołgi, strzela piechota wysadzona z pojazdów opancerzonych, biegnie przed siebie z pogardliwym okrzykiem: „Ukropy, poddajcie się!”

Te „ukropy” to ma być takie obraźliwe określenie, jak w języku polskim wieśniak, prostak, debil. No ale wy się nie poddajecie?

Oczywiście, że nie.

To co oni mają w głowach, że tak krzyczą?

Myślą, że nas przestraszą takim okrzykiem.

Zatem biegają na was, wy strzelacie do nich, nabijając im liczbę poległych.

Albo zabierają swoje rzeczy i uciekają.

Myślisz, że u nich jest słaba jakość szkoleń, umiejętności wojskowych?

Nam nie dorównują w tym zakresie, myślę, że są marnej jakości. Choć ci, którzy na nas szturmowali, też nie byli tacy najgorsi, próbowali manewrować, ale na otwartym terenie, bez osłony. I to ich zabiło.

W jaki sposób polegli koledzy z twojego oddziału?

Różnie, ale głównie od ostrzału artyleryjskiego. 60–70 proc. strat to te ostrzały.

W nocy?

W nocy i za dnia.

I gdzie wy się ukrywacie, w okopach, w budynkach?

W okopach, w ziemiankach, w budynkach jest niebezpiecznie. Jak coś walnie w budynek, to może ciebie kompletnie zasypać gruzami. Piwnice..., raczej to, co sami wykopalismy.

Jak to jest, że ty przeżyłeś, kiedy widzimy po twoich nagraniach, że poczynasz sobie bardzo odważnie na

polu bitwy i tobie się udaje wyjść cało, a wielu twoim przyjacielom już nie. Od czego to zależy, od szczęścia, od losu?

To zależy od wielu czynników, ale chyba właśnie od losu. Ja wierzę w przeznaczenie.

I co wiesz o swoim przeznaczeniu?

Nie wiem, czas pokaże.

Widzieliśmy na nagraniach, jak podczas walki po prostu spacerujesz z bronią, nie boisz się?

Myślę, że ważnym czynnikiem jest przekonanie co do swoich sił i umiejętności. Adrenalina i doświadczenie robią swoje. Kiedy znajdujesz się pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim, jakoś się do tego przyzwyczajasz. A kiedy się dostosujesz, łatwiej jest prowadzić działania bojowe, bo jesteś wtedy skupiony, nie jesteś spięty, patrzysz na działania trzeźwo, jak na polowaniu czy podczas łowienia ryb, normalnie prowadzisz operacje wojskowe. Kiedy wróg prowadzi ataki, kiedy Rosjanie się na nas rzucają, z przekonaniem, że „ukropy” się rozbiegną, a my tu nagle walimy do nich ze wszystkich karabinów, to oni doznają szoku i w gęstym ukraińskim ogniu zaczynają uciekać. Jak nie dasz się zaszokować, to masz pewną przewagę psychologiczną.

Jak rosyjscy wojskowi zmienili się od 24 lutego?

Pogorszyła się ich jakość, pogorszyła się część bojowa, większość z tych dobrych wojaków już poległo, więc teraz wysyłają uzupełnienia. Idą teraz ludzie, którzy nie brali udziału w działaniach wojennych – zmobilizowani, poborowi lub ochotnicy. A po pierwszej bitwie, o ile nam wiadomo, wielu żołnierzy wroga popada w kryzys, bo władze im mówią, że wystarczy nas trochę bardziej nacisnąć i się rozpierzchniemy, a okazuje się, że oni tu napotykaliby wściekły opór, więc Rosjanie tracą wiarę w przywódców, we władzę i przede wszystkim tracą wiarę w swoje zwycięstwo.

Jak się ta sytuacja rozwinie? Oni mają coraz większe straty, wy otrzymujecie coraz lepszy sprzęt. To brzmi jakby zwycięstwo było w zasięgu ręki.

Jestem pewien, że Rosjanom się ta wojna nie udała. Większą część swojego sprzętu już stracili. Gdzie Putin zwerbuję nową armię? Nie wyobrażam sobie takiego źródła. Teraz

idzie już u nich sprzęt z czasów sowieckich, w jakości to nasz sprzęt jest lepszy. Teraz trzeba zgromadzić ciężki sprzęt i zorganizować jedno silne uderzenie i patrzeć, jak cała ich obrona się rozpada.

Czy większość ukraińskich wojskowych jest podobnego zdania?

Różnie. Ciężkim czasem był maj i czerwiec, gdy trwały intensywne, rosyjskie ostrzały, a naszej artylerii właściwie nie było słyhać, taką mieli przewagę. Ale teraz, gdy Himarsy zaczęły pracować, wiele się zmieniło, a i wielu naszych uwierzyło w zwycięstwo.

Powiedz mi szczerze, kiedy ty naprawdę mocno się bałeś?

Dokładnie pamiętam, to był dzień moich trzecich narodzin – 25 maja 2022 r. Razem z plutonem wpadliśmy w leśną zasadzkę, zaczęła się intensywna strzelanina w odległości ledwie 15 metrów. Jeden z naszych poległ od razu, ja myślałem, że już z tego nie wyjdziemy. Ale zebraliśmy myśli i zaczęliśmy dawać odpór, zwłaszcza z granatników, także polskich, mogę nawet pokazać, na pewno od Polaków go dostaliśmy. To wtedy przesądziło, bardzo pomogło, udało nam się wycofać, choć ze stratami – jeden poległy, jeden ranny. To był najstraszniejszy moment. Mnie jeszcze trafiła kula, ale w kamizelkę kuloodporną.

Zacząłeś walczyć w 2014 r. i jak myślisz, jak się zmienia psychika człowieka, twoja psychika, po tylu bitwach, walkach, widziałeś śmierć, straciłeś przyjaciół...

Przede wszystkim jestem już zmęczony. Nawet nie zmęczony, użyłbym innego słowa, ale do gazety to nie wypada.

Myślę, że twoje marzenie wygląda teraz tak: zwyciężyć, zmienić zawód...

...odpocząć i iść na Moskwę.

Na Moskwę?

Prawdziwe zwycięstwo będzie tylko wtedy, kiedy Rosji w ogóle nie będzie.

Myślę, że nasi czytelnicy są ciekawi, co sądzisz o polskim wsparciu dla Ukrainy. Czy ma wymiar głównie propagandowy, czy jest prawdziwe i znaczące?

Polska daje nam wsparcia i zasoby na granicy swoich możliwości. Trzeba pomagać tak, by samemu przetrwać i zachować poczucie bezpieczeństwa. Polsce należą się szczególne podziękowania, zwłaszcza za przyjęcie i ochronę naszych rodzin. Tu chyba jesteśmy najbardziej wdzięczni. Po prostu należą się wielkie podziękowania waszemu narodowi.

Ty dobrze znasz historię, a u nas w Polsce zaczęła się taka debata, czy nie odtworzyć dawnej Rzeczypospolitej.

Wiesz, tak jak dawniej, Polacy i Kozacy razem przeciwko Rosjanom, przeciwko reszcie zwyciężali.

Były takie czasy.

No były. Ale czy będą?

Daj Boże. Wszystko jest możliwe, to zależy od relacji międzyludzkich. Zwykli Polacy przyjmują ogromną ilość naszych uchodźców. Zresztą nie, nie można o nich mówić „zwykli”. Mam przyjaciół, których rodzina spod Warszawy tak bez niczego po prostu przyjęła do siebie, do domu. To już relacje braterskie.

A co myślisz o pomocy z innych krajów Europy? W Polsce mamy z tym problemy, dajemy z siebie wszystko, a Europa odmarwia nam pieniądze, Scholz i Macron dzwonią do Putina, jak to oceniasz ty jako prawdziwy ukraiński patriota?

Europa Zachodnia daje nam ogromne wsparcie finansowe, miliardy euro, to też jest ważne. Oni jednak nie rozumieją tutejszych realiów, nie bardzo wiedzą czym jest Rosja. Myślę, że boją się wojny atomowej, że chcą naszym kosztem dogadać się z Moskwą, choćby z następcą Putina. Tymczasem jeśli struktura władzy na Kremlu pozostałaby taka sama, to przy wymarzonym szybkim rozejmie z Ukrainą nastąpiłoby częściowe zniesienie sankcji, potem ponowne uruchomienie przemysłu zbrojeniowego w Rosji i w ciągu 10–15 lat będziemy mieli kolejną wojnę. To standardowa taktyka, jak w 2014 r. Nie udało im się do końca, poczekali, oswoili Zachód z tą sytuacją i przygotowali się do większego uderzenia.

Boisz się wojny atomowej?

Oczywiście. Wszyscy się jej boją.

I jest możliwość, że taka wojna się rozpęta?

Jak najbardziej. To standardowe podejście Rosji, straszenie to jej specjalność.

Jaki masz stosunek do Rosjan?

Do Rosjan? Negatywny. Maksymalnie negatywny.

Ale może oni też są ofiarami Putina?

Ofiarami? Takie ofiary atakowały nas z okrzykiem „Ukropy, poddajcie się!” albo odcinali nożem genitalia ukraińskim jeńcom, co już na słynnym nagraniu widziała cała Europa. Takich incydentów było wiele, a jeszcze kiedy trwała obrona Donbasu [od 2014 r.], to takich przypadków były tysiące. Gdyby oni nie chcieli tej wojny, to by się zbuntowali i na nią nie poszli. „Operacja specjalna” na Ukrainie ma poparcie ludności rosyjskiej, więc nie jestem pewien, czy są to tylko pragnienia Putina, myślę, że jest to pragnienie narodu rosyjskiego, aby nas – i was także – wymazać z powierzchni ziemi, jako wrogów, k...wa, „wspaniałej Rosji”. Znam ich. Wiem, że ostrzą na was zęby za rok 1612, za rok 1920 i za to, że po prostu chcecie być wolnymi ludźmi.

Charles Michel

Ursula von der Leyen

Didier Reynders



Unia

– chory człowiek Europy i jej chorzy władcy

Podobno termin „chory człowiek Europy” ukuł car Rosji Mikołaj I, który w połowie XIX w. obdarzył nim imperium osmańskie. Określenie spodobało się i zostało przyjęte do tego stopnia, że gdyby policzyć, kto o kim mówił, że jest chory, to okazałoby się, że na Starym Kontynencie nikogo zdrowego nie ma

**DARIUSZ MATUSZAK**

No może oprócz Niemiec, które – chociaż jak historia pokazuje są chore najbardziej – to są też nieustająco zdrowe. Chorym człowiekiem była Grecja, która dzięki unijnemu uzdrawianiu ma jeszcze większe długi niż wtedy, gdy w 2010 r. bankrutowała, ale za to o 40 proc. mniejsze PKB. Chora była Wielka Brytania, gdy wychodziła

z Unii, a także Francja – tak przynajmniej w 2018 r. mówił o niej ówczesny minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz. Żeby nie było nam przykro, to do klubu schorowanych zapisali nas też byli polscy ambasadorowie, którzy w liście otwartym do prezydenta Andrzeja Dudy obwieścili, że to Polska jest chorym człowiekiem Europy.



Christine Lagarde



Věra Jourová



Josep Borrell

Każdy więc może mieć swojego chorego, a najlepiej, żeby w ramach równości wszyscy, czyli 450 mln obywateli wspólnoty, ich miało. Tak więc wybór musi paść na samą Unię nie tylko dlatego, że jeszcze w tak nędznej kondycji nigdy nie była i że nie jest dziś wspólnotą, tylko politycznym narzędziem Niemiec i maniaków postępu, ale też dlatego, że na jej czele stoi wyjątkowo dużo indywidualnie chorych ludzi, za którymi ciągnie się smród zadziwiających afer. Tak, to chore, że spośród 29 najważniejszych osób w Unii – 26 komisarzy z przewodniczącą, szefem Rady Europejskiej, prezesem TSUE i szefową Europejskiego Banku Centralnego, co najmniej 10 było/ jest bezpośrednio lub pośrednio zamieszanych w afery korupcyjne, machinacje finansowe, podejrzane występk.

STRAŻNICY PRAWORZĄDNOŚCI?

Zacznijmy od góry, od której, jak mówi Ryszard Petru, psuje się głowa, a więc od przewodniczącej Ursuli von der

Leyen. To wyjątkowo pechowa dama. Ciągłe jej się w telefonie coś kasuje. Ostatnio wszystkie wiadomości SMS-owe wymienianie w trakcie negocjacji o zakupie miliardów szczepionek z szefem Pfizera Albertem Bourlą. A to pech, bo to już trzeci raz. Poprzednie dwa razy wydarzyły się w 2020 r. przy pracach powołanej dwa lata wcześniej przez Bundestag komisji śledczej badającej wielkie nieprawidłowości w niemieckim ministerstwie obrony w czasach, kiedy kierowała nim właśnie von der Leyen. Izba Obrachunkowa wykryła wielkie marnotrawstwo, podejrzane zlecenia na doradztwo za setki milionów euro rocznie, wszechobecny nepotyzm, pomijanie procedur przetargowych itd. Komisja śledcza zażądała dostępu do telefonów służbowych byłej minister, a tu cyk – wszystko z nich zniknęło. Zupelnie jak pieniądze z resortu obrony. Śledztwo wlecz się w kierunku dywanu i pod nim się pewnie skończy. Przy okazji okazało się, że Ursula von der Leyen odniosła wielki sukces związany z nowa-

torskim programem rekrutowania imigrantów do Bundeswehry. Po wydaniu milionów na propagandę, konferencje, warsztaty multi-kulti udało się skaperować dwóch Syryjczyków.

Kolejne dwie góry, od których psuje się głowa, to belgijski przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel i jego rodak, szef TSUE sędzia baron Koen Lenaerts. Obydwaj byli bohaterami afery opisanej przez francuski dziennik „Libération”. Chodzi o nielegalne finansowane z publicznych pieniędzy spotkania eurokratów z lobbystami, do których dochodziło w latach 2010–2018. Jaśnie panowie Juncker, Michel, a także baron Lenaerts mieli być urabiani przez biznes we francuskim zamku Chambord i w czasie słynnych polowań organizowanych w okolicy.

Kolejna psująca się głowa to dbająca o strefę euro szefowa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde. Dama ta została w 2016 r. skazana za urzędowe niedbalstwo, niedopełnienie obowiązków, przez co przedsiębiorca

Bernard Tapie, który wcześniej siedział w więzieniu za korupcję, dostał od państwa francuskiego nienależne mu odszkodowanie. Sprawa była skomplikowana, dotyczyła sprzedaży przez Tapie udziałów niemieckiej firmy Adidas. Stroną sporów stał się rząd Francji, który w kolejnych instancjach wygrywał z Tapie. I wtedy do akcji wkroczyła ówczesna minister finansów Lagarde i przed arbitrażem wygraną sprawę zamieniła na przegraną, a Tapie zainkasował 403 mln euro. Były szef socjalistów i były premier Jean-Marc Ayrault twierdził, że arbitraż był ustawiony, a odszkodowanie dla Tapie było zapłatą za wsparcie w kampanii wyborczej dla późniejszego prezydenta Sarkozy'ego. Sąd uznał, że Lagarde jest winna stawianych jej zarzutów, ale skończyło się tylko na pogroźeniu jej paluszkami.

W Polsce najbardziej znaną eurokratą jest czeska komisarz wartości i przejrzystości Věra Jourová. To niezłomna obrończyni cudzej praworządności. Ale też była działaczka komunistyczna, która jako wiceminister została aresztowana pod zarzutami korupcji. W grę wchodziło także sprzeniewierzenie funduszy unijnych. Pod celą spędziła miesiąc. Sąd ją uniewinnił, ale zajmujący się sprawą od kilku lat dziennikarz śledczy Janek Kroupa twierdzi, że stało się tak dzięki prawniczym sztuczkom i temu, że policja wszystko spartoliła.

Za unijną dyplomację odpowiada hiszpański wiceprzewodniczący, wysoki przedstawiciel silniejszej pozycji Europy na świecie (oni tam takie groteskowe etykietykietki mają) Josep Borrell. Zaczyna ten don, gdy kierował European University Institute za jedyne 300 tys. euro rocznie sekretnie doradzał koncernowi energetycznemu Abengoa. Jak się o tym w instytucie dowiedzieli, to go wyrzucili, ale sam Borrell okazał się czujny jak wałka i sprzedał wszystkie akcje Abengoa tuż przed tym, jak firma złożyła wniosek o upadłość i jej giełdowy kurs runął. Don Borrell został skazany na grzywnę w wysokości 30 tys. euro za insider trading, czyli wykorzystywanie poufnych informacji giełdowych.

Weźmy też pod uwagę maltańską socjalistkę Helene Dalli, która jest komisarzem równości. Sama niby

czysta jak łza, ale mąż już niekoniecznie. Dlaczego? Bo zamieszany w afery związane z nieruchomościami, a tym bardziej szwagier pani komisarz, John Dalli, który sam był komisarzem unijnym. Z posady wyleciał jednak z hukiem, gdy pewien maltański przedsiębiorca obiecał szwedzkiej firmie tytoniowej, że za drobne 30 mln euro załatwi z komisarzem Dalli korzystne unijne regulacje. Skandal wybuchł wtedy wielki, ale wiecie, rozumiecie, po co o takich nieprzyjemnych sprawach mówić, więc wszystko zamieciono pod kolejny dywan. Nasuwa się jednak pytanie, czy tam na Malcie nie ma innych rodzin niż Dalli, czy też może rodzina Dalli ma monopol na rządzenie się w Brukseli i tylko ich trzeba brać.

Kolejny przypadek to austriacki komisarz ds. budżetu i administracji Johannes Hahn. Pan nie tylko z Michelelem i Junckerem był stałym gościem zabaw na zamku Chambord i polowań, ale też wielokrotnie stawiano mu zarzut o plagiat jego pracy doktorskiej. Wątpliwości pojawiły się 2007 r., potem kolejne w 2011 r. i później. Komisje uniwersyteckie w Zurychu i w Wiedniu wzięły to pod lupę. Jedni mówili, że może coś tam zerznął, ale mało, inni wyliczyli, że dokładnie 17 proc. doktorskiej pracy Hahna z filozofii zostało żywcem przepisane z cudzych dzieł, więc można go uznać za złodzieja własności intelektualnej. A może i nie, bo należałoby rozważyć paradoks Eubulidesa, który zastanawiał się, po utracie ilu włosów człowiek staje się łysy. Tak więc ile procent pracy trzeba ukraść – 2 czy 17, a może 82, by stać się złodziejem własności intelektualnej. Eubulides wykazał, że można stracić wszystkie włosy i nie będzie się łysym, więc tym bardziej Hahn złodziejem nie jest. I jego sprawa poszła do kosza. Jedynie prorektor Uniwersytetu Wiedeńskiego oznajmił, że „dziś rozprawa nie zostałaby przyjęta”.

Prawdziwym unijnym czempionem od afer jest komisarz sprawiedliwości Belg Didier Reynders. Ten sam, który oznajmił, że Polska „nie dostanie rabatu wojennego”, i chce nam meblować Sąd Najwyższy. W 2019 r. w Belgii wszczęto śledztwo dotyczące gigantycznej, międzynarodowej afery korupcyjnej i pra-

nia brudnych pieniędzy, w którą byli zamieszani Reynders, ówczesny minister obrony i spraw zagranicznych, i jego najbliższy współpracownik, szef belgijskich kolei. Wątków było kilkadziesiąt i dotyczyły m.in. nielegalnej sprzedaży broni do Libii, łapówek od polityków Demokratycznej Republiki Konga, korupcji przy budowie ambasady w Kinszasie, a także kwatery głównej Belgijskiej Policji Federalnej. Pośrednikiem w interesach miała być przykrywkowa firma z Luksemburga. Na szczególne uznanie zasługuje schemat prania i wypłacania pieniędzy. Robiono to m.in. przy okazji aukcji dzieł sztuki. Jednym z takich dzieł była stara, zepsuta, ale za to pochłapana farbą lodówka, którą za ogromne pieniądze wylicytował i kupił jeden z kontrahentów. Od 2010 r. wloką się za Reyndersem różne afery, poczynawszy od skandalu związanego z kontraktem na ochronę siedziby NATO w Brukseli, ale Belg jest jak karaluchy – z gatunku wiecznie żywych. Należy do „świata, który nie może zginąć”. Od 1999 r. był wiecznym ministrem w niezliczonych belgijskich rządach, a teraz szafarzem unijnej sprawiedliwości. Śledztwo zakończyło się niczym, co w Belgii już od czasów pederfili i mordercy Dutroux już nie dziwi.

Oczywiście jest też polski akcent, ale uczciwie trzeba przyznać, że w porównaniu z prawdziwymi europejskimi tuzami komisarz rolnictwa Janusz Wojciechowski to ledwie amator. Gdzie mu tam do tych zawodowców z jego nierozliczonymi kilometrówkami, na których go OLAF – Europejski Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych – złapał, i z 11 tys. euro, które musiał zwrócić. Wojciechowski zaniża poziom w Komisji Europejskiej i innych unijnych bytach.

* * *

Dla Unii podobno nie ma alternatywy. OK, możemy w to wierzyć albo nie. Pytanie jest tylko takie: czy spośród 450 mln obywateli wspólnoty, tysiący urzędników i polityków nie da się wyznaczyć 29 władców brukselskiej Europy takich, by co najmniej 1/3 z nich nie była w coś zamieszana, czymś upačkana, by nie budziła wstępu i zażenowania?

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

W każdym jest piękno

Walczył w powstaniu, malował, przyjaźnił się z wieloma wybitnymi artystami.

Kochał życie, nie stronił od przyjemności i rozrywek. Co się stało, że Adam

Chmielowski porzucił blichtr świata?

Dlaczego poświęcił się pomocy biednym i nieszczęśliwym? Warto odpowiedzieć sobie na te pytania w czasach, gdy świat zalewają kolejne fale uchodźców, często pozbarwionych wszystkiego



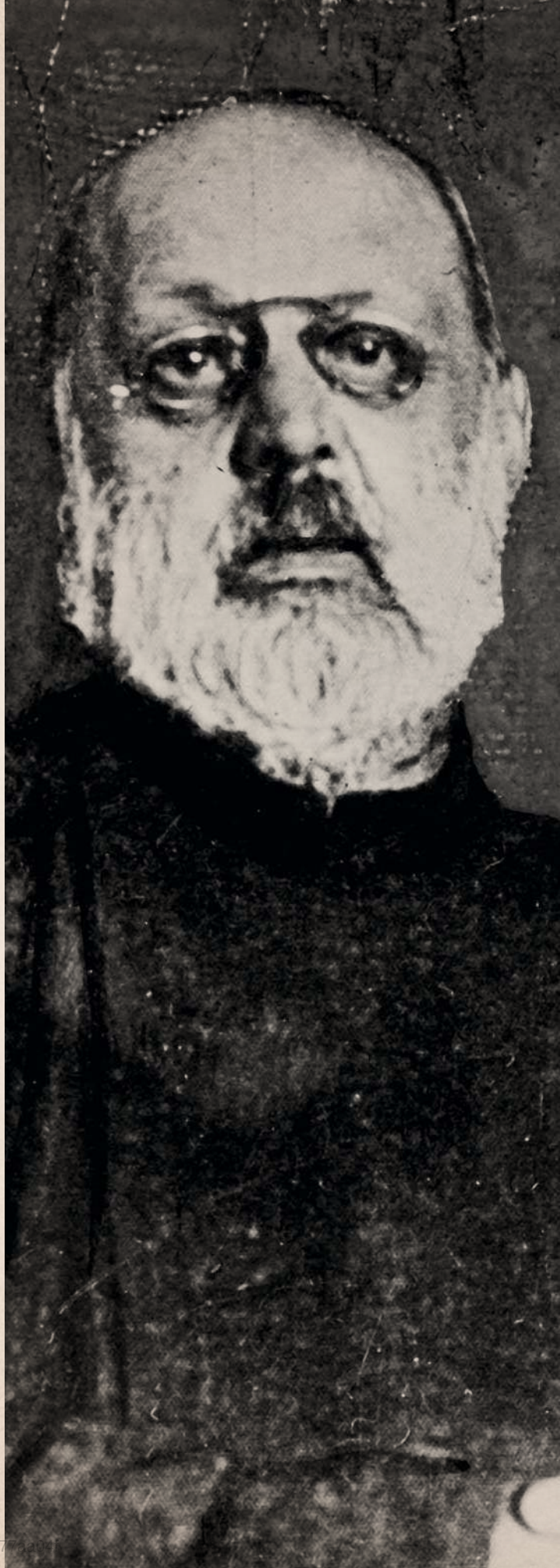
PIOTR SŁABEK

Podczas studiów w Instytucie Politechnicznym i Rolniczo-Leśnym w Puławach rozpoczął działalność konspiracyjną. Mając 18 lat, wraz z grupą przyjaciół wstąpił do powstańczego oddziału Puławiaków, który składał się w większości ze studentów instytutu, mieszkańców Puław i pobliskich wsi.

KRWAWY POWSTAŃCZE BITWY

Po zdziesiątkowaniu oddziału dołączył do stacjonującego w Górach Świętokrzyskich ugrupowania Mariana Langiewicza. Brał udział w kilku potyczkach.

17 marca 1863 r. pod wsią Chroberz nad Nidą rozegrała się bitwa z wojskami rosyjskimi. Adam Chmielowski był w oddziale „żuawów śmierci”, który został sformowany w lutym 1863 r. z ochotników w Ojcowie przez francuskiego oficera Franciszka Rochebrune’a na wzór żuawów francuskich. Stał



się jedną z doborowych formacji powstania. We wspomnianej bitwie żuawi złamali uderzenie przeciwnika i osłaniali cofającą się powstańczą piechotę. Było wielu zabitych i rannych, choć straty Polaków były nieco mniejsze.

Nazajutrz rozegrała się kolejna bitwa na wschodnim skraju lasów bogucickich (ok. 7 km od Pińczowa). Była to jedna z najkrwawszych potyczek 1863 r., padło ok. 600 ludzi po obu stronach.

Mimo że odparto ataki Rosjan, poniesione straty w ludziach, a przede wszystkim brak amunicji i żywności zdecydowały o tym, że kontynuowanie walk stało się niemożliwe. Langiewicz powziął decyzję o podziale formacji na mniejsze grupki, by łatwiej było powstańcom przebić się poza pierścień wojsk nieprzyjaciela.

Duża część powstańców z oddziałów Langiewicza skierowała się na południe, z zamiarem przedostania się do Galicji. Wśród nich był Adam Chmielowski i jego kilku kolegów z puławskiego instytutu.

W końcu czerwca lub na początku lipca 1863 r. Adam Chmielowski dołączył do powstańczego oddziału Zygmunta Chmieleńskiego, stacjonującego w lasach niedaleko Drochłina. Chrząst bojowy u Chmieleńskiego przeszedł pod Janowem, a ściślej w przylegającej do miasteczka wiosce Ponik. Chmielowski walczył początkowo jako podoficer pod bezpośrednimi rozkazami rtm. Ignacego Rzepeckiego, a następnie rtm. Jana Mazarakiego, brał udział w przynajmniej ośmiu bitwach i potyczkach.

Rosjanie nieustannie tropili powstańców, często dochodziło do starć. Zwykle nie było szans na dłuższy odpoczynek czy dostateczne wyposażenie oddziału w żywność i wyszkolenie wciąż napływających ochotników. W takiej sytuacji Chmielowski z kilkoma podległymi mu ludźmi był częściej niż zwykle wysyłany na konne zwiady, podczas których dochodziło do niebezpiecznych potyczek ze zwiadowcami nieprzyjaciela.

30 września 1863 r. niedaleko wioski Melchów doszło do największej ze stoczonych przez Chmieleńskiego bitew. Podczas niej Chmielowski został ciężko ranny w nogę. Po dokładnym zbadaniu rany okazało się, że noga od uderzenia granatu ma pokruszone kości. Trzeba ją było amputować. Operacja odbyła się nocą, przy świecach, bez żadnych środków znieczulających. Nazajutrz odstawiono wykrwawionego i półprzytomnego Adama, już jako jeńca, do pobliskiego szpitala św. Joanny w Koniopolu nad Pilicą. Opuścił szpital najprawdopodobniej dzięki usilnym staraniom krewnych u gubernatora rosyjskiego. W maju 1864 r. trafił do Paryża, gdzie kontynuował leczenie oraz otrzymał najlepszą w tym czasie protezę.

KARIERA MALARSKA

Wtedy zapewne postanowił, że będzie artystą. Jednak brak funduszy nie pozwalał na rozpoczęcie płatnych studiów artystycznych lub podjęcie nauki u któregoś ze sławnych artystów malarzy. W 1865 r. Adam Chmielowski, dowiedziawszy się, że uzyskał amnestię, powrócił do kraju. W Warszawie zapisał się do otwartej w marcu 1865 r. tzw. Klasy Rysunkowej. Co było istotne, nauczano tam bezpłatnie. W roku szkolnym 1865/1866 do Klasy Rysunkowej uczęszczało 104 uczniów, wśród nich m.in.: Maksymilian Gierymski, Ludomir Benedyktowicz, Antoni Strzalecki.

Wtedy poznał Wojciecha Gersona, malarza, a także pedagoga i krytyka sztuki. Pomagał w jego pracowni. W 1867 r. Gerson pomógł mu w wyjeździe do Paryża, polecając jako bardzo zdolnego ucznia.

W Paryżu malował portrety i pejzaże. Spotykał się z wieloma artystami. Pozwoliło to Adamowi na sformowanie własnych poglądów na sztukę.

Z początkiem 1869 r. przybył do Krakowa, gdzie zamierzał podjąć studia w Szkole Sztuk Pięknych. Nawiązał znajomość z Lucjanem Siemieńskim, który był profesorem literatury, krytykiem i recenzentem wystaw artystycznych. Chmielowski był częstym gościem w domu Siemieńskich, w którym

skupiało się literackie i artystyczne życie Krakowa, a nawet rozdarł je rozbiorem Polski.

Od maja 1870 r. kształcił się w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tam zaprzyjaźnił się z wieloma wybitnymi artystami, m.in. Maksymilianem i Aleksandrem Gierymskimi, Józefem Brandtem, Stanisławem Witkiewiczem, Leonem Wyczółkowskim. W Monachium Adam rozkoszował się życiem. Przy czarnej kawie, którą uwielbiał, prowadził dysputy o roli sztuki i jej znaczeniu dla narodu. A wszystko w oparach papierosowego dymu, kolejnych lampek wina czy kufli piwa.

Miał reputację znakomitego krytyka. Koledzy często przynosili mu swoje szkice czy obrazy, a on udzielał im swoich rad. Chmielowski wywarł decydujący wpływ na twórczość Maksymiliana Gierymskiego.

Być może wydarzenie z 16 września 1874 r. miało kluczowe znaczenie i przyczyniło się do zmiany myślenia Adama – w tym dniu zmarł w Monachium Maksymilian Gierymski. Był to dla wrażliwego artysty wielki wstrząs. Na pogrzeb przybyły zaledwie trzy osoby, w tym Chmielowski. W obliczu śmierci przyjaciela sława i powodzenie życiowe straciły na znaczeniu. Adam rozmyślał nad sensem życia, poszukując tego, co nieprzemijające.

Przemiana postawy życiowej stała się widoczna w twórczości artysty – namalował wtedy aż cztery obrazy:

25 sierpnia 1887 r. w kościele oo. Kapucynów w Krakowie Adam Chmielowski założył szary habit III Zakonu św. Franciszka i od tej pory jest znany jako brat Albert. 12 listopada 1989 r. został kanonizowany przez Jana Pawła II w Rzymie

„We Włoszech”, „Szara godzina”, „Mnich na cmentarzu”, „Wizja świętej Małgorzaty”.

W 1879 r. Chmielowski zaczął malować najbardziej doniosły obraz w swej twórczości – był on jego manifestem życiowym. Słynny „Ecce Homo” wyobraża Chrystusa z koroną cierniową, biczowanego, umęczonego i sponiewieranego ze spuszczonego wzrokiem.

Sztuka była dla niego ważną sprawą i wiązał z nią swoje życie. Ale po wewnętrznej przemianie przestała odgrywać najważniejszą rolę. Przed decyzją o wstąpieniu do zakonu jezuitów warto zwrócić uwagę na jedno zdarzenie.

Przyjaciel Chmielowskiego, Leon Wyczółkowski, pisał: „Toczył z sobą straszną walkę [...]. Już po powzięciu decyzji wstąpienia do klasztoru, niejako w przeddzień zamknięcia się za furtką, przyszedł do mnie do pracowni, porwał paletę i zaczął malować. W kilka godzin namalował uroczą böcklinowską boginkę leśną. Odprowadzałem go do domu. Gdy mijaliśmy gmach teatru, dowiedzieliśmy się z afiszów, że niebawem rozpocznie się przedstawienie operetki. I nagle Chmielowskiego opanowała gorąca chęć, by pójść na przedstawienie. Przez całą chwilę stał i walczył zaciekle z pokusą. Zwyciężył ją, bo nagle porwał się i uciekł do domu. A nazajutrz Adam przyszedł znów do mej pracowni. Popatrzył na swoje wczorajsze dzieło, a potem kilkoma pociągnięciami pędzla zamalował boginkę, i zniszczył obraz”.

ADAM CHMIELOWSKI I HELENA MODRZEJEWSKA

Chmielowski i Witkiewicz uwielbiali Helenę Modrzejewską tak samo, jak kochało się w niej pół Warszawy. Był to ten rodzaj miłości, który objawia się podziwem i uwielbieniem, co oboje manifestowali oklaskami i rzucanymi na scenę kwiatami. Adam darzył tę wspaniałą kobietę wielką, odwzajemnioną przyjaźnią jeszcze przed wstąpieniem do nowicjatu u jezuitów.

Fragmenty listu Heleny Modrzejewskiej:

West Hobothten, 14 sierpnia 1876 r.

Panie Adamie!

Wyjeżdżając z Warszawy i żegnając się z Wami, miałam nadzieję, że się zjedziemy w Bremen i dalszą podróż razem odbędziemy – tymczasem, kto wie, czy owe „do widzenia”, powtarzane sobie nawzajem, nie były pożegnaniem na zawsze? Gdy o tym pomyślałam, wsiadając na okręt, szczerze się rozplakałam.

W każdym razie, czy się złączymy jeszcze, czy nie, nie zapominajmy o sobie. Ja pisać będę często, ale muszę dostawać odpowiedzi [...]. Opisywać Nowego Jorku nie będę Panu, bo mi się to miasteczko nie podoba. Sądję, że w Kalifornii znajdę bardziej interesujące miejsce i godniejsze kilku minut czasu skradzionego Panu na czytanie, a mnie na opis [...]. Pisz Pan, proszę bardzo, i donieś, co słychać u Was [...]. Czy też Wy przyjedziecie? Wątpię. Donieś mi Pan, proszę, jakie są Wasze usposobienia pod tym względem i czego mamy się spodziewać [...]. Smutno tu bywa czasem duszy, a będzie jeszcze smutniej – może jedyną pociechą będą wieści z kraju. Pamiętaj Pan o tym i jeżeli masz chęć, zastosuj się do uzaleń moich.

Ściskam serdecznie ręce Pana

Helena C. [Chłapowska]



Obraz „Ecce Homo”

Fragmenty listu do Heleny Modrzejewskiej (Stara Wieś, październik 1880 r.)

Droga Pani Heleno.

[...] Wesolą nowinę też posyłam, wesola dla mnie i szczęśliwa nad wszelki wyraz; wstąpiłem do zakonu, za kilka dni dostanę suknię jezuicką, tę sławną czarną sukienkę, pod którą tyłu świętych zwyciężało świat i siebie [...]. Już nie mogłem dłużej znosić tego złego życia, którym nas świat karmi, nie chciałem już dłużej tego ciężkiego łańcucha nosić. Świat, jak złodziej, wydziera co dzień i w każdej godzinie wszystko dobre z serca, wykrada miłość dla ludzi, wykrada spokój i szczęście, kradnie nam Boga i niebo. Dla tego wszystkiego wstępuję do zakonu; jeżeli duszę bym stracił, cóż by mi zostało? [...] Wiele myślałem w życiu, kto jest ta królowa sztuka – i przyszedłem do przekonania, że jest to tylko wymysł ludzkiej wyobraźni, a raczej straszne widmo, które nam rzeczywistego Boga zasłania. Sztuka to tylko wyraz i nic innego, dzieła tej tzw. sztuki są to zupełnie przyrodzone objawy naszej duszy, są to nasze własne dzieła i mówiąc po prostu, dobra jest rzecz, że je robimy, bo to naturalny sposób komunikacji i porozumienia się między nami. Ale jeżeli w tych dziełach kłaniamy się sobie – a oddajemy wszystko na ofiarę, to choć to się nazywa zwykle kultem dla sztuki, w istocie rzeczy jest tylko egoizmem zamaskowanym; ubóstwiać siebie samego – to przecież najgłupszy i najpodlejszy gatunek bałwochwalstwa.

TAJEMNICA WEWNĘTRZNEJ PRZEMIANY

Źródłem wewnętrznej przemiany Adama Chmielowskiego było doświadczenie spotkania żywego Boga, które towarzyszyło jego działalności charytatywnej. Jak wspominał kardynał Karol Wojtyła w 1973 r., promotor i czciciel brata Alberta: „Nie było to świadectwo rewolucji, nie było to świadectwo protestu; było to świadectwo miłości, służby i oddania bez reszty”.

To rozpoczęło proces zmian. Powstaniec, dobrze zapowiadający się artysta malarz, postanowił poświęcić się bez reszty pomocy potrzebującym i wykluczonym.

Trudno poznać tajemnice ludzkiego serca i określić, co dokładnie i kiedy się zmieniło. W przypadku Chmielowskiego można to odczytać z jego obrazów. Wspominany wcześniej „Ecce Homo” (Oto człowiek) był najwyrazistszym świadectwem wewnętrznej przemiany malarza. Chrystus ponizony przez ludzi, Bóg-Człowiek był widzialnym symbolem odczytania wezwania do naśladowania Chrystusa.

23 września 1880 r. Adam Chmielowski wyjechał do Starej Wsi, by rozpocząć nowicjat w kolegium jezuickim. Początki tej drogi nie były proste, w pierwszych tygodniach nowicjatu był pełen optymizmu, później jednak przeżył głębokie załamanie nerwowe. Z tego trudnego stanu wyszedł po 20 miesiącach. Kluczową rolę odegrała rozmowa z ks. Leopoldem Pogorzelskim o miłosierdziu Bożym, a później spowiedź u niego. Stany depresyjne, na które cierpiał Adam Chmielowski, nigdy już nie powróciły.

Po latach brat Albert zwierzał się ks. Czesławowi Lewandowskiemu: „Byłem przytomny, nie postradałem zmysłów, ale przechodziłem okropne męki i katusze i skrupuły najstraszliwsze. Wstąpiłem do Zakonu T.J. [Towarzystwa Jezusowego], ale Bóg chciał inaczej”.

Następnie Adam Chmielowski przystąpił do III Zakonu św. Franciszka z Asyżu. Tzw. tercjarstwo było bardzo owocnym narzędziem odnowy Kościoła i przemian społecznych. Chmielowski w tej duchowości odkrył franciszkańską radość życia, umiłowanie świata przyrody i uwielbienie Boga za wszystko, co stworzył.

Włączył się w apostołowanie wśród mieszkańców Podola. Wielkie wrażenie wywarło na nim zetknięcie się ze świętymi i pokornymi ludźmi, o których mawiał, że nie wiadomo, czy za nich, czy raczej do nich wypadaloby się modlić, bo życie ich było oddane Bogu, pełne zaparcia się siebie, ducha modlitwy, a nawet wysokich stopni kontemplacji mimo życia pospolitego i wyczerpującej pracy w polu i zagrodzie. Lata spędzone na Podolu Adam Chmielowski zaliczał do najszcześniejszych okresów swojego życia.

Działalnością Adama zaniepokoiły się władze rosyjskie, wydając ukaz, „aby w przeciągu 24 godzin wyniósł się z terytorium rosyjskiego, bo inaczej jako niebezpieczny szpieg będzie na Sybir wysłany”.

Zdecydował się więc opuścić Podole w wyznaczonym terminie. Do Krakowa dotarł

w październiku 1884 r. Przez pierwsze tygodnie żył niczym samotnik. Jako tercjarz wiele czasu poświęcał modlitwie. W tym czasie poznał ks. Kazimierza Siemaszkę i ks. Piotra Soubiellę, którzy zajmowali się działalnością charytatywną.

Przeludnienie miasteczek i wsi galicyjskich sprawiało, że do Krakowa przybywali ludzie szukający pracy, ale zwykle zajęcia nie znajdowali, powiększali więc liczbę bezdomnych, żyjących z żebrani i kradzieży. A byli to ludzie młodzi, a nawet dzieci. Gdy w zimie odwiedził przytułek na krakowskim Kazimierzu przy ul. Piekarskiej zobaczył coś, co nim wstrząsnęło. Świat nieopisanego nędzy. W jedynej mrocznej izbie noclegowni miejskiej, tzw. ogrzewalni, pełnej tytoniowego dymu i woni alkoholu, było stłoczonych ponad 100 osób obszarpanych i śmierzących. Noclegownia nie miała łóżek ani sienników, tylko jedną czy dwie ławy stojące pod odrapaną, brudną i na wpół zgniłą ścianą, na których siedzieli ci, którzy tam rej wodzili – grając w karty i pijąc wódkę. Pod ławkami zaś i pod rurą, która od żelaznego piecyka przechodziła przez całą salę, leżeli skuleni pozostali lokatorzy noclegowni: zdrowi obok chorych, starcy razem z dziećmi. Z rury zwisały stopy mokrego ubrania, z którego sypało się na śpiących robactwo. Drapali się przez sen, a ich pokąsane twarze wyglądały, jakby były ospa lub jakimś trądem oszpecone. Nieznośny przy tym zaduch i smród tamował oddech. A do noclegowni zgłaszali się wciąż nowi przybysze, powiększając tłum. Wywoływało to za każdym razem zamieszanie, złość i przekleństwa ze strony tych, którzy już się ulokowali. Często dochodziło do bijatyk.

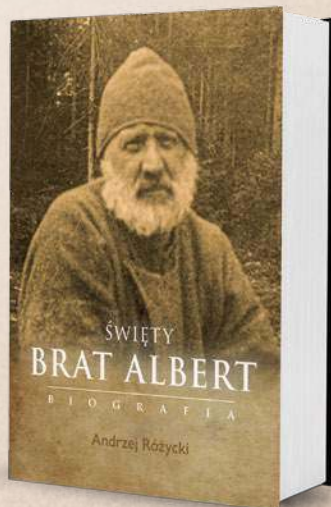
Chmielowski zobaczył ogrom nędzy istniejącej w Krakowie. Z tak wielkim ludzkim poniżeniem spotkał się pierwszy raz w życiu. Z jednej strony widok ten przeraził go, z drugiej – ogromnie wzruszył.

Nawet po 30 latach, gdy opowiadał o tej wizycie w ogrzewalni, drgała cała jego istota. „Zdawało mu się, że wszyscy owi nędzarze, starcy, kaleki i dzieci bezdomne wołają na niego: »Ratuj nas!« i do tego wołania dołączał się głos Boży: »Ty masz być dla nich ojcem, opiekunem i zastąpić im opatrzność Boską na ziemi«”.

Dzień, w którym znalazł się na Piekarskiej, był dla niego przełomem. Wiedział, że doraźna pomoc była niezbędna, ale myślał o tym, jak zasiać większe dobro.

W drodze duchowej Adama Chmielowskiego można dostrzec wiele nurtów i wątków wzajemnie łączących się w jeden duży strumień miłości. To miłość ojczyzny, której przejawem był jego udział w powstaniu. To umiłowanie piękna i sztuki, które doprowadziło go do zobaczenia oblicza Jezusa w ludziach cierpiących, opuszczonych i odrzuconych. Wreszcie postawa ofiarnej miłości i służby ubogim. Stworzenie zgromadzeń zakonnych to przejaw zarówno dzielenia się odnalezioną własną drogą do Boga z innymi, jak i troska o poszerzenie zakresu pomocy i opieki nad ubogimi.

Opracowanie na podstawie książki Andrzeja Różyckiego pt. „Święty Brat Albert. Biografia”, Kraków 2022.



Przemysł pogardy po włosku

Giorgia Meloni, która ma szansę zostać pierwszą kobietą premierem w dziejach Italii, znalazła się na celowniku włoskiej lewicy, a także eurokratów. Dlaczego? Bo Unia nie może stracić Włoch na rzecz prawicowej koalicji

21 lipca premier Włoch Mario Draghi złożył dymisję na ręce prezydenta Sergio Mattarelli, który podpisał dekret o rozwiązaniu parlamentu i ogłosił datę przyspieszonych wyborów parlamentarnych – 25 września. Szef rządu złożył rezygnację w związku z rozpadem nietypowej koalicji obejmującej ugrupowania od centroprawicowych po lewicowe, która 17 miesięcy temu utworzyła rząd jedności narodowej.

Po ogłoszeniu wrześniowej daty wyborów ugrupowania zaczęły tworzyć koalicje i rozpoczęły kampanię. Wspólny sojusz ustanowiły trzy partie: Fratelli d'Italia (Bracia Włosi), Liga i Forza Italia. Ten właśnie alians stał się natychmiast przedmiotem zmasowanego ataku większości mediów, niekryjących swoich lewicowych sympatii. Zamiast przybliżyć odbiorcom programy wyborcze, koncentrują się one na próbach skompromitowania polityków centroprawicowych.

Przez 20 lat głównym „zagrożeniem dla demokracji” był ich zdaniem Silvio Berlusconi, którego z pogardą nazywano „kajmanem”, potem – Matteo Salvini, szef Ligi, niebezpieczny i źle widziany w Brukseli „sovrano”, teraz przyszła kolej na Giorgię Meloni, ponieważ to jej partia (Bracia Włosi) plasuje się na pierwszym miejscu w sondażach. Ma szansę dostać powyżej 23 proc. głosów, a wtedy Meloni mogłaby zostać pierwszą kobietą premierem w dziejach Italii.

OSKARŻENIA O FASZYZM

Pretekst do ataków jest oczywisty, ponieważ jej ugrupowanie zostało założone w 2012 r. przez byłych działaczy postfaszystowskiego Sojuszu Narodowego.



Autor artykułu z Giorgią Meloni

Jest więc przedstawiana jako spadkobierczyni faszyzmu, mimo że wielokrotnie i jednoznacznie dystansowała się od faszystowskiej historii i ideologii. Nadal pozostaje jednak celem ataków przeciwników politycznych, którzy próbują stworzyć wymierzoną w nią koalicję w imię obrony republiki i konstytucji.

Gdy Hillary Clinton prowadziła kampanię wyborczą, włoskie media

lewicowo-liberalne kibicowały jej, twierdząc, że świat rządzony przez kobiety będzie bardziej sprawiedliwy, pokojowy i przyjazny. Dziś te same media unikają podobnych stwierdzeń w odniesieniu do Meloni.

Z perspektywy lewicy mogłaby ona nadal uprawiać politykę, ale powstrzymując się od rządzenia, to znaczy pozostając w opozycji przez całe życie. Bracia

Włosi mogliby nawet przewodniczyć komisjom parlamentarnym, gdyż konstytucja nakazuje, by były one w rękach opozycji, ale jeśli próbują wygrać wybory i rządzić, trzeba podnieść alarm i straszyć hipotetycznym powrotem do faszyzmu. Jest to zarzut o tyle chybiony, że Meloni jako polityk zyskała już pewien prestiż w świecie, jest wyraźnie proatlantycka, popiera dostarczanie broni dla Ukrainy, została przewodniczącą Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, a w lutym tego roku była gościem na konwencji republikanów w Orlando na Florydzie.

Warto przypomnieć, że szef Partii Demokratycznej, który stoi na czele antyprawicowej koalicji i codziennie atakuje Meloni, jeszcze nie tak dawno był jej gościem na konwencji Braci Włochów. Wtedy jednak prowadził z nią dialog, ponieważ chciał ją skłócić z Salviniem i rozbić w ten sposób jedność prawicy.

Ataki na Meloni są również prowadzone przez media światowe. „Financial Times” określił ją jako skrajnie prawicową przywódczynię o neofaszystowskich korzeniach. Niemiecki dziennik „Tagesspiegel” nazywa ją nadzieją faszystów. „The New York Times” przepowiada ponurą przyszłość Włoch w przypadku zwycięstwa Fratelli d'Italia w wyborach. Trzeba jednak wyjaśnić, że artykuły te prawie zawsze są inspirowane przez włoskie kręgi lewicowe i *de facto* pisane przez włoskich korespondentów tych gazet.

Dziennikiem najbardziej zaangażowanym w kampanię wymierzoną w Meloni jest „La Repubblica”, nieustannie strasząca widmem faszystowskiej „przeszłości Braci Włochów, która nie przemija”. Bardzo aktywny w tych atakach jest dawny właściciel tej gazety Carlo De Benedetti, zwany włoskim Sorosem. W wywiadzie dla „Corriere della Sera” De Benedetti stwierdził, że wybory 25 września są największym niebezpieczeństwem w historii Republiki Włoskiej, a ewentualne zwycięstwo Meloni byłoby przerażające.

PUBLICZNA TELEWIZJA NA PIERWSZEJ LINII

Ataki medialne na prawicową koalicję przypuścił też trzeci kanał publicznej telewizji włoskiej Rai 3, który od lat jest

kierowany przez lewicę, w tym dawnych komunistów. Mimo że tradycyjnie sierpień jest miesiącem wakacji, dyrekcja ogłosiła pospolite ruszenie, wezwwała z urlopu dziennikarzy i zaczęła emitować audycje polityczne, które były przewidziane dopiero we wrześniu. Znana dziennikarka o lewicowych sympatiach, Lucia Annunziata, miała być w sierpniu na Ukrainie, by nadawać stamtąd korespondencje z pola bitwy, ale nigdzie nie pojedzie, ponieważ musi prowadzić we Włoszech swój program polityczny. Dla stacji wojna z włoską centroprawicą jest ważniejsza niż wojna Rosji z Ukrainą. Z wakacji będzie też musiał wrócić Marco Damiano, dawny dyrektor lewicowego tygodnika „Espresso”, pracujący dla Rai 3, by nadawać swój codzienny program już od 22 sierpnia, a nie od końca września, jak planowano – on też musi się włączyć w walkę wyborczą, oczywiście po stronie lewicy, chociaż chodzi o telewizję państwową.

POZYTYWNA „BOHATERKA”

O charakterze tej walki wiele mówi przypadek Franceski Pascale. Ta młoda kobieta była przez wiele lat, do 2020 r., kochanką Berlusconi. Wtedy lewicowi moralisci nazywali ją dziwką, która prostytuuje się ze starszym od niej o 49 lat lubieżnym mężczyzną. Kiedy para rozstała się polubownie, Pascale zadowolona się 20 mln euro na rękę oraz wypłatą 1 mln euro każdego roku w przyszłości. Ostatnio znów stała się przedmiotem zainteresowania mediów, kiedy połączyła się w związku cywilnym z piosenkarką Paolą Turci, ujawniając przy tym swoją biseksualność. Zadeklarowała jednak, że opuści Włochy, jeśli do władzy dojdą suwereniści. To sprawiło, że media zapomniały o jej przeszłości i zaczęły się nią zachwycać. Dawna „dziwka Berlusconi” stała się więc nagle pozytywną bohaterką.

OŁTARZ I DOM RODZINNY

Pretekstem do ataków na Giorgię Meloni stało się również jedno z jej haseł w kampanii wyborczej: „Bóg, ojczyzna, rodzina”. Dla lewicowców wszelkiej maści to hasło przypominające slogany faszystowskie. Przywódczyni

Braci Włochów uważa jednak, że to „najpiękniejszy manifest miłości”. Dla niej „bycie konserwatystami oznacza przede wszystkim poczucie bycia spadkobiercami. To znaczy posiadania historycznej świadomości dziedziczenia tradycji, kultury, tożsamości i przynależności”. „Konserwatysta – jak mówi Meloni – nie jest przeciwny zmianom samym w sobie. Ale nie zgadza się z wizją lewicy, zgodnie z którą postęp oznacza eliminowanie wszystkiego, z czego się wywodzimy”. „Ołtarz i dom rodzinny zawsze były podstawą zachodniej cywilizacji”, twierdzi Meloni, która otwarcie broni chrześcijańskich korzeni, *sacrum*, włoskiej duchowości oraz rodziny – podstawowego ośrodka przekazywania życia, która jest dzisiaj atakowana przez tych, którzy kwestionują tożsamość seksualną.

ZROBIA WSZYSTKO, BY JĄ ZATRZYMAĆ

Jesteśmy dopiero na początku kampanii wyborczej we Włoszech, ale lewicowa maszyna błota już pracuje na pełnych obrotach. Należy się spodziewać, że w przedwyborczą walkę zaangażują się również politycy i instytucje UE, najprawdopodobniej te same, które walczy z rządem w Warszawie. Przestrzega przed tym znany włoski filozof Massimo Cacciari, który zauważa, że z międzynarodowego punktu widzenia wybory we Włoszech mają kluczowe znaczenie. Jak mówi: „Unia nie mogła »stracić« Francji, a teraz nie może »stracić« Włoch”. W ten sposób myśliciel nawiązuje do niedawnych wyborów we Francji, które „musiał” wygrać Macron, popierany przez cały unijny establishment. Teraz ten sam mainstream zmobilizował się przeciwko Meloni. W związku z tym Cacciari boi się, że coś niespodziewanego może nagle wyskoczyć tuż przed głosowaniem: „Nie można wykluczyć przykrych niespodzianek dla liderki Braci Włochów”. Przeciwnicy posuną się do wszystkiego, by ją zatrzymać: „Już przywołali niebezpieczeństwo faszyzmu, mistyfikacje są na porządku dziennym. Teraz mogą spreparować jakieś skandale”. Szykuje się więc wyjątkowo brutalna i brudna kampania. ✂

Włodzimierz Rędzioch

Oblawa na Trumpa

Na przełomie lipca i sierpnia stało się jasne, że Donald Trump nie tylko zamierza znów ubiegać się o prezydenturę, ale też jest zdecydowanym faworytem do zyskania prezydenckiej nominacji republikanów. Na zmasowaną reakcję demokratów nie trzeba było długo czekać



JAN ROKITA

Poprzedni tydzień miał być sądnym dla Donalda Trumpa. Jego polityczni wrogowie zaplanowali całą serię ciosów, które miały zachwiać kandydaturą Trumpa w wyborach prezydenckich 2024 r. Coraz więcej jednak zdaje się wskazywać na to, że ów tydzień nie tylko umocnił tę kandydaturę, ale najprawdopodobniej również przyspieszył moment jej ogłoszenia.

FAWORYT W SONDAŻACH

Nawet zaciekle wroga wobec Trumpa telewizja CNN zauważa, iż efektem wielu akcji podjętych przeciwko byłemu prezydentowi stało się nadanie rozmachu jego kampanii prezydenckiej, którą Trump chciał rozpocząć już od paru tygodni. O ile dotąd front zwolenników Trumpa trochę się już wykruszał, zwłaszcza pod wpływem kongresowych przesłuchań w sprawie ataku na Kapitol, to teraz nastąpiła nowa konsolidacja. Czołowi politycy Partii Republikańskiej rzucili się do obrony byłego prezydenta, zarzucając rządzącej lewicy i związanym z nią prawnikom nadużycie władzy. Lider konserwatywnej opozycji w Kongresie Kevin McCarthy zapowiada, że skoro tylko jesienią republikanom uda się odwojować większość w Kongresie, to poruszą niebo

i ziemię („leave no stone unturned”), by zbadać nadużycia władzy, do których teraz dochodzi w ministerstwie sprawiedliwości. A prokuratorowi generalnemu Merrickowi Garlandowi radzi, by „już teraz przygotowywał dokumenty i czyścił kalendarz”.

Na przełomie lipca i sierpnia stało się jasne, że Donald Trump nie tylko zamierza znów ubiegać się o prezydenturę, ale także jest zdecydowanym faworytem do zyskania prezydenckiej nominacji republikanów. Sam zainteresowany otwarcie sugerował dwutygodnikowi „New York Magazine”, iż jego problem polega nie tyle na tym, czy ma ogłosić swoją kandydaturę, ale raczej na tym, kiedy powinien to zrobić. „Jestem całkiem pewien, że wygram, jak tylko się zdecyduje” – dodawał. Do tego doszły ogólnokrajowe sondaże, przeprowadzone wśród zarejestrowanych republikanów. „The New York Times”, znany z tego, że od lat próbuje stać na czele bezwzględnej wojny z Trumpem, ogłosił wyniki badań, wedle których 49 proc. uczestniczących w prawyborach zwolenników Partii Republikańskiej zamierza oddać głos na byłego prezydenta, a 25 proc. na jego jedyne realnego konkurenta – gubernatora Rona DeSantis.

Ale sygnałem alarmowym dla politycznych wrogów Trumpa stał się przebieg najważniejszego mitingu amerykańskiej prawicy, którym była Konserwatywna Konferencja Akcji Politycznej w Teksasie (CPAC). Sondaż nad przeprowadzony pokazał 69 proc. poparcia dla kandydatury Trumpa i 24 proc. dla DeSantis. Organizator tego próbnego głosowania powiedział mediom: „Trump jest dziś bardziej popularny niż kiedykolwiek”.

REWIZJA W PALM BEACH

Na zmasowaną reakcję demokratów nie trzeba było długo czekać. W poniedziałek 8 sierpnia kilkudziesięciu agentów FBI wzięło udział w najściu na dom Trumpa w Palm Beach na Florydzie, dysponując wydanym przez sędziego nakazem dokonania rewizji. Przeszukano prywatny gabinet Trumpa, jego biurko, bibliotekę i otworzono domowy sejf. To zdarzenie postawiło na nogi amerykańską pravicę i natychmiast znalazło się na czołówkach mediów całego świata. Jak zgodnie twierdzą analitycy amerykańscy – jest to bowiem precedens w dziejach USA, w których toku prokuratura (w Ameryce tak jak w Polsce podlega ministrowi sprawiedliwości) nigdy nie zdecydowała się na rewizję w prywatnym mieszkaniu urzędującego bądź byłego prezydenta. Pretekstem do dokonanej rewizji miał być fakt, iż Narodowe Archiwum USA nie było pewne, czy Trump przekazał mu zgodnie z regulami obowiązującymi w Ameryce wszystkie dokumenty państwowe i prywatne powstałe w Białym Domu w okresie jego prezydentury.

Dwa miesiące wcześniej agenci FBI wraz z szefem kontrwywiadu ministerstwa sprawiedliwości odwiedzili Trumpa w jego domu w Palm Beach, zostali wpuszczeni do biblioteki z dokumentami, a efektem ich wizyty i rozmowy było dobrowolne przekazanie przez Trumpa znacznej partii dokumentów do Archiwum Narodowego. Obecna rewizja – jak agenci FBI powiedzieli synowi Trumpa – miała wynikać z braku pewności, czy w domu byłego prezydenta nadal nie pozostały jakieś dokumenty.



Nietrudno zgadnąć, skąd taka nagła eskalacja działań prokuratury w sytuacji, gdy były prezydent – co przyznają także jego krytycy – współpracował ze śledczymi w kwestii dokumentów. Tego rodzaju wątpliwość, co ciekawe, podniesiono np. w redakcyjnym komentarzu BBC, stacji z pewnością nieokazującej sympatii politycznej Trumpowi. Pośród licznych, w tym także o wiele poważniejszych, zarzutów prawnych, które wytoczono już wobec Trumpa, zarzut dotyczący wadliwego postępowania z dokumentami ma potencjalnie pewien szczególnie walor polityczny. Otóż amerykański kodeks karny (w sekcji 2071 b) przewiduje tu obok kary trzech lat więzienia możliwość wydania przez sąd zakazu powierzania skazanemu funkcji publicznych. Dość prawdopodobne, że prawnicy z resortu Garlanda postanowili nadać pierwszoplanowe znaczenie i u dramatyzować tę właśnie sprawę w nadziei, że to lepszy od innych sposób na zamknięcie Trumpowi drogi do ponownej prezydentury.

Tyle tylko, że w przypadku urzędu głowy państwa to amerykańska konstytucja określa jedyny prawny tryb zablokowania kandydatury. Jest nim impeachment, który demokraci usiłowali przeprowadzić w ostatnich dniach urzędowania Trumpa, ale nie udało im się to z powodu braku większości głosów w Senacie, który odgrywa w takich razach rolę sądu.

Nie dziwota więc, że sam Trump w charakterystycznym dla siebie stylu poinformował swoich zwolenników na platformie Truth Social (Facebook i Twitter są dla niego zablokowane), że jego „piękny dom jest obleżony, najechany i okupowany”, co jest jeszcze jednym świadectwem „mrocznych czasów, które nastąpiły dla naszego narodu”. Tym razem jednak, jego skarga na „bananową republikę”, w którą Biden zamienił Amerykę, ma wyjątkowo dużą wiarygodność. Bo też trudno uniknąć wrażenia, że rewizja w Palm Beach jest precedensowym krokiem, mającym prowadzić do pozakonstytucyjnej próby

odebrania Trumpowi prawa ubiegania się o prezydenturę.

Telewizja Fox, która jakiś czas temu porzuciła wcześniejszą sympatię dla Trumpa, tym razem obwieściła, że taka próba złamania konstytucji „z pewnością w Ameryce nie przejdzie”. Brzmi to jak ostrzeżenie dla ministra Garlanda – organizatora akcji w Palm Beach. Warto pamiętać, że Garland to polityk, który ma osobiste powody, by żywić szczególną chęć odwetu na Trumpie i republikanach. Swego czasu był on kandydatem Obamy na szczególnie prestiżowe w Ameryce stanowisko sędziego Sądu Najwyższego, ale republikanie w Senacie złośliwie nie poddali jego kandydatury pod głosowanie aż do końca ówczesnej kadencji.

GRZEBANIE W PODATKACH

Poniedziałkowa rewizja w Palm Beach to był dopiero początek sądnego tygodnia dla Trumpa. We wtorek 9 sierpnia sędzia apelacyjny w Waszyngtonie wydał ostateczny wyrok na korzyść Richarda Neala, lewicowego przewodniczącego kongresowej komisji ds. podatków. Neal domagał się od urzędu skarbowego, by ten przekazał jego komisji deklaracje podatkowe Trumpa z wielu lat poprzedzających jego prezydenturę oraz z czasów urzędowania w Białym Domu. Rzecz ciekawa, bo jeszcze w lutym 2021 r. Trump przekazał te zeznania prokuraturze nowojorskiej, która od kilku lat usiłuje sporządzić akt oskarżenia przeciw byłemu prezydentowi, zarzucając mu mactwa w interesach. Neal jednak chciał, by podatki Trumpa badała również komisja parlamentarna, ponieważ – jak dowodził – potrzebny jest nadzór Kongresu nad audytem majątku byłego prezydenta. Prawnicy Trumpa próbowali do tego nie dopuścić, ale właśnie teraz zapadł wyrok odrzucający ich obiekcje. I znów nietrudno się domyślić, po co kongresmanowi Nealowi są potrzebne teraz deklaracje podatkowe Trumpa.

W dzisiejszej wojennej atmosferze, panującej w politycznym Waszyngtonie, łatwo zapewne będzie w nich znaleźć amunicję do ostrzeliwania republikańskiego kandydata i preteksty do kolejnych przesłuchań w Kongresie, których celem

będzie podburzanie przeciw Trumpowi amerykańskiej opinii publicznej.

Na następny dzień – środę 10 sierpnia – do swojego biura na Manhattanie wezwała byłego prezydenta Letitia James, prokurator generalna stanu Nowy Jork, by tym końcowym przesłuchaniem zamknąć zainicjowane przez nią postępowanie, mające dowieść zawyżania wartości nieruchomości należących do The Trump Organization. Chodzi w nim o dokumenty bankowe, a celem przeszacowywania wartości domów miałyby być zwiększanie zdolności kredytowej korporacji. The Trump Organization jest od lat zarządzana przez trójkę dzieci byłego prezydenta, a prokurator James od 2019 r. próbuje wytoczyć przeciw korporacji powództwo cywilne z żądaniem potężnych

Jest precedensem w dziejach USA, w których toku prokuratura nigdy nie zdecydowała się na rewizję w prywatnym mieszkaniu urzędującego bądź byłego prezydenta, jak to zdarzyło się teraz w przypadku Trumpa

odszkodowań. Dość zabawna jest relacja dotycząca tego przesłuchania opublikowana na łamach „The New York Times”. Píše się w niej bowiem z nieskrywaną nadzieją, że pani James działa w ścisłej koordynacji z prokuratorem okręgowym na Manhattanie, który czeka tylko na jakieś potknięcie w zeznaniach Trumpa, po to by mu wytoczyć proces karny o oszustwa i fałszywe zeznania. Nie dziwota, że Trump przybył do biura pani prokurator, ale odmówił zeznań z powołaniem się na piątą poprawkę do konstytucji, zakazującą zmuszania do składania zeznań na własną niekorzyść. A krótko wcześniej rozesłał linki do filmików na platformie Rumble z wypowiedziami prokurator James sprzed kilku lat na temat jej pragnie-

nia obalenia Trumpa i zakwestionowania prawomocności jego prezydentury. Z kolei swoich zwolenników powiadomił na Truth Social, że właśnie „spotyka rasistowską prokurator generalną stanu Nowy Jork, która chce kontynuować największe polowanie na czarownice w historii Ameryki”. Trudno orzec, czy czarnoskóra pani prokurator jest istotnie rasistką, ale z pewnością Trump ma rację, gdy idzie o nieźle zorganizowane i zapewne skoordynowane czasowo „polowanie na czarownice”.

TAK ZA ATAKIEM

Mało prawdopodobne, by sądny tydzień, który demokraci wraz ze swoimi prokuratorami, sędziami i mediami zorganizowali Trumpowi, był dla nich przedsięwzięciem politycznie udanym. Z pewnością zwiastuje on, iż Donald Trump, o ile sam nie zrezygnuje z ubiegania się o prezydenturę, stanie w obliczu kolejnych procesów, aktów oskarżenia, rewizji i przesłuchań kongresowych. Lewica europejska podpowiada swoim amerykańskim partnerom, iż „prawdopodobnie nie da się go pozbyć inaczej niż z użyciem kajdanek”. Taka sugestia znalazła się w tytule materiału prasowego na łamach niemieckiego tygodnika „Die Zeit” – sztandarowego pisma europejskich socjalistów. Aresztowanie Trumpa, jeśli jego szanse na prezydenturę będą nadal rosnąć, też jest możliwe. Jednak zarówno

w kajdankach, jak i w więzieniu Trump tym bardziej będzie się stawiać bohaterem prostych Amerykanów, za którym ciągnie się legenda polityka prześladowanego za swoje przekonania. Potencjalny republikański konkurent Trumpa – gubernator Florydy DeSantis – jest tak samo jak Trump konserwatywny, a przy tym o wiele młodszy, przystojniejszy, lepiej wykształcony i błyskotliwszy. Prawdopodobnie potrafiłby lepiej rządzić Ameryką. Rzecz jednak w tym, że Donald Trump jest już dziś ludową legendą milionów Amerykanów i charyzmatycznym wojownikiem z dominującą lewicową elitą władzy. Dlatego nawet oblawa na Trumpa nie rokuje wielkich nadziei na powstrzymanie jego ponownego marszu po władzę

K

ULTURY

Kiedy w zamku dzieje się magia

*Zawsze wmurowuje
mnie w ziemię, gdy widzę
na dziedzińcu – Zamku
Wysokiego czy Średniego
– oddział konny.
Za sprawą koni – gdy
słysząc je, widać i czuć
– dzieje się magia, której
na co dzień nie jesteśmy
w stanie przywrócić
– mówi nam Janusz
Trupinda, dyrektor
Muzeum Zamkowego
w Malborku*





Z dr. hab. Januszem Trupindą, dyrektorem Muzeum Zamkowego w Malborku, znawcą historii zakonu krzyżackiego, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Lato, wakacje to tradycyjnie gorący czas nie tylko dla tak intrygujących zabytków jak zamek w Malborku, ale również dla filmowców. Stąd pierwsze pytanie: czy ma pan jakąś ulubioną scenę zrealizowaną w dawnej krzyżackiej warowni?

Janusz Trupinda: Wybór jest trudny, bo filmów było tu kręconych wiele, ale perspektywa dzieciństwa podsuwa mi wspomnienie serialowych przygód Pana Samochodzika. A także subtelnie pokazanej sceny, w której tytułowy bohater, grany przez Stanisława Mikulskiego, zwiedza zamek.

Przewodniczka (w tej roli Alina Janowska) ma z nim kłopot, bo Pan Samochodzik wciąż zostaje w tyle. Jest niezwykle zainteresowany zamkiem, a także – jak pamiętamy – szuka śladów templariuszy. Kiedy już padną kolejne upomnienia: „Proszę się nie zatrzymywać, trzymać tempo, nie przeszkadzać...” – które dawni przewodnicy z rozrzwinięciem wspominają – i bohater mija w końcu serialową przewodniczkę, ta mówi do siebie: „Chyba skądś

go znam”. A w tle słychać delikatny podkład ze „Stawki większej niż życie”.

To było mrugnięcie okiem do widzów, a ja zastanawiam się, co dyrektor Muzeum Zamkowego w Malborku myśli, widząc podobne zachowania. Czy równie niesubordynowany zwiedzający to utrapienie, a może inspiracja?

Absolutnie inspiracja. Oficjalnie nie mogę takich zachowań pochwalać, ale byłem podobnym zwiedzającym. Szybko odłączałem się od grupy. Przyjeżdżałem do Malborka, żeby sprawdzić, co wcześniej wyczytałem, co mnie interesowało.

I co też najbardziej pana przyciągało?

Kościół zamkowy, który był wówczas, czyli w latach 80. i 90. ub.w., niedostępny. Odbudowano go w 1968 r. jedynie w bryle, ale pozostające w ruinie wnętrza było zamknięte dla zwiedzających, a zarazem objęte naukowymi badaniami.

O zamkowym kościele przeczytałem najpierw wszystko, co ukazało się w języku polskim, a gdy moje kompetencje językowe wzrosły, również materiały dostępne w języku niemieckim. Potem bardzo chciałem skonfrontować zdobyte informacje z rzeczywistością, ale nie znałem nikogo w muzeum, kto by mnie tam wprowadził, musiałem więc sobie jakoś poradzić. Do dziś mam ulubione miejsca, niekoniecznie znane nawet pracownikom, które pozwalały mi zajrzeć do wnętrza z różnych perspektyw – i z góry, i z dołu. Ta moja dociekliwość zaowocowała po latach.

Jak?

Nie marzyłem o pracy w Malborku. Zakładałem, że będę miłośnikiem na odległość, ale kiedy zdarzyło mi się nie tylko otrzymać w zamku zatrudnienie, ale też z czasem zacząć pełnić obowiązki zastępcy dyrektora, to jedną z pierwszych decyzji, które podjąłem, było otwarcie (w 2001 r.) kościoła dla zwiedzających. Było to poprzedzone nie tylko konsultacjami naukowymi,



ale też pytaniem do odwiedzających muzeum gości. Czy chcieliby udostępnienia tego wnętrza i w jakim stanie? Uporządkowanej ruiny – świadectwa wojny, czy po odrestaurowaniu.

I w jakim stanie jest to miejsce obecnie?

Kościół został odbudowany – sklepienia zrekonstruowano w 2016 r. – i można go zwiedzać w pełnej krasie.

Wspomniał pan o poznawaniu za- bytkowych wnętrza z różnych per- spektyw, także nieoczywistych dla zwiedzających. Podobne spojrzenie może zaferować kamera. Jak pan reaguje na ekipy filmowe, które przyciąga zamek w Malborku?

Każdorazowo cieszę się na nową produkcję, bo oznacza ona dla mnie spojrzenie na zamek pod nowym kątem. Czy to jest film dokumentalny, czy fabularny, naukowy, czy stricte komercyjny, zawsze to szansa spojrzenia na to miejsce z innej perspektywy, próba jego interpretacji czy reinterpretacji, bo każdy, kto przyjeżdża – scenarzysta, reżyser, członkowie ekipy... – każdy patrzy przez własny pryzmat. I to jest bardzo ciekawe. Zwłaszcza dla

kogoś, kto obok podejścia naukowego czy administracyjnego traktuje też zamek bardzo emocjonalnie.

Wsluchując się w opinie ludzi, którzy to miejsce odwiedzają, i tych, którzy tu pracują, konfrontuję to później na ekranie, szukając zamku w poszczególnych scenach. Zawsze z zacięciem patrzę też na odtwórców historycznych ról. Jak scenarzyści, konsultanci historyczni wyobrażają sobie te postacie, jak są dobierani aktorzy. Kiedy wiosną tego roku witałem się z odtwórcą roli Ulricha von Jungingena, wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, z ciekawością patrzyłem, co to jest za człowiek.

Przyjął pan ostatnio na zamku ekipę serialu „Korona królów. Jagiellonowie”. Jakie sceny były realizowane i gdzie?

Między innymi wybór Ulricha von Jungingena na wielkiego mistrza czy spotkanie wielkiego mistrza z królem Władysławem Jagiełłą. Wykorzystywany był Zamek Wysoki z tzw. kapitułarzem (w średniowieczu był to refektarz, a więc miejsce, gdzie zakonnicy jedli); krużganki, Pałac Wielkich Mistrzów. Grała architektura oryginalna

i – choć znam efekt tylko z podglądów na monitorach oraz zdjęć – czuło się nastrój i klimat, a co dla mnie szczególnie ważne – na ekranie było widać oryginalny Malbork.

Któręś ujęcie zrobiło na panu szczególne wrażenie?

Zawsze wmurowuje mnie w ziemię, gdy widzę na dziedzińcu – Zamku Wysokiego czy Średniego – oddział konny. Za sprawą koni – gdy słysząc je, widać i czuć – dzieje się magia, której na co dzień nie jesteśmy w stanie przywrócić. Bo oczywiście mamy zajęcia edukacyjne i przy różnych okazjach organizujemy historyczne inscenizacje – pojawiają się wtedy przebrani w stroje aktorzy lub rekonstruktorzy – ale to sporadyczne sytuacje, a już konie na zamku... to rarytas.

Czy zamykacie obiekty na czas zdjęć?

Ograniczamy dostęp jedynie czasowo. Obecność ekip – zwłaszcza tak zorganizowanych jak „Korona królów”, potrafiących dostosować się do rytmu i zasad zwiedzania obiektu – pozwala zwiedzającym obserwować działania filmowców, niejako uczestniczyć w ich pracy.

Filmowe sceny, zwłaszcza w historycznym entourage'u, ożywiają zamek, ale filmowe narzędzia są obecne w Malborku także, gdy nie ma ekip. Nasza koncepcja edukacji odwołuje się do multimedialności. Szukamy nowych technologii, starając się, by uczestnicy zajęć czy zwiedzający mogli poznawać zamek na wiele sposobów. Także sensualnie. Czyli nie tylko historyczna wiedza, stanowiąca potężny bagaż informacyjny, ale także możliwość np. pocucia przez dotyk struktury cegły, starej zaprawy czy drewna, które na zamku w różnych warunkach egzystują.

Od czasu „Krzyżaków” (1960) Aleksandra Forda, pierwszej polskiej superprodukcji, przez zamek w Malborku przewinęło się wiele ekip. Był tu kręcony m.in. film „Kopernik” (1972) Ewy i Czesława Petelskich, seriale: „Królowa Bona” (1980) w reż. Janusza Majewskiego, z Aleksandrą Śląską w tytułowej roli, a także „Gniewko, syn rybaka” (1969) Bohdana Poręby, wspomniany „Samochodzik i templariusze” (1972) czy „Znak orla” (1977, oba w reż. Huberta Drapelli). Tu powstawały zdjęcia do takich kinowych produkcji, jak „Król olch” (1995) Volкера Schlöndorffa z Johnem Malkovichem, reżyserski debiut popularnego aktora Olafa Lubaszenki „Sztos” (1997) czy „Hans Kloss. Stawka większa niż śmierć” (2012) Patryka Vegi z Tomaszem Kotem w roli tytułowej i Piotrem Adamczykiem jako Brunnerem. Czy w którejś z tych produkcji zobaczył pan zamek w Malborku przedstawiony w sposób, który pana zaskoczył, poruszył?

Jeśli chodzi o zdjęcia, to przywołana „Królowa Bona” na pewno robi wrażenie, chociaż prezentuje trochę inny sposób pracy operatora, niż to się dzieje obecnie. Mam wrażenie, że dawniej zabytkowe wnętrza bardziej były traktowane jako wartość, a mniej jako scenografia. Na przeciwnym biegunie tego, co można wykreować z Malborka za pomocą scenografii, jest „Król olch” Schlöndorffa. Gigantyczna produkcja i spektakularny wizualny efekt. Filmowcy jeszcze nie mieli dronów, a jakie powstały ujęcia z lotu ptaka! Z tym że trzeba się naprawdę dobrze przypa-



trzeć, by w ogromnych konstrukcjach wzniesionych na dziedzińcu Zamku Średniego dostrzec charakterystyczne szczegóły Malborka.

Otwieracie bramy filmowcom, ale z zachowaniem ostrożności wobec zabytkowej materii?

Oczywiście. Warunki są przez nas określane bardzo surowo i nieraz dochodziło tu do różnych spięć, czy to ze scenarzystami, czy reżyserami lub innymi członkami ekip, którym trudno było np. zrozumieć, że na zabytkowej posadzce, liczącej sobie kilkadziesiąt lat, nie można bez zabezpieczenia układać np. metalowych torów do kamery. Ani też, że nie do przyjęcia jest rozbijanie naczyń lub pucharów o oryginalną ścianę. Trzeba ją osłonić.

Ekipa „Korony królów. Jagiellonów” jest właśnie w trakcie zdjęć bitwy pod Grunwaldem, realizowanych zresztą w zupełnie innej lokalizacji niż historyczna. Ma pan jakieś wieści z planu?

Rozmawialiśmy o tym podczas pobytu ekipy na zamku. Zapowiadało się duże wyzwanie logistyczne, bo to nie tylko wybór terenu, organizacja planu, ale zmierzenie się z bitwą pokazaną w „Krzyżakach” Aleksandra Forda, która weszła do kanonu polskiej sztuki filmowej. Mam nadzieję, że wszystko się udało.

A jakie są najbliższe plany filmowe zamku?

Jesienią, nie wiadomo, czy do Malborka, czy Kwidzyna, znów prawdopodobnie zawita ekipa filmu „Korona królów. Jagiellonowie”, oprócz tego trwają już przygotowania do nowej wersji „Samochodzika i templariuszy”, którą ma kręcić Netflix i oczywiście bez zamku w Malborku się nie obejdzie.

Nasz zamek przymierzano już wcześniej do innych produkcji realizowanych dla tej platformy. Były to jednak głównie filmy fantasy, a nasz ceglany zamek nie do końca odpowiada warowniom z tego typu ekranowych opowieści – tu poszukiwane są bardziej budowle kamienne. Do realizacji więc nie doszło. Jednocześnie przypomnę – a fani wiedzą o tym doskonale – produkcję, którą miałem możliwość obserwować tuż po zatrudnieniu w Malborku, czyli w roku 2000. Był to polski „Wiedźmin” w reżyserii Marka Brodzkiego. Zamek Malbork, w którym w dużej mierze serial był kręcony, jest na ekranie doskonale widoczny.

Nie ma wątpliwości: zamek powinien być plenerem różnych produkcji filmowych, ale też miejscem innych wydarzeń: edukacyjnych, naukowych i wystawienniczych, a także rekreacyjnych. W lipcu mieliśmy w Malborku kolejną edycję „Oblężenia Malborka”, a już we wrześniu zapraszamy na wystawę „Zatem Najświętsza Maria Panna musi oglądać swoją sprofanowaną siedzibę – Malbork między polityką a sacrum (1772-1856)”. Zapraszamy także do naszych oddziałów – zamków w Sztumie i Kwidzynie.

„Teściowie” – bój to ich ostatni!

Canal + pokazuje „Teściów”, film Kuby Michalczuka, niemal debiutanta, któremu udało się coś rzadkiego: nakręcenie komedii i zabawnej, i inteligentnej, i mówiącej coś o współczesnych Polakach. Ja popędziłem w ub.r. do kina choćby z jednego powodu. To adaptacja „Wstydu”, sztuki Marka Modzelewskiego. A o niej da się powiedzieć to samo.

To historia dwóch małżeństw spotykających się w kuchni na zapleczu domu weselnego chwilę po tym, gdy pan młody uciekł sprzed ołtarza. Gosia i Andrzej są rodzicami chłopaka, a Wanda i Tadeusz – dziewczyny. Dzieli ich społeczna przepaść. Andrzej to dobrze prosperujący stołeczny biznesmen, Gosia to ordynator w szpitalu. Tadeusz i Wanda to biedniejsi od nich i bardziej konserwatywni prowincjusze. Można mówić o refleksji na temat Polski podzielonej, chociaż do polityki odniesień tu mało. Wojna dwóch małżeństw ma w sobie coś z „Rzezi” Romana Polańskiego. Pełno tu socjologicznych obserwacji, ale okrucieństwo konstatacji na temat ludzkiej natury wykracza poza doraźność czasu i miejsca.

Kiedy zobaczyłem to w warszawskim Teatrze Współczesnym, miałem wrażenie złapania Pana Boga za nogi. Filmowy scenariusz napisał też Modzelewski, z zawodu lekarz. Jest inny niż kameralna wersja teatralna. Wychodzi w „plener” – małżeństwa prowadzą swoje rozrachunki w zakamarkach luksusowego hotelu, pośród tłumu kelnerów i pomywaczy. Mamy też podpatrzone scenki z wesela, które odbywa się mimo braku państwa młodych. Z kapitalną galerią drugoplanowych postaci, pośród których rekordy charakterystyczności bije Ewa Dąkowska jako matka Gosi.

Akcja, choć polega głównie na gędzeniu, pędzi coraz żwawiej. Odsłanianie są tajemnice, dochodzi do kolejnych demaskacji. Nie tylko na głównym – można by rzec – klasowym froncie się to rozgrywa, bo i w zgrane – zdawałoby się – oba małżeństwa wstępuje duch niezgody, nieufności, rozżalenia. To może najbardziej gorzkie, bo jest kontrapunktem dla zerwanego związku młodych.

Można debatować, czy różnice kulturowe przesądzą

o tym, co się tu w jeden dzień stało. Niemniej zarysowany grubą krechą podział staje się metaforą struktury naszego społeczeństwa w dobie polaryzacji. Choć socjalnych konserwatystów może zmartwić fakt, że w finale nieco lepiej, bo mniej pazernie, prezentują się „inteligenci”, gorzej – „lud”.

Ale to nie jedyny temat tej historii. Rolę sprawców zdarzeń biorą tu na siebie nieobecni (poza jedną scenką) młodzi. To także przypowieść o ich piramidalnej niedojrzałości. Może bardziej wkurzającej niż zapiekłość ich rodziców. W filmie brzmi to mocniej niż w sztuce – mamy tu inne zakończenie. I jest może jeszcze bardziej celne.

Wypada pogratulować Modzelewskiemu odwagi. Ciekawe – i właściwie politycznie niepoprawne – jest jeszcze coś innego. Jaką rolę we wzajemnych pretensjach niedoszłego małżeństwa odgrywa pytanie, czy jedno z młodych do końca zna swoją seksualną tożsamość. Tyle że twórcy filmu traktują je jako coś mało poważnego, chyba produkt mody. Rzadko kino chadza dziś takimi ścieżkami. Kolejna sztuka Modzelewskiego „Kto chce być Żydem” jest już poprawna do bólu.



Tego filmu nie byłoby, gdyby nie cztery wspaniałe role. Marcin Dorociński i Maja Ostaszewska (Andrzej i Gosia), Iza Kuna i Adam Woronowicz (Wanda i Tadeusz) dają z siebie wszystko. Jak oni to robią, że tak się babrząc w trzewiach postaci, potrafią być piramidalnie zabawni? Rekordzistą fizycznej i głosowej transformacji jest przeżywający złoty czas

Woronowicz. A Kuna gra inną postać niż w Teatrze Współczesnym, dowodząc własnej wszechstronności. Ogląda się to świetnie. To mądra rozrywka.

Piotr Zaremba

Wszystko na sprzedaż

Czy sztukę można przeliczyć na pieniądze? Idealiści uważają, że to niemożliwe. Ale galerie oferują dzieła największych twórców. Wystarczy być bogatym, by zabrać je do swojego domu. Teraz wielkie hity wyprzedają muzycy. Okazało się np., że wszystkie piosenki Bruce'a Springsteena, jednej z największych gwiazd w historii rock and rolla, są warte 550 mln dol.



GORAN ANDRIJANIĆ

Według „The New York Times”, to kwota, którą The Boss (szef), jak nazywają popularnego muzyka z New Jersey, otrzymał za cały katalog piosenek sprzedanych firmie Sony Music Entertainment.

Za te pieniądze Sony w grudniu 2021 r. uzyskało wszelkie prawa do łącznie ponad 300 utworów Springsteena, znajdujących się na 20 albumach studyjnych i ok. 23 koncertowych. Prawa intelektualne, tantiemy z reprodukcji piosenek czy prawa do wykorzystywania utworów w reklamach – to wszystko należy teraz do Sony, a nie do Springsteena. On oczywiście nie ma na co narzekać, bo jego konto powiększyło się o niebagatelny zastrzyk finansowy. Można sądzić, że zabezpieczył przyszłość nie tylko sobie, lecz i swoim dzieciom (a może i wnukom), choć bieda nikogo z nich i tak by nie dotknęła. Szacuje się, że Springsteen zarabiał do niedawna ok. 15 mln dol. rocznie z samych tantiem.

Pojawiają się głosy, że muzyk i bohater klasy robotniczej tym posunięciem zdradził wszystkie swoje ideały. Zanim zaczniemy moralizować, musimy poznać kilka faktów. Springsteen to jeden z wielu muzyków, którzy prze-

dali swoje piosenki w ciągu ostatnich lat. To trend, który trwa w branży muzycznej od początku pandemii.

Wśród muzyków, którzy się „sprzedali”, są tacy, co mają taką samą, jeśli nie większą, wiarygodność kontrkulturową jak The Boss. W zeszłym tygodniu ogłoszono, że Pink Floyd również negocjuje sprzedaż swojego katalogu muzycznego. Zespół, który napisał słynną piosenkę „Money” o złu konsumpcjonizmu, ma zamiar sprzedać swoje dzieło za blisko 500 mln dol.

A Bob Dylan? Ta legenda muzyki, której nazwisko od dziesięcioleci jest symbolem ruchów kontrkulturowych, jeszcze wcześniej, bo w grudniu

2020 r., sprzedała swój katalog muzyczny Universal Music za ok. 400 mln dol.

Neil Young na początku stycznia oddał połowę swojego katalogu firmie Hipgnosis za 150 mln dol. Kanadyjczyk, który kiedyś powiedział, że „nie śpiewa dla Pepsi i nie śpiewa dla Coli”, może nie długo usłyszeć swoją piosenkę w znanych sieciówkach fast food czy w reklamie.

Idźmy dalej. Spadkobiercy zmarłego Davida Bowiego, mimo że chodzi o artystę, który podkreślał swoją niezależność w walce z przemysłem muzycznym, sprzedali wszystkie jego piosenki firmie Warner Chappell za 250 mln dol.

Wśród innych artystów, którzy sprzedali część lub cały katalog, są Tina Turner, Red Hot Chili Peppers, Beach Boys, Blondie, ZZ Top i wielu, wielu innych.

Analizy rynku pokazują, że transakcje związane ze sprzedawaniem muzyki w 2021 r. sięgnęły nawet 5 mld dol. Według innej analizy cena rynkowa tych praw wzrosła tak drastycznie, że niektórzy się zastanawiają, czy inwestorzy nie płacą za dużo.

STABILNY RYNEK

Pomysł inwestowania w katalogi muzyczne nie jest nowy. Wszyscy wspominają transakcję z 1985 r., kiedy Michael Jackson kupił większość katalogu The Beatles za 47,5 mln dol.

Obecnie zainwestowane pieniądze są jednak znacznie większe. Pytanie: dlaczego korporacje muzyczne kupują właśnie teraz? I dlaczego muzycy właśnie teraz sprzedają?



Bruce Springsteen

Korporacje kupują, bo rynek muzyczny jest bardzo stabilny, mówią ekonomiści. W sytuacji pandemii, kiedy wielu innym rynkom zagrażał COVID-19, ten nic nie stracił. Mówiąc najprościej, ludzie nadal kupują muzykę, czy przez media strumieniowe, czy w formie fizycznej. I tak będzie nadal, niezależnie od politycznych wpływów.

„Kiedy Donald Trump zrobiłby coś nieoczekiwanego, mogłoby to mieć wpływ na ceny ropy i złota. Nie dotyczy to piosenek. Te zawsze będą sprzedawane” – powiedział Merck Mercuriadis, założyciel firmy inwestycyjnej Hipgnosis, która jako jedna z pierwszych rozpoczęła trend, kupując piosenki Shakiry, Johna Lennona, Neila Younga i innych.

Po kilku takich transakcjach także inne duże firmy muzyczne, jak Universal i Warner, zareagowały kupowaniem zestawów swoich muzyków.

I tak rozpoczął się trend handlu katalogami muzycznymi, wspomagany na początku rekordowo niskimi stopami procentowymi na amerykańskim rynku bankowym.

PANDEMICZNE ZAMKNIĘCIE I PODATKI

Istnieje kilka czynników, które dają odpowiedź na pytanie, dlaczego muzycy sprzedają swoje katalogi.

Pierwszym powodem było oczywiście ograniczenie działalności koncertowej z powodu pandemii. Trasy koncertowe od dawna są największym źródłem dochodów wielkich gwiazd rocka, a ich odwołanie stworzyło lukę w budżetach, którą trzeba było jakoś wypełnić.

Jednak po zakończeniu pandemii i wznowieniu tras koncertowych trend nie ustał, co wyraźnie pokazuje sytuacja z Pink Floyd.

Ten trend jest związany z reformą podatkową w Stanach Zjednoczonych. Joe Biden planuje podniesienie stawki podatku od sprzedaży. A to spowoduje większe opodatkowanie dochodów z tan-
tium. Czyli nie ma na co czekać.

Pojawia się oczywiście kwestia osobistej sytuacji każdego z muzyków. Istnieje wiele powodów, dla których większość z nich chce od razu dostać dużo pieniędzy,



Bob Dylan

dzi, zamiast dostawać je co roku, i to być może znacznie mniejsze.

SZYBKĄ KASĄ W NIEPEWNYCH CZASACH

– Myślę, że jest to okazja do szybkiego pieniądza, co sprawia, że zespoły decydują się na taki ruch. Wydaje mi się też, że rzeczywistość tych kapel nie jest tak różowa, jak pokazują to media. Tantiemy autorskie wielkich gwiazd spływają stopniowo i nie wiemy, co się będzie z nimi działo w nowym świecie. Starzy wykonawcy mają inną wrażliwość estetyczną i muzyczną. Oni wolą mieć w ręku gotówkę, niż czekać na to, co się wydarzy – mówi nam Robert Friedrich „Litza”, muzyk i producent, dziś gitarzysta Luxtorpedy.

– Być może patrzą też na konsekwencje swojej śmierci, np. na procesy o prawa autorskie w rodzinie. Być może chcą tego uniknąć, więc sprzedają utwory i dzielą wynagrodzenie tak, jak uważają? – dodaje.

Jakie konsekwencje będzie miał ten trend na rynku muzycznym? Niektórzy twierdzą, że jeszcze bardziej zwiększy to wpływ korporacji muzycznych i zmniejszy zdolność artystów do swobodnego i niezakłóconego dysponowania swoimi utworami. Friedrich uważa, że chodzi o wzmocnienie procesów zachodzących w przemyśle muzycznym od dłuższego czasu.

– Ja jestem zarówno wydawcą, producentem, jak i autorem i osobiście nie

pozbyłbym się praw do swoich utworów. Ale starsze zespoły nie wiedzą, czy będą w przyszłości słuchane, doceniane, więc może dlatego podejmują taką decyzję. Zespoły wydawane przez duże firmy nie mają zbyt wielkiego wpływu na swoją twórczość, są obwarowane różnymi umowami i często nie mogą robić tego, co by chcieli. Świat się zmienił i twórcy są teraz w innym miejscu niż wtedy, kiedy tworzyli swoją sztukę. Myślę o przetrwa-



Pink Floyd

niu, stabilizacji finansowej, a ich ideały mogły upaść – twierdzi Litza.

Idealy rock and rolla i kultury popularnej jako oazy wolności i kreatywności w świecie korporacji wydają się przeszłością. Kultura popularna przeszła już poważne i głębokie zmiany w rzeczywistości zdominowanej przez internet i technologie cyfrowe.

– Era muzyki rockowej minęła i myślę, że wielu artystów ją tworzących jest tego świadomych, stąd decyzja m.in. Red Hot Chili Peppers, by sprzedać swoje utwory. Widzę to również we własnym domu. Mój syn, który tworzy nowoczesną muzykę, puszcza mi często nowe utwory, które są krótkie, po to, by można je było prezentować na TikToku. Czasy, gdy zespół robi coś, bo ma potrzebę wyrażenia swoich przemyśleń, są w zaniku. W naszej młodości muzyka była na pierwszym miejscu w życiu i powodowała, że chciało nam się wstać, pracować i cokolwiek robić. Teraz muzyka jest elementem towarzyszącym, nie jest czymś ważnym. Sztuka ogólnie ma towarzyszyć jako rozrywka – wyjaśnia Litza.

Jedno jest pewne. To wszystko, co się dzieje, pokazuje, że muzyka, nawet ta stworzona z najszlachetniejszych pobudek, ma swoją cenę.

Wrogowie i fides, i ratio

Halo, jestem Maj, niebinarne, samodzielne rodzico dwójki dziecięc, które kocham nad życie”.

„Jestem członkiem Fundacji Trans-Fuzja, aspiruję do stania się leśnym dziadziuszkiem i życia pośród natury”, „Pracuję jako technicze...”. W Niemczech rządowy projekt nowej ustawy o zmianie płci wprowadza karę grzywny w wysokości 2,5 tys. euro za zwracanie się do transseksualisty jego dawnym imieniem. Jeśli uda się zmusić ludzi do używania niebinarnej nowomowy, gmach naszej cywilizacji zostanie pozbawiony kolejnej warstwy fundamentów.

Trwa żmudna praca nad powrotem do świata wrogiemu i fides, i ratio: znany z TVN wróżbita Maciej bierze od wykształconych z dużych miast 250 zł za 15 minut konsultacji, a za 30 minut już 1,5 tys. Jeśli chcesz, by do tego odczynił klątwy i uroki, dopłacasz 650 zł, rytuał wzmacniający finanse – 850 zł.

Trwa żmudna praca nad zdegenerowaniem obyczajowości człowieka Zachodu. W polskich gazetach i na portalach promocja rozwiązłości, prostytucji, przyzwyczajania do patologii: „Mąż tyle razy zdradzał mnie w myślach, że moje zdrady fizyczne nie mają już znaczenia”, „Praca seksualna może sprawiać przyjemność”, „Odkąd mam kochanka, w moim małżeństwie układa się lepiej”. Największym wrogiem redaktorki „Wysokich Obcasów” wcale nie jest mężczyzna. Jest nim piękna, szczęśliwa mężatka i matka. Spełniona w swojej kobiecości, samym swoim istnieniem potęguje nienawiść feministki do samej siebie i swoich życiowych wyborów. Człowiek będący niewolnikiem pożądań jest marzeniem ludzi chcących go zniewolić. Instytucjonalizacja grzechu to broń w rękach

współczesnych rewolucjonistów. Racjonalność, duchowość, moralność – oto ich cele.

Wielowiekowa praca kulturowa wbudowująca chrześcijańskie hierarchie w przestrzeń społeczną udała się jedynie dzięki tysiącom męczenników i dziesiątkom, setkom tysięcy osób poświęcających swoje życie bliźnim. Dzięki 100 pokoleniom ludzi zafascynowanych Chrystusem i upodabniających

*Współczesna kultura
bestializuje człowieka.
Pozbawia jego hierarchię
wartości wyższych pięt.
W efekcie otrzymujemy świat
znudzonych, pustych ludzi*

się choćby odrobinę do niego w trudnej sztuce bezinteresowności. Że ten system działa, mogliśmy się przekonać, patrząc na Matkę Teresę, Jana Pawła II i ks. Jerzego Popiełuszkę. Tacy byli liderzy chrześcijańskiej Europy, katolickiej Polski. A za nimi szły miliony, którym proces uświęcenia do końca się nie udawał, ale coś się przecież udawało...

Współczesna kultura bestializuje człowieka. Pozbawia jego hierarchię wartości wyższych pięt. W efekcie otrzymujemy świat znudzonych, pustych ludzi. Zachodnia cywilizacja zgromadziła duży kapitał duchowy. Jednak nie jest on nieskończony. Z wielkiej budowli można wyjmować cegłę po cegle. Do pewnego czasu. Potem ten gmach runie. A może już się to stało?

W Laosie odkryto zatrważający proceder. Francuscy pedofile adop-



ROBERT TEKIELI

tują kilkuletnie dzieci. Dziewczynka do adopcji kosztuje 500 dol. Dziennikarze jednej z brytyjskich stacji telewizyjnych za 50 dol. wynajęli siedmiolatka i ośmiolatkę na cały dzień. Nikogo nie interesowało, co się z nimi działo. O wiele gorzej dzieje się w Kenii. Rodzice w Wielkiej Brytanii założyli grupę, która namierza pedofilów i doprowadza do postawienia ich przed sądem. Zakładając fikcyjne profile na portalach randkowych i społecznościowych, uczestnicy grupy podają się za 12–15-letnie dziewczynki. Umawiają się z zainteresowanymi mężczyznami w realu i filmują przyjeżdżających z alkoholem i prezerwatywami. Dzięki ich działalności za kratki trafiło siedmiu pedofilów. Francuski odpowiednik naszej Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji zablokował w internecie film, na którym francuski eurodeputowany Daniel Cohn-Bendit opowiadał o swoich przygodach seksualnych z pięcioletnimi dziećmi. W Nowej Zelandii w ciągu ostatnich 12 lat sześć razy władze państwowe odmówiły rodzicom, którzy chcieli nadać swoim synom imię Lucyfer. Mój znajomy zrezygnował z pracy w prosekstorium. Długo się wahał, ale zajmowanie się ciałem półtorarocznej ofiary gwałtu przekroczyło jego wytrzymałość. Czy Ziemia jest piekłem jakiejś innej planety?



Niewarte

Na popularnych portalach społecznościowych, TikToku i YouTube, spotkałem setki profili, które promują okultyzm oraz różne odmiany irracjonalizmu. Wykształceni ludzie wierzą dziś w działanie nieistniejących substancji (homeopatie), w brak duchowego oddziaływania praktyk duchowych (jogę) czy w istnienie ezoterycznych energii niedających się wykręcić przez narzędzia nauki (bioenergoterapię, feng shui). Coraz więcej ludzi wierzy w wyjaśniającą przyszłość moc horoskopów. Sądzą, że układ planet w chwili narodzenia ma determinujący wpływ na ich życie. Codziennie rodzi się na Ziemi 450 tys. osób. Ich życiorysy będą do siebie podobne?

Pozytywne myślenie jest XIX-wieczną ideologią, której główną ideą jest pomysł, że myśl kształtuje rzeczywistość. Zatem wystarczy wizualizować pożądaną dla siebie sytuację kilka razy dziennie, wygłaszając odpowiednie afirmacje, by osiągnąć, cokolwiek nam przyjdzie do głowy. Przeciwnostwem pozytywnego myślenia wcale nie jest myślenie negatywne – w ten bowiem sposób próbują odeprzeć racjonalne argumenty zwolennicy tego zabobonu – lecz myślenie realistyczne, które nie wyklucza optymizmu. Lecz być przekonanym, że jeśli będę wizualizował czerwone ferrari w swoim garażu, to ono tam stanie, jest w najlepszym wypadku głupotą, w najgorszym – magią.

Kolejnym zabobonem rozpowszechnionym wśród konsumentów współczesnej popkultury jest kartomancja. Jedynym źródłem mocy związanym z tarotem jest to, które wróżący (niebędący oszustem) uruchamia, medytując sataniczne symbole umieszczone na tych kartach. Gdy wchodzi w stan transu, otwiera się na świat demoniczny i stamtąd dostaje informacje, które mogą wywołać fascynację u klienta i uzależnić go od tarocisty. Choć oczywiście nawet demon nie zna przyszłości.

Dużą karierę robi w Europie hawajska sztuka uzdrawiania huna. Jednak praktykowanie jej nie prowadzi do „rozpoznania najwyższego ludzkiego potencjału”, lecz do otwarcia się na działanie demonów. Ten hawajski szamanizm nie jest formą poszerzenia umysłu, lecz bardzo groźną formą czarnej magii. Radykalne Wybaczanie, Uzdrawianie Pola Życia, metoda ustawień rodzinnych Berta Hellingera – w szarej

strefie psychoterapii i psychologii, w której każdy może zostać doradcą życiowym czy terapeutą – mamy do czynienia z wieloma bezwartościowymi praktykami, niektóre z nich jednak mogą być nie tylko formą przesądu, głupoty, lecz również groźnym zabobonem, jak metoda Hellingera. Uzdrawianie metodą reiki jest japońskim okultyzmem, a trzy symbole wizualizowane przez adeptów reiki są imionami demonów. Jednak ludziom Zachodu przedstawia się reiki jako formę operowania bezosobową energią. I wielu daje się oszukać.

Oszustów i okultystów są w sieci dziesiątki tysięcy. Mieczysław Sabaj naucza pracy z przewodnikiem duchowym oraz pracy z energią kundalini. W księgarni wysyłkowej możemy zamówić sobie oryginalne piramidy Horusa, możemy też przeprowadzić delfinoterapię w warunkach domowych oraz uzdrawianie falami milimetroowymi. Wystarczy jeden telefon i na nasze usługi są specjaliści od uwalniania od demonów, wampirów energetycznych i skutków różnych form magii. Kursy rozwoju osobistego mogą mieć, jak się okazuje, takie tytuły jak „Magia piramid – odzyskaj swą moc” oraz „Pomoc aniołów”. W laboratorium Ricka Jarowa czeka nas zaś seria ekscytujących wykładów pt. „Alchemia obfitości”. Roman Krawczyk zaprasza na skromne kursy widzenia aury oraz kursy jasnowidzenia, Czesław Sobczak oferuje uzdrawianie przez telefon. W Polanicy-Zdroju przy ul. Kruczkowskiego atrakcyjne warsztaty terapeutyczno-radiestezyjne z jogą, uzdrawianiem kryształami i terapią krzyżowo-czaszkową. Józef Baj poleca profesjonalny sprzęt radiestezyjny: wahadła z duszą. Ale możesz też wziąć udział w warsztatach z tarota intuicyjnego czy poznawać z różokrzyżowcami tradycyjną wiedzę ezoteryczną starożytności. Do tego terapia kwiatowa dr. Bacha, chirurgia falowa i fantomowa, regresing i numerologia. Ponadto portale archaniołów, matryce światła, karty anielskie i kody bogactwa.

Ponad 100 tys. osób prowadzi w Polsce zarejestrowaną działalność związaną z powyższymi dziedzinami duchowości oraz najróżnorodniejszymi formami oszustwa. Ile milionów ludzi ich utrzymuje?

Robert Tekieli
Polskie Radio



Wojciech Stanisławski

Kolonializm po rosyjsku

Praca Jersilda zawiera dość faktów, by zastąpić nienapisaną jeszcze po polsku wielką historię Kaukazu

Z tymi orientalizmami (niekiedy nie po rosyjsku) prości zjadacze prac historycznych miewają kłopoty. Począwszy bowiem od książki Edwarda Saïda, założycielskiej dla tego nurtu refleksji (w oryginale wydanej w 1978 r., w Polsce kilkanaście lat później), wiadomo, że orientalizm oznacza odtąd sposób opowiadania (by nie rzec – narrację) praktykowaną wobec peryferii. Zwykle peryferie imperium opisywanych przez odległą stolicę tegoż, choć niektóre orientalizujące narracje, traktujące o Indiach, Litwie czy Chinach, bywały tworzone wspólnie przez cały Zachód. Taki sposób opowiadania jest z reguły powierzchowny, paternalistyczny, upupiający – i zwycki w tym sensie, że imperialna narracja tworzona, reprodukowana i dystrybuowana przez wielkie stolicy dociera do reszty świata skuteczniej niż opowieści podbitych plemion.

Taka narracja jest więc rodzajem przemocy – i kolejne prace orientalistyczne, z reguły podszyte Foucaultem z jego przekonaniem o przemocowym charakterze wiedzy, nauki i dociekania prawdy, stawiają sobie za cel narracji tej zdekonstruowanie, ukazanie jej sprzeczności i technik. Jest to więc opowieść o opowieściach, rzecz delikatna jak suflet, choć naszpikowana niejadalnymi przypisami. Tymczasem zjadaczom przeszłości marzą się na początek proste i pożywne jak befszytk (boddaj i krwawe) fakty i bywają zniechęceni książkami o konkurencyjnych narracjach, które są jak gabinet krzywych luster.

Austin Jersild podsuwa nam orientalizm już w tytule, nie kryje się też z zacięciem do demaskowania praktyk Pe-

tersburga, który w XIX w. w określony sposób postrzegał górali kaukaskich, konceptualizował ich, „ustawiał sobie” do opisu (i podboju) i tworzył historyczno-cywilizacyjną perspektywę „misji białego (i prawosławnego) człowieka”. Na szczęście jego praca zawiera również dość faktów, by zastąpić nienapisaną jeszcze po polsku wielką historię Kaukazu (boddaj XIX w.). Zawiera je w takiej ilości, że nauczy pokory również czytelników, którzy dotychczas mieli się za bywalców w tym regionie tylko dlatego, iż wiedzieli, że płynąca przez Tbilisi rzeka nie nazywa się, jak chcieliby Rosjanie, Kura, lecz Mtkwari (oto zresztą wymowny przykład imperializmu onomastycznego!) i rozróżniają Kabardo-Bałkarię od Karaczaj-Czerkiesji. Ha, niech spróbują wskazać, gdzie władał sułtan elisujski, chanowie kazykumski i kiuryński, gdzie rozciągały się granice Szamchałatu Tarkowskiego...

Bez map (na szczęście wydanych w osobnej wkładce do książki) nie razbieriesz.

Taka wielość mikropoświadczeń, nieraz rozciągających się nie dalej niż na dolinę, rodzi skojarzenie z podbijanymi przez Brytyjczyków Indianami – niebezczasne i niejedne, jeśli idzie o paralelizm praktyk kolonialnych XIX-wiecznej Rosji i innych potęg europejskich. Osobliwość kolonializmu w odmianie rosyjskiej (kolonie nie znajdowały się za morzami, część poddanych nie różniła się kolorem skóry, paradoksalnie, łatwiejszy był awans tubylcy na niższych szczeblach systemu władzy) okazuje się drugorzędna w porównaniu z podobieństwem praktyk do tego stopnia, że rosyjscy dyplomaci i wojskowi z uwagą śledzili działania francuskiej armii w Afryce Północnej. Nawet napięcie między dwoma dyskutowanymi w Petersburgu politykami – dążeniem do propagowania/narzucania rosyjskiego języka lub do oczyszczania z naleciałości i wspierania wybranych języków narodowych – nie było tak odmienne od praktyk francuskich czy hiszpańskich.

Szczególna za to okazała się rosyjska wizja przeszłości Kaukazu, niezgodna z prawdą historyczną (ale tym gorzej dla prawdy) – ongiś chrześcijańskiego, współcześnie „zagrożonego przez wojowniczy islam”. Ten islam czasem usiłowano niesłychanie brutalnie rugować (umacniając przy tym jego radykalne odmiany), czasem – układano się z nim: a jak trwała jest ta ostatnia praktyka, najdobitniej świadczą dzieje rodu Kadyrowów. I jeszcze jeden rosyjski wkład w powszechną historię kolonializmu: wysiedlenia. „A jak te bydłaki będą się stawiać, wymrozić ich zimą jak chrząszcze i zagłodzić na śmierć” – radził gen. Aleksander Swistunow spytany, jak poradzić sobie z dwoma czeczeńskimi aulami, Bienoj i Zandak. Nauka nie poszła w las.



Austin Jersild, „Orientalizm po rosyjsku. Górale Kaukazu Północnego i pogranicze gruzińskie, 1845–1917”, tłumaczenie, wstęp i posłowie Jerzy Rohoziński, PIW, 2022

Neutrino na poczcie

Dlaczego już się tak nie pisuje? Czytam sporo felietonów, sam czasem się do nich przymierzam. Ogromna większość z tego, co dziś bywa publikowane, nawet nie udaje, że jest czymś innym niż egotyczną, rozgdaną publicystyką. Czasem udaje nieudolnie. Pod szyldem „felietony” bywają drukowane humoreski, wycieczki personalne (pseudonimizowane lub jawne, delikatne lub z buta), polemiki z innymi publicystami i ogłoszenia drobne („używaną partię zamienię”). Wrzuca się

Bywają oczywiście autorzy trwalsi: za wyjątkiem Bolesława Prusa, źródła nieprzebranej wiedzy o gubernialnej Warszawie oraz dickensowskiego ciepelka. Ceni się ich zwykle za zjadliwość, bezlitosną ironię, pointę trafiającą jak kula. Pisanie Piotra Wierzbickiego jest czymś innym, stawia trochę na głowie różne teorie literackie: okazuje się, że taki gatunek prasowy jak felieton jest najbliższym pokrewnym miniaturze filozoficznej. Może nie powinno to dziwić tych, którzy mieli w ręku traktat metafizyczny „Zapis świata” tegoż autora – dla rzeszy czytelników fakt, że można napisać felieton o „dziwnym przezroczystym tchnieniu samotnika – neutrinie”, może być zdumiewający.

Można o neutrinie i o promieniowaniu reliktowym wszechświata. I o wojnach owadów, wojnach ludzi. I o Bachu, oczywiście. Ale też o poczcie na ulicy B. w Warszawie, o kolejce na tej poczcie, tekst, który tak kipi od bólu, buntu i oburzenia, że doskonale tłumaczy, dlaczego felietonista „Literatury” z lat 70. zdecydował się na akces do KOR, który oznaczał utratę posady i zapis na nazwisko.

Dobrze, że te miniatury filozoficzne przetrwały i zapis, i „Zapis”.

tam całą drobnicę, która nie mieści się w reportażu, sprawach zagranicznych i połajankach programowych (o mało nie napisałem „pogromowych”). I musi być bardzo aktualna: felietony to bardziej niż inne kolumny periodyku jętki-tygodniówki.



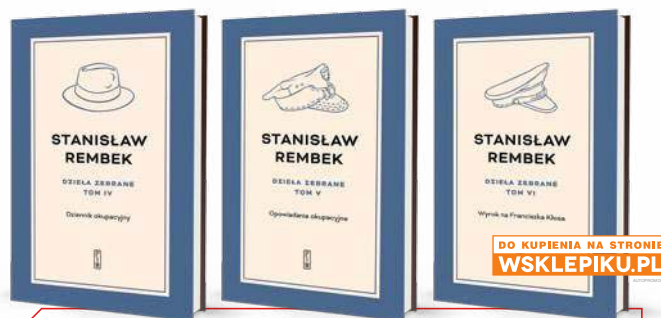
Piotr Wierzbicki,
„Domek Baby Jagi. Felietony
i eseje wybrane”, PIW, 2022

Wojna i destylacja

Wyrok na Franciszka Kłosa”, książka uznawana za wybitną nawet przez tych, którzy niezbyt poważają twórczość Stanisława Rembeka, jest niby znany. Ale rzecz wiadoma: za PRL wydawano go pokątnie i w małych nakładach, tak naprawdę nie wszedł do kanonu literatury o okupacji, tłuczonego w szkołach, dyskutowanego przez komentariat. I jest to strata niepowetowana. W sytuacji gdy każdy lubi przywoływać jakiegoś pisarza lub dzieło zamilczane przez powojenną cenzurę (jeden przywołują „Nadberezyńców”, drudzy Ossendowskiego, trzeci tworzą prawdziwą soap operę z Zygmuntem Nowakowskim w roli głównej), twierdząc, że najciężej na stanie polskiej świadomości zbiorowej odcisnęła się nieobecność „Wyroku...” w świadomości czytelniczej.

Ta powieść pisana konsekwentnie z perspektywy małego miasteczka, a jeszcze dokładniej – stolika w miejscowej sodo-wiarni, przy którym rezydują poddatusiali sceptycy, zdystansowani wobec wszelkich uniesień, w miarę pobożni, w miarę ostrożni – opowiada o panoramie polskich postaw pod okupacją niemiecką: od męczeństwa po szmalcownictwo. I ukazuje je we właściwych proporcjach. To antidotum na oskarżycielskie opowieści o jokofobów i na samozachwyty.

To powieść metafizyczna, studium zdrady, osamotnienia i ostatecznego upadku głównego bohatera. To powieść psychologiczna, suto podlana wódą, bimbrem, rumem i piwem,



Stanisław Rembek, „Dziennik okupacyjny”, „Opowiadania okupacyjne”, „Wyrok na Franciszka Kłosa” [t. IV–VI „Dzieł zebranych”], PIW, 2022

studium delirium, w którym na chwilę można schować się przed lękiem. Ale to przede wszystkim powieść historyczna, niezwykle plastyczny obraz lat okupacji w miejscowościach na najważniejszej chyba dla literatury polskiej (od „Lalki” i „Pożegnań” po „Wyrok...”) grodziskiej linii kolejowej.

Świetna inicjatywa wydania „Dzieł zebranych” Rembeka pozwala każdemu prześledzić, jak z wrażeń, impresji, z codziennej, po stoicku pisanej kroniki, w której uwagi o temperaturze („12 lutego. Mróz nadal trzyma”) stoją obok zapisków o transportach, egzekucjach, kupionym na czarno węglu i gęsinie, oraz kolejnych prób fabularyzacji, zaokrąglenia opowieści rodzi się dzieło wstrząsające. My, czytelnicy, możemy posmakować, jak destyluje się literatura: Franciszkowi Kłosowi pozostał bimber z fuzlem. No tak, „zjawisko wódki jest ciekawe...”

La Mancha

Atrakcją w oczach Polaków, mieszkańców jednego z najbardziej nizinnych krajów na świecie, może być fakt, że kraina Don Kichota jest położona na przeciętnej wysokości ok. 900 m n.p.m.



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

La Mancha, kraina historyczno-geograficzna wchodząca obecnie w skład wspólnoty autonomicznej Kastylia-La Mancha, jest położona w centrum Hiszpanii. Jeżeli spojrzeć się na zdjęcie lotnicze Półwyspu Iberyjskiego, jest to jego najbardziej pomarańczowa część. Swoją barwę region zawdzięcza palącemu słońcu, bardziej kontynentalnemu niż na wybrzeżach klimatowi oraz czerwonej jak gliniana cegła glebie, kojarzącej się z tropikami. Sam krajobraz – step urozmaicony pojedynczymi dębami twardolistnymi *carrasca*, czerwone skały tworzące wzniesienia przypominające południowoamerykańskie *tepui*, kolczaste i mocno pachnące ziołami zarośla *ma-torrar* – wywołuje słuszne odczucie, że jest się w części świata bardzo egzotycznej, wyróżniającej się na tle Europy. Szczególnie ciekawie przedstawia się południowa prowincja La Manchy

– Ciudad Real – ze starym regionem Campo Montiel.

Atrakcyjności La Manchy oprócz przyrody dodaje fakt, że jest ona najmniej zaludnionym rejonem Hiszpanii. Niewielkie, z rzadka rozrzucone miejscowości zamieszkuje ludność zajmująca się rolnictwem, przede wszystkim uprawą oliwek i zbóż. Jest to region bardzo tradycyjny – charakterystycznym punktem każdej miejscowości, pierwszym, który widać z daleka, jest kościół. Często są to budowle tak okazałe i piękne, że stanowiłyby chlubę każdego, nawet dużego miasta. Tym większy i atrakcyjniejszy jest ich kontrast w porównaniu z niską, lecz piękną i tradycyjną zabudową wokół centralnych placów i położonymi o krok za nimi rozległymi polami i gajami oliwnymi.

Każde miasteczko i wioska mają swoje kaplice, zwane *ermita*, poświęcone poszczególnym świętym. Szczególną cziąg – oprócz rzecz jasna Matki Boskiej – są darzeni św. św. Jakub, Izidor, Krzysztof i Tomasz, biskup pochodzący z malej tamtejszej wioski Fuenllana (nazywany też od sąsiedniego większego miasteczka św. Tomaszem z Villanuevy). Każda miejscowość organizuje liczne fiesty,

podczas których obnosi się figury świętych po uliczkach i podejmuje lokalne pielgrzymki, nazywane *romeria*. Fiesty w stylu typowo hiszpańskim są urozmaicone muzyką, a także – zależnie od miejscowości – paleniem ognisk i ogniami sztucznymi. W niektórych miejscach jest w zwyczaju, że podczas święta każdy, kto ma strzelbę (a jest to teren z żywymi tradycjami myśliwskimi), daje ognia w powietrze ze swojego balkonu lub sprzed drzwi domu.

O świetnej przeszłości tego leżącego dziś na uboczu rejonu świadczą też wznoszące się na szczytach wzgórz ruiny zamków z czasów rekonkwisty, świadkowie wielkich bitew sprzed kilkuset lat, dziś zamieszkane przez drapieżne ptaki.

DON KICHOT

Najbardziej znanym człowiekiem z La Manchy jest Don Kichot. Każda miejscowość ma ulicę jego imienia, a także imienia Cervantesa. Każda zaklina się, że to właśnie o niej wspomina się w opowieści o błędnym rycerzu, a przynajmniej że właśnie tę miejscowość autor miał na myśli. Liczne są szlaki piesze nazywane *la Ruta de Don Quijote*, prowadzące malowniczymi pustkowiami i oznaczone drewnianymi, białozielonymi słupkami. W niektórych miejscach pół żartem, pół serio czas dzieli się na przed Don Kichotem i po nim. Wciąż da się odnaleźć stare, tynkowane na biało wiatraki. Niektóre z nich, nieco unowocześnione, są ciągle użytkowane, choć pełnią teraz funkcję wagi, na którą wjeżdżają przyczepy ze zbożem przed oddaniem go do skupu.

La Mancha słynie też, choć zdecydowanie lokalnie, z produkcji serów, przede wszystkim owczych, a także

z półokrągłych dachówek, nazywanych arabskimi, które pokrywają dachy wszystkich domów, a pod którymi gnieźdzą się wróble, niezliczone jerzyki, jaskółki i małe wylatujące o zmroku nietoperze. Charakterystyczne są także wielkie, kilkumetrowej wysokości gliniane beczki nazywane *tinaja*, służące do gromadzenia i przechowywania wody. Dzięki wielowiekowym doświadczeniom stanowią nie tylko rezerwuar wody użytkowej dla gospodarstw, lecz także są źródłem wody, którą można pić bez przetworzenia.

PARDEL I KUROPATWIANY ORZEŁ

Przyroda i niezmiennione krajobrazy są jednym z większych atutów La Manchy. Atrakcją w oczach Polaków, mieszkańców jednego z najbardziej nizinnych krajów na świecie, może być dodatkowo fakt, że kraina Don Kichota jest położona na przeciętnej wysokości ok. 900 m n.p.m.

Dzięki tradycyjnemu rolnictwu i bardzo rozległym, dzikim i nietkniętym terenom La Mancha jest ostoją rzadkich gatunków zwierząt. Flagowym gatunkiem ptaka, który mógłby znaleźć się w godle regionu, jest liczny w La Manchy orzeł iberyjski (*Aquila adalberti*). Majestatyczny orzeł o ponad dwumetrowej rozpiętości skrzydeł, niegdyś opisywany jako podgatunek orla cesarskiego, obecnie jest uznawany za odrębny gatunek. Oprócz silnej, typowej dla orłów budowy wyróżnia się złościstymi płamami na ciemnobrązowych barkach.

Nieco mniejszy od niego jest orzeł południowy (*Aquila fasciata*), ptak z gatunku występującego w północnej Afryce i w Indiach. W Europie jest wyjątkową egzotyką, a jednym z niewielu miejsc, w których gniazduje, jest właśnie La Mancha. Hiszpanie nazywają go *águila perdicera*, czyli orzeł kuropatwiany, ponieważ ulubionym jego pożywieniem są liczne w tej części Hiszpanii kuropatwy czerwone (*Alectoris rufa*), według obecnej systematyki zwane góropatwami.

W regionie tym gniazdują również dwa gatunki sępów: sęp płowy (*Gyps fulvus*) i sęp kasztanowaty (*Aegypius*



monachus). Ten drugi, osiągając 13 kg masy ciała i 3 m rozpiętości skrzydeł, jest największym ptakiem drapieżnym naszego kontynentu.

Stepowe tereny sprzyjają bytowaniu dropi (*Otis tarda*). Skoro mowa o rekordach wśród ptaków, trzeba wiedzieć, że dropie (obok łabędzi niemych) są najcięższymi ptakami zdolnym do lotu. Osiągając masę 20 kg i wysokość ponad metra, są wyjątkowym punktem w krajobrazie zwłaszcza podczas toków, kiedy puszące się samce zamieniają się w lśniące, białe kule, widoczne z daleka pośród falujących traw. Spośród ok. 50 tys. dropi żyjących na świecie, aż 30 tys. występuje w Hiszpanii, w tym znaczna populacja w La Manchy.

Wieczorami i nocami pośród stepów oprócz cykad słychać melancholijne nawoływania kulonów, osobliwych ptaków siewkowatych zachowaniem przypominających bardziej gady niż przedstawicieli gromady *Aves*. We dnie z kolei charakterystycznym tłem dźwiękowym są fletowe gwizdy żółto-czarnych wilg, delikatne głosy wielobarwnych żołą i gruchanie turkawek. Zjawiskowy jest zapach przesycający powietrze, odczuwalny zwłaszcza, gdy wejdziesz się w zarośla matorralu – to dziki rozmaryn i tymianek, których wyschnięte krzaki osiągają niezwykle wysoką kondensację olejków eterycznych. Jest ona tak silna, że suche gałązki tych ziół smakują nie jak znane nam przyprawy, lecz jak wonna żywica.

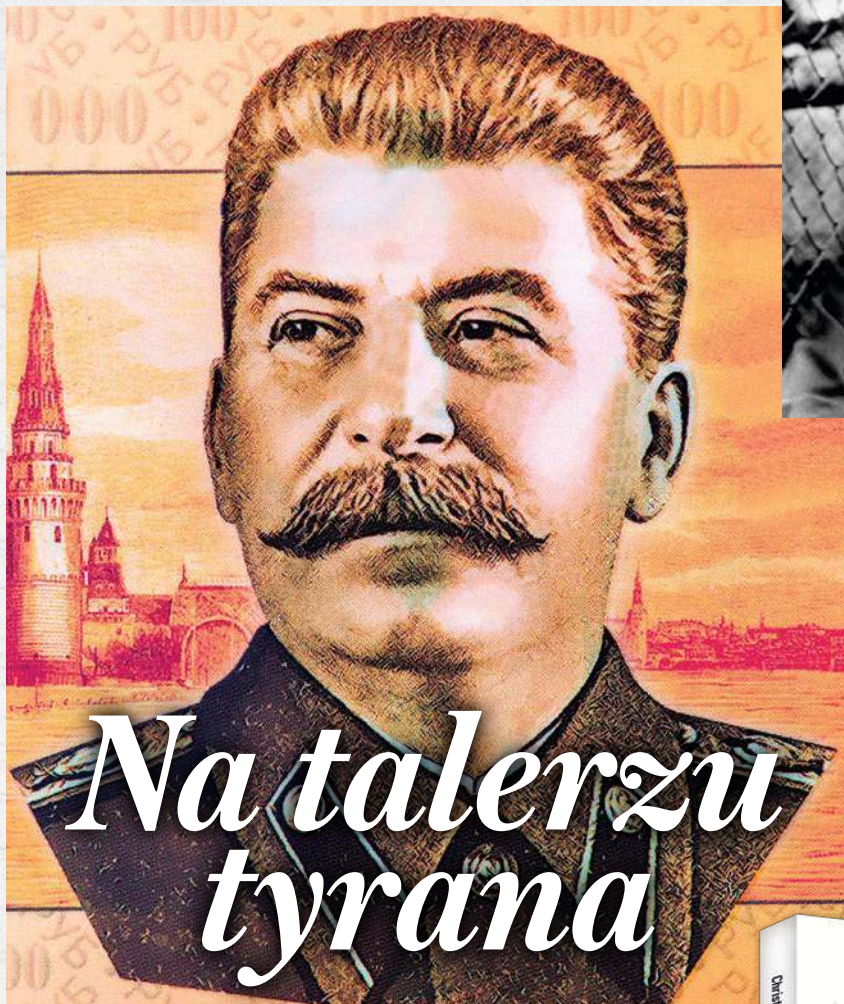
Ryś iberyjski (*Lynx pardinus*), nazywany pardalem, jeszcze pod koniec XX w. był najrzadszym dzikim kotem Europy i groziło mu wymarcie. Obecnie dzięki programom reintrodukcyjnym liczebność pardali wynosi prawie 1,6 tys.

szuk. Jedna z największych populacji żyje na pograniczu La Manchy i Andaluzji w górach Sierra Morena. Ryś iberyjski, gatunek odrębny od rysia eurazjatyckiego występującego m.in. w Polsce, jest wyjątkowo mocno cętkowany. Poluje głównie na dzikie króliki. Warto zaznaczyć, że dziki królik, wsiedlony nierozsądnie przez ludzi w wielu miejscach na świecie (co przyczyniło się w dużej mierze do spustoszenia znacznych obszarów Australii), w Hiszpanii jest gatunkiem rodzimym, pochodzi bowiem właśnie z Półwyspu Iberyjskiego, o czym wiemy m.in. z prac Pliniusza Starszego.

CARRASCA

Mówiąc o przyrodzie La Manchy, nie można zapomnieć o dębach ostrolistnych (*Quercus ilex*), nazywanych *carrasca*. Dąb ten jest typowym, tradycyjnym drzewem Półwyspu Iberyjskiego. W wielu miejscach Hiszpanii zastąpiły go zadrzewienia sosnowe czy australijskie eukaliptusy, w La Manchy wciąż jest liczny jak dawniej. Urozmaicając otwarte krajobrazy, dąb o kolczastych liściach daje schronienie i miejsca gniazdowania ptakom, a także daje cień w południowym skwarze. Jego żołędzie, w przeciwieństwie do kory, pozbawione gorzkich tanin, były kiedyś spożywane przez ludzi. Obecnie tak jak dawniej są stosowane jako wyjątkowo ceniona karma dla zwierząt gospodarskich.

Jeśli chciałoby się przekonać nie tylko o tym, jak interesująca jest hiszpańska przyroda, ale też jak wyglądała niegdyś tradycyjna Hiszpania i jej zwyczaje, La Mancha jest do tego dobrym miejscem.



Na talerzu tyrana

Co jadali: Mao, Bokassa, Hitler, Stalin, Ceaușescu i Husajn

Życie dyktatorów rzadko bywa linearne. Ich odżywianie przybiera kształt równie zawitych krzywizn – pisze Christian Roudaut w ukazującej się właśnie w Polsce książce „Przy stole z tyranem” (wyd. Znak Koncept).

Autor bierze na widelec m.in. rewolucyjną chłopską dietę Mao i obiadowe ekscesy Ceaușescu, zakrapiane przyjęcia Husajna i imperialne bankiety Bokassy, fanatyczny vegetarianizm Hitlera oraz napawające grozą kolacje na Kremlu. Uchylając drzwi kuchni i jadalni największych despotów XX w., odsłania tajemnice ich krwawych dyktatur.

„Gdy rządzący zagłębiają sztuce ze służbowej srebrnej zastawy w chrupiącą jagnięcinę lub krem z krabów, nigdy nie

są sami. Je z nimi cały kraj” – podkreśla Roudaut, rozpoczynając opowieść bezpardonową, nieunikającą drapieżnych anegdot, które pozwalają poczuć złowrogą, choć czasem też tragicomiczną atmosferę panującą przy stołach despotów.

Próbkę stylu, w którym prowadzi czytelnika przez kuchnie i jadalnie swoich bohaterów, pokazuje m.in. opis szokującego kontrastu między życiem ludu i jego ukochanego przywódcy Mao Zedonga: „Podczas »trzech czarnych lat« brzuszko uwięzione w dużych białych kąpielówkach nie było karmione zdechłymi szczurami, chwastami, korą drzewną i kaolinem, tą białą glinką, która ostatecznie zatyka jelita. W rondlach kucharzy

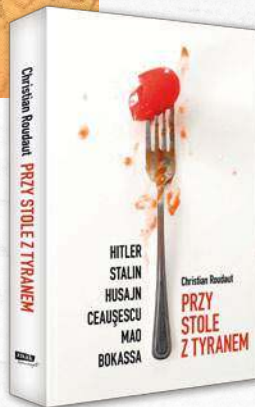
przewodniczącego Mao nie musiały się dusić na wolnym ogniu wychudzone członki jego sąsiadów, krewnych albo własnych dzieci zmarłych z głodu. »Revolucja to nie proszona kolacja« – uprzedził Mao naród w jednym ze swoich ucieszonych aforyzmów [...]. W tej kwestii przewodniczący-poeta miał rację, ale za to od 30 do 40 mln trupów mogłoby zaświadczyć, że rewolucja była proszoną kolacją, tylko że dla robaków”.

W rzeczywistości równoległej (do tej doświadczanej przez jego rodaków) Mao pozostawał wierny kuchni swojej młodości. Posiłki, które mu podawano, składały

się najczęściej z dwóch dań warzywnych i jednego mięsnego, przede wszystkim z wołowiny i wieprzowiny. Komunistyczny dyktator czuł słabość do tłustej wieprzowiny przyrządzonej „à la Hunan” oraz do shuanyangrou, cienkich plastrów jagnięciny gotowanych w bulionie i polanych wysokokalorycznym sosem. Spożywane dania miał zwyczaj

przyprawiać dosłownie i ideologicznie. Np. ostra papryka, której nadużywał, była dla niego symbolem rewolucyjnego zapалу, a pikantność czerwonego pieprzu „poddawała próbie metal, z którego był odlany prawdziwy komunista”.

Zupełnie inne podejście do jedzenia prezentował przyszły wódz III Rzeszy. „Nie pali, nie pije, nic prawie nie je oprócz surówek i nie dotyka żadnej kobiety! Jak mamy go zrozumieć, żeby skłonić innych, by go zaakceptowali?” – narzekał Gregor Strasser



należący do kadry kierowniczej partii narodowo-socjalistycznej.

Adolf Hitler, do końca swoich dni wielki miłośnik słodczy oraz herbaty i mleka, z alkoholu tolerował – i to tylko okazjonalnie – piwo, które... dosładzał cukrem. W czasach prosperity dania, które mu podawano, składały się zaleźnie od dnia z zielonej fasolki, grochu, soczewicy, owsianki, tartaletek z pomidorami, płatków zbożowych, sera i bardzo często z ziemniaków ze śmietaną obficie polanych olejem lnianym, stanowiących jedną z jego ulubionych potraw. W Centrum Dokumentacyjnym Obersalzberg, gdzie mieściła się jego bawarska rezydencja Berghof, są wystawiane dwa osobiste jadłospisy Führera, datowane na 4 i 26 czerwca 1943 r. Obiady są raczej lekkie: pomidory, marchewki i ziemniaki, zakropione sokiem wiśniowym pierwszego dnia, a zupa jarzynowa, kasza, kalafior, sałatka i sok wiśniowy drugiego. Kolacje wydają się pożywniejsze: moczone kapary, makaron z żółtek, ser z papryką, chleb z masłem i sok pomarańczowy pierwszego dnia, a sałatka z pomidorów i ziemniaków, makaron, chleb z masłem i sok pomarańczowy drugiego.

Jako zagorzały wegetarianin w czasie przyjęć prowokował mięsożerców makabrycznymi dowcipami. Jeśli na stole królował tłusty bulion, mówił o... wywarze z trupa. Jeśli podawane były raki, serwował historyjkę o pewnej wiekowej damie wrzuconej przez wnuki do rzeki w charakterze przynęty na te skorupiaki.

Jean-Bédél Bokassa poza rozpasanymi oficjalnymi przyjęciami prywatnie najczęściej poprzestawał na grillowanym mięsie z liśćmi manioku, codziennym wikkie rodzin ze swojego kraju. Środkowoafrykański dyktator – jak podkreśla Christian Roudaut – nigdy nie był żarłokiem. Od wizerunku świętego, za którego chciał uchodzić pod koniec życia, ogłaszając się „13. apostołem i sługą Chrystusa”, znacznie bardziej oddalała go rozwiązłość. „Ten mężczyzna mający 17 żon, o których wiadomo, i 56 uznanych dzieci zawsze dowodził, że jego apetyt jest raczej seksualny niż kulinarny. Dobrze jedzenie i picie nie stanowią konkurencji dla rozkoszy cielesnych z jednym tylko wyjątkiem: whisky, której będzie wierny przez całe życie”.

Stół ciężki od zagrożeń, był problemem paranoicznego umysłu Nicolae Ceaușescu. Dyktator, przekonany, że Sowieci zabili jego poprzednika stopniowo, dawkami toksycznego promieniowania, nie ufał zawartości swojego talerza. Posiłki wodza były laboratoryjnie testowane i przewożone w zaplombowanych, chłodzonych pojemnikach zawierających również podstawowe produkty, takie jak masło, mąka, sól, oliwa, ocet, oraz ulubione steki Ceaușescu.

Nim stał się prezydentem, Saddam Husajn „moczył chleb w jogurcie na modłę swoich przodków”. Lubił też posiłki na świeżym powietrzu. Do śniadania, zasadniczo złożonego z chleba i miodu, pił mleko wielbłądźcy sprowadzane ze wsi. Jednak w latach 70. ta „wschodząca gwiazda partii Baas, musiała się wyzbyc złych manier albo za takie uważanych”. Jak pisze Roudaut: „Jego wypielegnowane ręce zabójcy w końcu poskromiły sztuce z masywnego srebra, chociaż rączki ubożego dziecka częstowały się wprost z rodzinnego półmiska. Odtąd wycieranie tłustych palców w obrus lub w tunikę stało się zakazanym nawykiem. Jego zwyczaję przy stole musiały odzwierciedlać wizerunek młodego, nowoczesnego przywódcy, wyrafinowanego i oświeconego, takiego, jakiego chciał, by w nim widziano, zarówno w Iraku, jak i za granicą”.

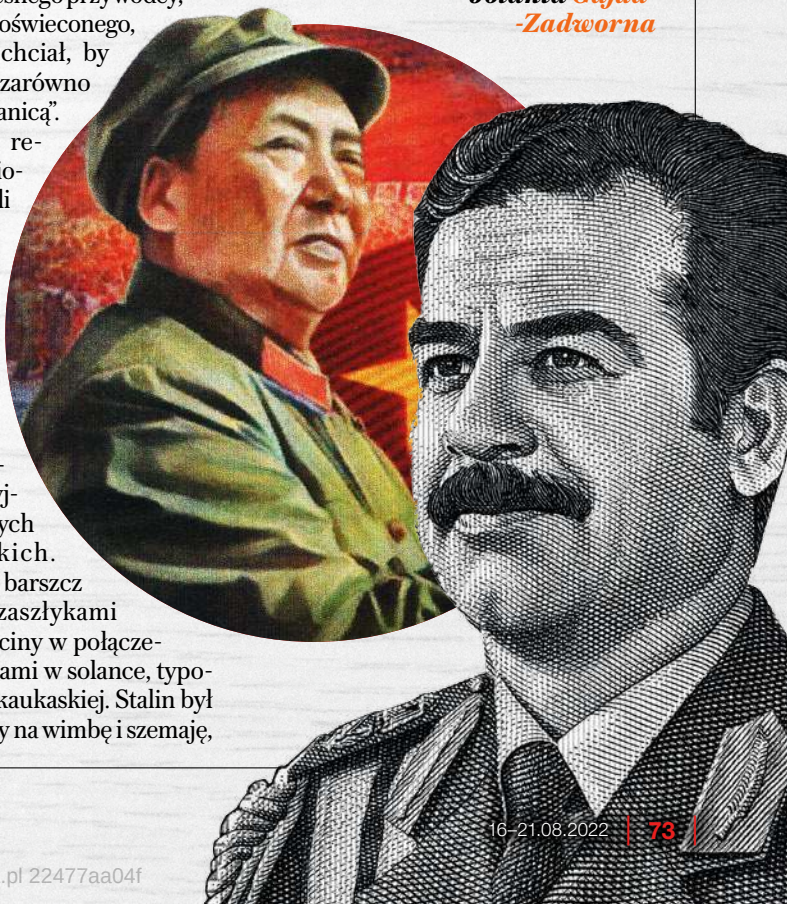
Z rodzinnego regionu Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili wyniósł silny akcent i wyraźne upodobanie do kaukaskiej kuchni bogatej w smaki i przyprawę. Jego stół ozdabiała mieszanka tradycyjnych potraw rosyjskich i wykwinnych dań gruzińskich. W menu rosyjski barszcz sąsiadował z szaszłykami z mlecznej jagnięciny w połączeniu z serami i ziołami w solance, typowymi dla kuchni kaukaskiej. Stalin był też szczególnie łasy na wimbę i szemaję,

dwie małe rybki o kruchym mięsie, które spotyka się w Gruzji i na południu Rosji. Zesłanie na Syberię pozwoliło jego podniebieniu zapoznać się z przysmakami, w które obfitują zimne wody tamtejszych rzek i jezior. „Jesiotr, sterlet, nelma (łosoś syberyjski) należały do smakolików, które grube palce aparatczyków zaproszonych do stołu Stalina łapczywie wpychały do ust pełnych sloganów, wznosząc kieliszki z wódką za zdrowie wyklętego ludu ziemi i tych, których dręczy głód”.

O stole Stalina Roudaut pisze, że przypominał „makabryczną grę w gorące krzesła”. W swoich wspomnieniach Nikita Chruszczow cytuje takie oto pokolacyjne zwierzenia Nikołaja Bułganina, dawnego czekisty, który został czołowym przywódcą partyjnym: „Siadamy przy stole Stalina jak przyjaciele, ale wstając od niego, nigdy nie wiemy, czy wrócimy sami do domu, czy też zostaniemy zaproszeni na przechadzkę po więzieniu”.

Celnym podsumowaniem trudnej do zapomnienia mieszanki uczt, którą Christian Roudaut przygotował czytelnikom, jest zdanie: „Potrawy i dekoracje się zmieniają, ale strach nigdy nie wychodzi z menu...”

Jolanta Gajda-Zadworna





SŁODKO-SŁONY

Placek ze śliwkami

ANNA MONICKA

Każda rodzina ma swoje opowieści z dreszczykiem i czarne owce, których wybryki elektryzują młodzież nawet po latach. U mnie prym w tych klechdach wiodła zawsze pleć piękna. Do dziś podziwiam zdjęcie pięknej praprababci, która uciekła od męża w czasach, gdy cnotą niewieścią było trwanie przy brutalu i awanturniku. Druga, kształcona w ruskim zaborze, nigdy nie kleła po polsku. Za to gdy przechodziła na rosyjski, natychmiast rozwiązywał jej się język, a repertuar miała ponoć nieelichy. Przydały jej się te umiejętności w 1944 r., gdy Armia Czerwona stanęła na prawym brzegu Wisły, a w rodzinnym świdermajerze rozpanoszył się na kwaterze powar któregoś z generałów. Zajął babcią kuchnię, czym doprowadził starszą panią do potwornej furii, wymyślała mu więc od swoloczy i skatin. Moja babcia zapisała się na kartach rodzinnego pamiętnika tym, że była damą. Nigdy nie słyszałam, żeby skalała się przekleństwami, ale... gdy kiedyś w nocy napadł ją bandyta, próbujący wyszarpać torebkę, ta drobna i elegancka osóbką sprąta go tak parasolem, że zwiewając, pogubił buty w lesie.

Jej córki też wyrosły na niezłe ziółka, zwłaszcza jedna, moja ulubiona ciotka. Pobierała nauki w szkole u zakonnic, które Bogu dziękowały, gdy wreszcie opuściła szacowne mury – wcześniej spaliła bowiem pół dachu. Przez przypadek, po prostu wyrzucała niedopałki papierosów do wentylacji i stało się! Przymuszona do upieczenia ciasta, które miało być podane w czasie podwieczorku urządzonego dla koleżanek babci, ciotka owszem, upiekła placek, ale na wierzchu ułożyła ze śliwek słowo „gówno”. Była z tego wielka draka, babcia, lamentując, kombinowała, jak tu pokroić nieszczęsne ciasto i ułożyć na porcelanowej paterze, żeby paniusie nie zorientowały się, o co chodzi. Na szczęście dało się placek przypudrować cukrem. Wyszedł podobno smaczny. Oto przepis.

Pięć jaj, poszklance mleka, oleju i cukru, pięć szklanek mąki i małą kostkę rozkruszonych drożdży wsypujemy do miski, mieszamy i odstawiamy na noc do lodówki. Rano wlewamy do formy i układamy na wierzchu dowolny wzorek ze śliwek, posypujemy cukrem i pieczemy w 170 st. C około godziny. ▀



WILCZYM OKIEM

Wieści z kurnika

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kolega hoduje kury zielononóżki. Zawsze kiedy rozmawiamy, przynajmniej część rozmowy dotyczy kur i różnych kwestii nieco obocznych, ale związanych z hodowlą i zawsze bardzo interesujących. Np. pszenica – jesienią ub.r. kolega kupował dla swoich kur pszenicę w cenie 850 zł za tonę. Teraz spodziewa się, że kiedy zapas mu się skończy, pszenicę kupi w cenie 1550 zł za tonę – niemal dwukrotnie drożej. A może ceny będą jeszcze wyższe?

Druga sprawa, która pojawiła się przy okazji rozmów o zielononóżkach, również jest warta uwagi.

Kolega w swojej hodowli stawia na samowystarczalność w kwestii odnawiania stada. Inaczej mówiąc, nie kupuje kurcząt, tylko rozmnaża swoje kury. W pierwszej chwili wydaje się to proste. Kury znoszą jajka, wystarczy części nie zebrać i będą kurczętą. No więc wcale nie jest to proste.

Pierwszym i zasadniczym problemem jest fakt, że kury nie chcą wysiadywać jajek. Owszem, znoszą je. Nie interesują się jednak ich dalszym losem albo zaczynają wysiadywanie i szybko zaprzestają. Kolega prowadzi hodowlę w sposób bardzo naturalny i ptaki mają możliwość życia niemal tak, jak żyją dzikie ptaki.

Nie pomagają nawet przymuszanie kur do wysiadywania, np. przykrywanie ich skrzynką, kiedy siedzą na jajkach. Kiedy skrzynkę się zdejmie, kury porzucają jaja.

Zielononóżki, o których mowa, pisklętami już wykłutymi zajmują się bardzo chętnie i umiejętnie, przy czym młodszym kurom w wodzeniu piskląt pomagają starsze. Żeby doprowadzić do tego etapu, konieczna jest jednak interwencja człowieka, a mianowicie zastosowanie inkubatora i sztuczne wykłucie (co również nie jest takie proste i wymaga wprawy) i dopiero później przekazanie piskląt matkom.

Kiedy obserwuje się dzikie ptaki na gnieździe, widać, z jakim namaszczeniem i poczuciem misji zajmują się jajami. Wydawać by się mogło, że wysiadywanie jaj jest bardzo silnym ptasim instynktem. Czy fakt, że zielononóżki kolegi nie wysiadują, wynika z jakiegoś nieznanego szczegółu ich biologii? Czy wywodzą się od kur, które od pokoleń były hodowane w warunkach sztucznych i dlatego straciły umiejętność wysiadywania? A może to kwestia czasu i w następnych pokoleniach uda się tę zdolność odtworzyć? ▀

O co chodzi w tej piłce?

To pytanie zadaje coraz więcej kibiców, patrząc na sagi z kolejnymi gwiazdami, które są elementami przetargu miliardarów, stających w szranki na transferowym rynku. Jakieś eufemistycznie nazywane dźwigniami machinacje finansowe, które bankrutów przemieniają w krezusów (vide: Barcelona), całe państwa stające za klubami (Katar w przypadku Paris Saint-Germain), które omijają zasady panujące w Unii Europejskiej. Regulacje poszczególnych lig, których najpierw twardo się trzyma, a później odpuszcza w zależności od tego, kto pyta...

Piłkarski biznes wszedł na tak niewyobrażalny poziom komplikacji, że trudny jest do ogarnięcia przez przeciętnego kibica. Zrobiła się z tego jakaś nowa dziedzina. Połączenie matematyki, hochszaplerki, wygibasów instytucjonalnych, kreatywnej księgowości i polityki.

Hiszpański milioner, prezydent Realu Madryt, Florentino Pérez, od lat marzył, by ściągnąć do klubu Francuza Kyliana Mbappé. Tego lata był naprawdę blisko, wcześniej zgromadził 200 mln euro na transfer, ale PSG nie odpuszczało. Gdy napastnikowi skończył się kontrakt, uderzył do mamy Kyliana i oprócz bajecznego kontraktu na lata zaproponował nawet jednorazową wypłatę premii w wysokości 130 mln euro za całkowite zrzeczenie się praw do wizerunku, a także tzw. wynagrodzenia pobocznego. Nikomu wcześniej czegoś takiego nie oferowano.

I Katarczycy, stojący za klubem z Paryża, dopieśli swego. Przekonali rodzinę Mbappé, by ta nie opuszczała stolicy Francji. Zapłacili więcej, niż obiecywali Hiszpanie. Oczywiście z pominięciem narzucanego przez UEFA finansowego fair play. Oczywiście, że nie znajdują się na to żadne dowody, bo Katar nie należy do UE i zapłaci rodzinie Mbappé w dowolny sposób. Według wiarygodnych informacji chłopak z paryskiej IX dzielnicy za podpis na kontrakcie skasował 300 mln euro, a za sezon ma zarabiać 50 mln euro netto!

Jak to możliwe, skoro katarscy właściciele PSG poprzedni sezon zakończyli



CEZARY KOWALSKI

ze stratą finansową sięgającą 300 mln euro? Co na to UEFA, która ponoć dba o transparentność finansów? Nic, bo też jest zależna od katarskich pieniędzy, a prezydent Nasser al-Khelaifi to przecież od lat prominentny jej działacz. Hiszpańska La Liga wytoczyła już w tej sprawie proces Katarczykom, ale mało kogo on obchodzi. UEFA bywa stanowcza, twardo zwalcza rasizm, ale toleruje korupcję we własnych szeregach, a bogatym pozwala na więcej.

A co może 23-letni Mbappé? Podobno to on sprawił, że robotę w PSG stracili Mauricio Pochettino (trener) i Leonardo (dyrektor sportowy).

Jeśli stwierdzenie, że praktyki tego francuskiego klubu są obrazem dzisiejszej piłki nożnej, jest przesadą, to tylko nieznaczna.

Ale krytyka arabskich szejków jest tylko zasłoną dymną dla europejskich milionerów, którzy też mało się liczą ze standardami UEFA i krajowymi przepisami. Najlepszy przykład to prezydent Barcelony Joan Laporta, o którym wiele się teraz u nas pisze, bo to on sprowadził do katalońskiego klubu Roberta Lewandowskiego.

Pod koniec sezonu 2021/2022 wydawało się, że Barcelona jest na dnie. Wysokość jej długu wynosiła 1,35 mld euro. A na kilka dni

przed rozpoczęciem sezonu 2022/2023 pobiła transferowe rekordy. Kupowała drogo i wszędzie. Jak to możliwe? Laporta uruchomił słynne dźwignie finansowe, czyli w kolejnych etapach wyprzedawał części aktywów Barcelony, które przynosiłyby zyski w przeszłych latach. Sprzedał m.in. 25 proc. praw telewizyjnych na najbliższe 10 lat.

Ale przecież to powiększanie długu, przełożenie na przyszłość płatności za bieżące zakupy. A wszystko to w trudnym czasie recesji, kiedy większość klubów, jeśli nie oszczędza, to wydaje bardzo ostrożnie. A przecież Barcelona była uważana za bankruta, z tego powodu rok temu musiał odejść z klubu Leo Messi.

A teraz Barca Laporty błyskawicznie stanęła na czele inwestorów. Z szalonymi kwotami wydanymi na RŁ9 i Raphinha, a także Koundé, Kessiego, Christensena, spodziewanego Marcosa Alonsa czy przedłużenie kontraktów z Sergim Roberto i Dembélé.

Wskreszenie Barcy kosztowało 868 mln euro, tyle Laporta miał wygenerować dzięki wspomnianym dźwigniom.

Rozsądek nakazywałby umiar i rozwijanie drużyny w oparciu o świetnych młodych graczy, w tym wychowanków klubu. Ale Laporta wołał sprzedać przyszłe aktywa i rzucić się w wir zakupów. Bo piłka to karuzela gwiazd. Choć prezydent Barcelony jest oklaskiwany, mało kto zwraca uwagę na zagrożenia płynące z jego finansowej ekwilibristyki. Przecież to wszystko może po prostu runąć tak szybko, jak powstało.

Jeśli mu się uda i machina zadziała, Barcelona znów będzie triumfować, powinien otrzymać Nagrodę Nobla z ekonomii, bo zamienił kryzys w dobrobyt. Bardziej realna ocena jest taka, że Laporta nie jest geniuszem finansów, ale raczej likwidatorem... Jak będzie, zobaczymy wkrótce.

A my nadal zadajemy sobie pytanie, o co chodzi w tej piłce.

Autor jest komentatorem Polsat Sport





W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Cyfrowe zombi

Młodzi często imponują siłą witalną, urodą, radością życia. To jednak tylko pierwsza odsłona. Drugą można zaobserwować, kiedy rozpoczniemy z nimi rozmowę. Wtedy jest już mniej optymistycznie. Ich problem stanowi nawet nie konieczność wchodzenia w dorosłe życie, budowanie samodzielności i zdobycie pracy, ale pewien rodzaj zagubienia, który płynie z braku motywacji do pracy i działania. Wiedzeni instynktem i naturalnym pędem życiowym mają trudność, gdy zaczniemy pytać o świat ich wartości i szeroko rozumianej aksjologii.

Słowo „autorytet” w ich cyfrowym języku to raczej już tylko ekspert albo specjalista. Do tego dorzucają nie rzadko postacie uznane za znawców tematu przez media, których są użytkownikami. Nie chodzi tu o media tradycyjne, audiowizualne, ale media cyfrowe, nielinearne. W sytuacji nagłego zdarzenia zwykle sięgają do sieci. Często nie znając nazwy portalu czy stron internetowych. Strony wskazuje wyszukiwarka lub algorytm i po chwili wszystko gotowe. Są przekonani, że otrzymują obiektywną informację. Nawet przez myśl im nie przejdzie, że wiadomość jest wcześniej odpowiednio sformatowana i sprofilowana.

PROCESY E-MIGRACJI

Starsze pokolenie wciąż pozostaje wierne tradycyjnym mediom – prasie, radiu telewizji. Młodzi zaś korzystają niemal wyłącznie z sieci. Już nawet nie czerpią z internetu, ale egzystują w jego środku. Fosforyzujące i przesuwające się kadry w okienku smartfona są ich drugim, a czasem nawet pierwszym sposobem kontaktu z materią życia. Często ze smartfonem przy poduszce budzą się i z nim – w trybie online – zasypiają. Sprawdzając jeszcze na chwilę przed zaśnięciem, czy coś ich nie ominęło, choć w ciągu całego dnia trwali w trybie sieciowego czuwania i komunikowali się non stop w mediach społecznościowych.

Jakie skutki niesie ta forma sieciowego zassania i ucieczki z realnej rzeczywistości? To ostatnie bywa nazywane e-migracją i stanowi rodzaj życiowego eskapizmu z codzienności, a także całkowitego porzucenia dotychczasowych wzorców i modeli wartości. Cyfrowa rewolucja kształtuje ich niemal od urodzenia, rosną razem z nią. Nie wyobrażają sobie innego sposobu bycia. Życie i historia przed erą cyfrową nie budzą ich zainteresowania. Utrata kontaktu z siecią powoduje stres, zachowania agresywne i narastający niepokój.

Organizm podobnie reaguje w sytuacji nagłego zagrożenia życia i zdrowia, np. w chwili pozbawienia powietrza i możliwości oddychania.

Pokolenie dzieci zombi wychowali jednak ich rodzice i są za ten stan odpowiedzialni. Sami, choć starsi, nie rzadko są równie nieodpowiedzialni i infantylni. Pozbawieni wzorców i autorytetów. Jak mają wskazać je własnym dzieciom? A dzieci, otrzymawszy rodzaj cyfrowej lampy Aladyna, wyruszyły w samotną wędrówkę – poszukując beładnie i porzucając, nie wiedząc kiedy, własnych rodziców.

Cyfrowe błąkanie się jest podtrzymywane przez iluzję kontaktu z całym światem. Wszystko w skompresowanym czasie i skompresowanej przestrzeni. To pokolenie Y lub milenialsów, ale to tylko nazwy, chodzi tu o rodzaj istnienia i budowania własnej tożsamości.

MIESZKAŃCY SMARTFONA

Media społecznościowe to intensywny kontakt z rzeczywistością – choćby przez lalki. Konsumpcja to kolejna oznaka życia. Zdobywanie towarów widzianych w cyfrowym świecie. Połykają strategię marketingowe, żeby podsyć swój narcyzm, lenistwo, egocentryzm. I oczywiście przeświadczenie o własnej

nadzwyczajności. Elastyczni, szybko dostosowują się do nowych marek i propozycji przyjaciół z Facebooka. Nie biorą kredytów ani nie oszczędzają. Przede wszystkim chcą wydawać. Sygnały o sobie wysyłają przez marki telefonów, ubrań, butów, knajp, w których przesiadają. Ale najchętniej przebywają w centrum szkolno-zawodowego i prywatnego dowodzenia, czyli w smartfonie. Jako elektroniczni nomadzi wszędzie czują się dobrze, byle otoczenie było cyfrowe.

Samo słowo „autorytet” brzmi więc tu mało dorzecznie. Odwołuje się bowiem do wartości. Ktoś obdarzony autorytetem budzi uznanie i podziw. Swoich wartości nie zachowuje dla siebie ani nie zmienia ich pod wpływem koniunktury czy politycznych przesileń. Ma własne przemyślenia i sposób postrzegania świata. Jest konsekwentny, stabilny, koherentny w osiąganiu dobra nie tylko własnego. Cyfrowy młodzian rzadko szuka takiego świata. Choć nie znaczy, że go nie pragnie i nie potrzebuje. Jest przede wszystkim łatwy do złowienia. Naiwny, słucha wynurzeń gwiazdeczek Instagrama, TikToka i YouTube’a. Dobrze, jeśli nie ulegnie choremu, bezkrytycznemu wsłuchiwanemu się w przypadkowego guru od odżywiania, ubierania czy niezdrowej fascynacji seksualnej. Zwłaszcza że koledzy i rówieśnicy są dokładnie tacy jak on. Łacińskie *auctoritas*, czyli autorytet, powaga, co oznacza rangę umysłową i moralną, ma tu niewielkie znaczenie. Cyfrowy świat nie sie raczej mentalne rozchwianie, chaos i ciągle apetyt na więcej i w nową, coraz bardziej niecodzienną odsłonięciem.

Krajowy Instytut Mediów, prowadzący analizy dotyczące korzystania przez Polaków z radia, telewizji i internetu, w swoich niedawnych badaniach wskazuje, że ze smartfonów korzysta ok. 43 proc. dzieci w wieku od czwartego do dziewiątego roku życia. Dziecko w tym przedziale wiekowym obcuje z ekranem smartfona, tak absorbującym jego uwagę, z trudem przyjmuje wszelką kontrolę rodzicielską i limity związane z użytkowaniem telefonu. Dzieci w tym przedziale wiekowym także bardzo chętnie bawią się tabletem – 27,9 proc. Z konsoli do gier najchętniej korzysta (25,8 proc.) grupa wiekowa między

10. a 15. rokiem życia. Ta sama grupa z telefonu komórkowego korzysta już w blisko 92 proc. A między 16. a 24. rokiem życia ze smartfona korzysta jeszcze większy procent, bo już 98,1.

W USA tablety dla niemowląt cieszą się wielką popularnością. Wyniki ankiety z udziałem 900 rodziców wskazały, że połowa dzieci poniżej pierwszego roku życia ogląda telewizję, 36 proc. obsługuje ekran dotykowy, 15 proc. korzysta z aplikacji, a 12 proc. gra w gry komputerowe. 72 proc. rodziców pozwala swoim niemowlętom bawić się mobilnym urządzeniem cyfrowym, kiedy oni wykonują obowiązki domowe, a 65 proc. uważa, że takie urządzenie niemowlę uspokaja i ułatwia mu zaśnięcie.

Niemiecki neuropsychiatra Manfred Spitzer mówi o cyberchorobach i epidemii smartfonów. Opisuje, jak cyfrowe życie rujnuje zdrowie

EPIDEMIA ALZHEIMERA

Czy można wystawić młodego człowieka na bezwzględność cyfrowego świata i zanurzonego w nim porzucić? A ten pochłania nie tylko osamotnionych młodych. Dziecko w wieku lat siedmiu potrafi już odróżnić rzeczywistość wyobrażaną na ekranie monitora od świata, który go otacza. Problem pojawia się wtedy, gdy zaplątani w cyfrowe sieci, nie chcą się z nich wydobyć. I z coraz większym trudem funkcjonują poza nimi.

Niemiecki neuropsychiatra Manfred Spitzer mówi o cyberchorobach i epidemii smartfonów. Opisuje, jak cyfrowe życie rujnuje zdrowie. I ostrzega przed społecznymi konsekwencjami nowych technologii. Wskazuje na skutki nadużywania cyfrowych narzędzi. Przede wszystkim cielesne, takie jak: nadwaga, wady postawy, choroby oczu (głównie krótkowzroczność), nadciśnienie, zaburzenia snu, ryzykowne zachowania (wypadki drogowe), choroby przeno-

szone drogą płciową. A także skutki umysłowo-psychiczne, m.in.: różnego rodzaju lęki, mobbing, zaburzenia koncentracji i uwagi, zaburzenia ekspresji słownej, ograniczona wydajność umysłowa, słabsze wykształcenie, zaburzenia depresyjne, zmniejszone współczucie i współodczuwanie, brak empatii, ograniczona satysfakcja życiowa, uzależnienia nie tylko od technologii cyfrowych, ale też wszelkie inne. W efekcie po latach mamy do czynienia z epidemią chorób związanych z zespołem otępiennym.

POWRÓT DO KLASYCZNEJ EDUKACJI

W tej sytuacji wyjściem może być budowanie systemu edukacji polegającego nie na pogłębianiu informatyzacji programów kształcenia najmłodszych, ale przeciwnie. Redukowaniu cyfrowych narzędzi w procesie nauczania. Tak jak to już od dawna dzieje się w wielu elitarnych szkołach amerykańskich i europejskich. Na ćwiczeniu w pierwszych latach edukacji umiejętności pisania stalówką i atramentem, nauce kaligrafii, sztuki rysunku, czytania ze zrozumieniem, klasycznego rachowania, zadań ćwiczących sztukę zapamiętywania oraz starannej dykcji i wymowy. A także nauce gry na instrumentach muzycznych, tańca, języków obcych, uprawianiu sportu, w tym jeździectwa. A na poziomie średniej edukacji powrotu do nauki łaciny.

Ostatnie badania dowodzą bowiem, że klasyczny, XX-wieczny sposób edukacji jest najskuteczniejszy. Sprzyja osobowej kreatywności i zdrowiu psychicznemu. Prowadzi zarówno do pogłębienia wyobraźni, jak i umiejętności stosowania zasad klasycznej logiki arystotelesowskiej. A więc zdolności łączenia przyczyny i skutku oraz aksjologii w oparciu o zasady: prawda – kłamstwo. Co oznacza powrót do świata klasycznych wartości. Do uniwersalnej triady podtrzymującej istnienie w poczuciu harmonii i sensu życia: prawdy, dobra i piękna. ▀

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

Sierpniowe dni

Powojenne dziesiątki lat zniewolenia komunistycznego odcisnęły się piętnem na kolejnych pokoleniach i bardzo trudno będzie odbudować przedwojenne myślenie o sprawach dla Polski najważniejszych, a jeszcze trudniej zjednoczyć cały naród w imię wspólnego dobra – pisał Gustaw Herling-Grudziński w swoim „Dzienniku pisanym nocą”. Dzisiaj smucą i przerażają zachowania przeciwników rządu Prawa i Sprawiedliwości, tzw. totalnej opozycji, na czele z takimi ludźmi, jak Donald Tusk, Radek Sikorski, marszałek Tomasz Grodzki, Borys Budka, Róża Thun, Janusz Lewandowski i inni wynajęci zajadli ujadacze, dla których im gorzej dla Polski, tym lepiej dla nich. Robią wszystko w Unii Europejskiej, żeby zablokować należne nam środki finansowe, działają na szkodę Polski, a wrogowie ze wschodu i zachodu zacierają ręce.

Na naszych oczach toczy się walka o prawdę. Mocne państwo można zbudować jedynie na prawdzie i sprawiedliwości. „Niczym Sybir – niczym knuty i cielesnych tortur król! Lecz narodu duch otruty – To dopiero bólów ból!” (Zygmunt Krasiński). Jest jednak wielka siła w narodzie polskim oparta na korzeniach chrześcijańskich.

Wydawałoby się, że miesiące wakacyjne to leniuchowanie, plażowanie i biesiadowanie, a tymczasem właśnie teraz z najdalszych zakątków Polski, wszystkimi drogami idą pielgrzymi na Jasną Górę do Królowej Polski. I tak od wieków nieprzerwanie. „W tradycji jest siła narodu. [...] Tradycja chrześcijańska nie jest w Polsce tylko zewnętrznym kolorytem, celebracją, jak piszą niektórzy, ale potrzebą serca, głęboko zakorzenioną w wierze, w szczerym umiłowaniu Matki Jezusa, naszego Zbawiciela, Królowej Polski. To jest w sercach moich rodaków zapisane na wieki – nie poddać się, nie oddać wiary i ziemi ojczystej” – napisała w swoich pamiętnikach wielka patriotka i pisarka Zofia Kossak-Szczucka. Zmienił się świat – nowoczesność, technika, XXI w., liberalizm, moda na życie, jakby Boga nie było – a my idziemy, śpiewamy o Bogu, modlimy się, bo pragnienia ludzkich serc pozostały w głębi niezmiennie. Polskie drogi są pełne pielgrzymów, idą pieszo, jadą na rowerach, różnymi środkami, coraz więcej młodych ludzi wybiera pielgrzymowanie, a także rekolekcje klasztorne jako sposób na wakacje, czas na zamyślenie, poznanie Ewangelii.

Często nie mają takich tradycji w rodzinie, sami poszukują czegoś więcej niż zwykła egzystencja, chcą inaczej żyć, odnaleźć sens i prawdziwą radość. Opisują swoje przeżycia na różnych blogach, stronach internetowych i gdy się to czyta, można lepiej zrozumieć innych, a szczególnie młodych, ich potrzeby, oczekiwania od świata dorosłych, rodziców, wychowawców.

„Gdy stanęłam przed obrazem Matki Bożej, widziałam, że patrzy na mnie tak, jakby czekała, że kiedyś do Niej przyjdę. Poczulałam tyle siły i radości w sobie, że już zmęczenie szybko odeszło. To było coś pięknego! Bóg naprawdę jest, Jezus żyje!”. A ktoś inny napisał krótko: „Przyszedłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył”.



**Alina
Czerniakowska**

Pielgrzymując, odnajdują swoje miejsce na ziemi, odkrywają, że z Bogiem można pokonać wszystkie trudności. Prof. Józef Garliński z Londynu napisał w swojej książce „Walczący Oświęcim”: „Żeby przeżyć to piekło, trzeba było mieć dwie rzeczy – silną wiarę w Boga i miłość kogoś bliskiego, oczekującego naszego powrotu”. Myślę, że dzisiaj też trzeba mieć te dwie rzeczy, „by być silniejszym od warunków, by iść pod prąd, nie załamać się, by się przedwcześnie nie wycofać” – jak mówił nasz wielki rodak, św. Jan Paweł II.

Zawsze 14 sierpnia myślę o niezwykłym duchownym, jedynym takim w historii, Maksymilianie Kolbemie, którym był niemiecki obóz śmierci w Oświęcimiu, dobrowolnie oddał życie za nieznanego skazańca. O Maksymilianie siedl w więziennym pasiaku jak człowiek świadomy wielkiej misji, stanął przed oficerami niemieckimi. „Czego chce ta polska świnia?” „Ich will sterben für ihnen” (Chcę umrzeć za niego). I wskazał lewą ręką na stojącego obok Gajownicza. „Jestem polskim księdzem katolickim”. O Maksymilianie, mimo iż wiedział, jak Niemcy traktują polskich księży, nie bał się przyznać do swojego kapłaństwa. Zapanowała wtedy nieznośna cisza. Wreszcie stało się coś, czego do dzisiaj nie mogą zrozumieć ani Niemcy, ani więźniowie. Kapitan SS, który zawsze zwracał się do więźniów bardzo wulgarnie, zwrócił się do o. Maksymiliana per „pan”: „Warum wollen Sie für ihn sterben?” (Dlaczego pan chce umrzeć za niego?). Maksymilian Kolbe skazany na śmierć głodową w zamkniętym bunkrze umierał ponad dwa tygodnie (od 29 lipca do 14 sierpnia 1941 r.), oprawcy niemieccy nie mogli pojąć, dlaczego tak długo wytrzymuje, aż w końcu dobili go zastrzykiem z fenolu.

Miał 46 lat, niezwykle zdolny w wielu dziedzinach, dziennikarz, twórca nowoczesnej techniki medialnej, założyciel zakonów na wzór Niepokalanowa w wielu krajach świata, głównie zasłużony i znany w Japonii.

Dokładnie w tym samym dniu w 1920 r. zginął ks. Ignacy Skorupka, warto odwiedzić jego grób na warszawskich Starych Powązkach. Napisy, zdjęcia na zmurszałym piaskowcu, a obok krzyża białe-czerwona flaga, na czołowej płycie tekst podpisany przez rodziców bohaterskiego księdza. „Kawaler Krzyża Wirtuti Militari, obrońca Warszawy, prefekt szkół, opiekun sierot, młodzieży i wygnańców, harcerz, kapelan 236 p.p., prowadząc pułk do boju w obronie stolicy zabity na polu bitwy przez bolszewików w Ossowie pod Radzyminem 14 sierpnia 1920 r., przeżywszy lat 27. Pokój Jego czystej duszy. Najdroższemu Ignasiowi rodzice”. A na bocznej płycie informacja o spoczywającym również w tym grobie rodzinnym bracie ks. Ignacego, Kazimierz, żołnierzu AK, który został zamordowany w wieku 42 lat na Majdanku. Druga tablica na grobowcu jest poświęcona ich ojcu, też spoczywającemu we wspólnym grobie – pracowali dla Polski, a kiedy ojczyzna w potrzebie, szli walczyć.

Bo miłość do Boga i do ojczyzny była wartością nadrzędną, przekazywaną jak pacierz na kolejne pokolenia.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

PRZEZ ŚWIETLIK

Idiokracja



**Wiktor
Świetlik**

Charles de Gaulle, wyzłościwiając się na temat Amerykanów, stwierdził, że można być pewnym, że popełnią oni każdą głupotę, jeśli tylko zdołają ją wymyślić. W naszej szacownej debacie publicznej, ze szczególnym uwzględnieniem ludzi Platformy Obywatelskiej, staje się to zasadą wypowiedzi. W zeszłym tygodniu niejaka posłanka Anna Wojciechowska z PO poinformowała, że PiS zamierza się rozwiązać i wprowadzić stan wyjątkowy.

Poinformowana lepiej niż inni parlamentarzystka nie podała, skąd czerpie swoją wiedzę. No, ale to nie dziwi. Zapoznanie się z jej źródłami byłoby niebezpieczne nie tylko dla nich, ale i dla nas samych. Gdybyśmy dowiedzieli się, skąd wzięła tak piorunującą informację, byśmy zapewne zwariowali. To może unieść tylko tęgi umysł. Pani poseł ma także dowód na to, że sytuacja wygląda tak, jak ją opisała, bo PiS zaprzecza, jakoby miał się rozwiązać i ogłosić stan wyjątkowy, a więc potwierdza to fakt, że tak właśnie będzie. Nie poznaliśmy niestety wyjaśnienia zagadki, dlaczego PiS musi się aż rozwiązać, by wprowadzić stan wyjątkowy, ale zakładam, że i ta wiedza, gdybyśmy ją posiadli, mogłaby nas zabić niczym odebranie telefonu od mordercy w horrorze „Krzyk”. Zresztą pewnie my, maluczcy, byśmy nie zrozumieli.

A po co się tą sprawą, tą wypowiedzią zajmować w ogóle? Bo uważam, że jest ona symptomatyczna. Za sprawą ujawnienia fak-

tów – nie dość, że nikomu nieznanym, to w dodatku istniejących tylko w głowie madame Wojciechowskiej – zyskała ona na kilka dni spory rozgłos. Nie wiem jak państwo, ale ja do tej pory o tej pani nie słyszałem. Teraz słyszę. O wielu osobach zaczynam słyszeć w takich okolicznościach. Tak więc zwiększają się jej szanse na reelekcję, może nawet ten felieton je zwiększa. Mówiąc krótko – wystarczy wypowiedzieć niebotyczną brednię albo zachować się jak najbardziej głupio, by w polityce sobie pomóc. Dała nam przykład Jachira.

Nie będę już nawet rozpisywał się na temat, że za nasze pieniądze. Nie takie rzeczy dzieją się i działają za nasze pieniądze. Problemem jest jednak to, że pani Wojciechowska nie jest wyjątkiem, lecz pewną wypadkową dzisiejszej opozycji, wystarczy spojrzeć na panów Sterczewskiego, Jońskiego czy Szczerbę. Nie mój cyrk, nawet jeśli Sejm go przypomina, nie moi wybrańcy, ale nasza chwilowa bohaterka zapewne już zauważyła, że opowiadanie bredni profituje. Nikt z tego nie rozlicza, wyśmiewają tylko przeciwnicy, a to się nie liczy. Być może kiedyś znajdzie się w rządzie wraz z ludźmi podobnymi sobie. Była kiedyś taka komedia „Idiokracja”. Film wróżba.



**Adam
Ciesielski**

Skowron – geniusz jazzowych klawiszzy

W bezcennej archiwalnej serii jazzowej Polskie Radio przypomniało właśnie Janusza Skowrona (1957–2019), pianistę o wyjątkowej wyobraźni, ulubionego partnera Tomasza Stańki i Krzesimira Dębskiego, członka zespołu Zbigniewa Namysłowskiego i formacji Walk Away

Gryna fortepianie zaczął się uczyć w wieku sześciu lat w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Dzieci Niewidomych w Laskach. Skowron, pochodzący z bliskiej mi, bardzo ujęzłowionej części warszawskiej Pragi (w kamienicy przy ul. Stalowej moim sąsiadem był legendarny saksofonista i bandleader Juliusz Skowroński, z pobliskiego domu wywodził się rewelacyjny pianista Sławomir Kulpowicz, a nieopodal mieszka perkusista Kazimierz Jonkisz), skończył liceum im. Władysława IV i podjął naukę w średniej szkole muzycznej im. Elsnera w klasie organów. Ale jego przeznaczeniem był jazz.

Dostrzegł to jego wychowawca z Lasek, Jacek Kwapisz. Przy pomocy brata, Wojciecha Kwapisza, w połowie lat 70. XX w. pracownika Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, dziś inicjatora i redaktora jazzowych archiwaliów radiowych, zarekomendował Janusza na letnie warsztaty

w Chodzieży. Chłopak okazał się tam rewelacją, wkrótce występował już w zespole Kazimierza Jonkisa, a kolejne oferty składał mu najwybitniejsi liderzy. Dwa lata grania u Zbigniewa Namysłowskiego dokumentują popisowe duety saksofonu z klawiszami w „Without a Talk” i „Five in One”. Krzesimir

Dębski wysoko ocenia kilkuletnią współpracę swojego String Connection z bohaterem płyty, bywającym – mimo niełatwego życia – głównym showmanem zespołu. Najefektowniej wypadają improwizacje zarejestrowane z Tomaszem Stańką. Zarówno w jego kwartecie („Do ciebie szłam” Jerzego Wasowskiego), w zespole Free-electronic (w autorskim temacie „Ha, Ha, Ha”). Nie mówiąc już o mistrzowsko zagranej w duecie kolysance Komedy „Sleep Safe and Warm” z filmu „Dziecko Rosemary”. To jakby magiczny znak od przyjaciół, którzy z szachownicy życia zniknęli niedawno tak szybko, jeden po drugim. Ale ich muzyka jest z nami.



Janusz Skowron Polish Radio Jazz Archives 35, Wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

Złotówka dla onych

Bezmózgowiec, imbecyl, ciemniak, debil, głab, tuman, kurzy mózdzek, kretyn, osioł, szajbus, świr, zakuta pała i co tam jeszcze... – z braku miejsca na tym poprzestanę, bo synonimów dla epitetu „przygłup” jest ze 300. Do kogo?/czego piję? Do pewnego „dziennikarza”, jak sam się określa. Nazwisko pomiję, bo nic nikomu nie powie, a poza tym chodzi mu właśnie o to, by zyskać rozgłos. Ony przyczepił się do red. Bronisława Wildsteina – którego akurat nie muszę przedstawiać – że miał czelność napisać o niebezpiecznym dryfie Unii Europejskiej, czemu trzeba się wespół przeciwstawić lub się z nią pożegnać. A że myślenie nie jest silną stroną onego, więc z jego zaproszenia do rzeczowej dyskusji wysnuł, cytując: „Do coraz dłuższej listy prawicowych przygłupów i szkodników, wzywających do opuszczenia UE, dołącza tym razem Wildstein”.

Trochę więcej mu ony nawrzucał, ale wystarczy to jedno zdanie. Może niewarte byłoby komentarza, gdyby nie fakt, że onych mamy u nas bataliony, przy czym nie chodzi o wojsko, lecz przyrodniczy odnośnik do przelotnego ptactwa, gnieźdzącego się na mokradłach. Poza bananowymi republikami nie ma w świecie takiego wolnego kraju, w którym w rozbieżnościach między własnymi a obcymi interesami, eksponentami zagranicy byłoby



**Piotr
Cywiński**

wręcz kohorty polityków, ludzi sceny, celebrytów czy dziennikarzy. Nie ma takiego drugiego wolnego kraju jak Polska, któremu przy ich wsparciu można byłoby cokolwiek narzucać i nakazywać, co może, a czego nie.

Więc: nie podskakiwać, nie czepiać się gazowej okężnicy Nord Stream, nie rozbudowywać gazoportu i portów kontenerowych, zarzucić projekt CPK, odstąpić od pomysłów o budowie elektrowni atomowych, zamknąć kopalnie węgla, nie regulować Odry dla barek, zasypać przekop Mierzei Wiślanej, nie robić wycinek w puszczy, dopuścić wyznaczonych sędziów do orzekania, innych wyrzucić, nie żądać reparacji za wojnę, wypłacić je Żydom, umożliwić jedнопłciowym parom śluby i adopcje dzieci, otworzyć granice dla imigrantów, nie zbroić się, zerwać stosunki z USA, wara od polskojęzycznych mediów obcych koncernów, a przede wszystkim wybrać jedynie słuszną partię wskazaną przez zagranicę. Aa, i odebrać Wildsteinowi Order Orła Białego!

Lew Tolstoj pisał o takich onych, wyniosłych nielotach, arogantach i ignorantach skorych do pouczenia innych: „Mam ochotę dać im rubla i powiedzieć: »Gdy się dowiesz, ileś wart, wróć i oddaj resztę«”. Rubla nie mam, mogę dać złotówkę z orzełkiem bez korony, z czasów PRL, reszty nie trzeba...

Wolność

15 sierpnia. Święto Wojska Polskiego i rocznica Bitwy Warszawskiej. Dla Polaków kultywujących tradycyjne rozumienie wolności jest to przykład wygranej batalii o niepodległość Rzeczypospolitej. Bo z wolnością jest tak, jak z mickiewiczowskim zdrowiem: cenimy je najbardziej wtedy, gdy je tracimy.

Ludzie żyjący w permanentnym zniewoleniu (podobnie jak zwierzęta urodzone w zoo) nie odczuwają braku swobód tak mocno jak ci, którym je odebrano nagle. Dewizą Polaków pod zaborami było zawołanie: „Za wolność naszą i waszą”. Rosjanie – tresowani od wieków przez krwawy despotyzm (mongolski/carski/komunistyczny) – innego życia nie znali. I może dlatego próbowali odreagować swoje upodlenie, podbijając i ciemiężąc inne narody.

W przeszłości pojęcie „wolność” było definiowane różnie. Sarmackie przywiązanie do swobód nakładało na szlachtę mnóstwo obowiązków, z utrzymaniem wysokiej sprawności bojowej i gotowością do oddania życia w walce. Gdy tego zbra-



**Lech
Makowiecki**

kło, Rzeczpospolita na ponad wiek zniknęła z mapy Europy. Ruch hippisowski, buntujący się przeciw wszystkiemu i wszystkim (w Europie: „Zakazuje się zakazywać”, w Polsce: „Róbta, co chceta”), okazał się naiwną i zgubną utopią. Rewolucja seksualna, powszechny dostęp do narkotyków, uwolnienie się z opresji religii, szkoły, rodziny, próba życia na kredyt społeczeństwa itp. stały się równią pochyłą wiodącą do uzależnień, degrengolady, upadku... I w rezultacie – do jeszcze większego zniewolenia!

Obecnie w świecie trwa proces masowej rezygnacji z wolności na rzecz zapewnienia sobie szeroko rozumianego bezpieczeństwa (socjalnego, zdrowotnego, militarne). Podmiotowość ludzi wolnych jest oddawana za słynną ciepłą wodę w kranie. Sprzyja temu medialna dezinformacja, demoralizacja i drastyczne obniżanie się poziomu szkolnictwa. Tymczasem hodowla ludzi owocuje wszelkimi konsekwencjami tejże. To nie tylko karmienie stada. To również strzyżenie, dojenie go i regulacja stanu pogłowia.

Michał Korsun prezentuje: **Siergiej Ławrow**
czyli jurajska...znaczy rosyjska dyplomacja



Wycinki z przeszłości

Ten sympatyczny, lekko żartobliwy rysunek z „Horyzontów Techniki dla Dzieci” z lipca 1959 r. poruszał ważny temat żniw i techniki, która usprawnia ten proces. „Czy maszyna może zmieniać świat? Ależ oczywiście, właśnie maszyna parowa dokonała tego. Człowiek nie był skrzepowany co do miejsca jej ustawienia. Nie musiał szukać rzeki ani wybierać miejsca, gdzie wieją silne wiatry. Również czas pracy mógł być nieograniczony, aby tylko starczało paliwa, maszyna mogła pracować dzień i noc bez przerwy”.

Dzisiaj maszyny parowe są już tylko w muzeach, także na żniwach rzadko zobaczymy młockarnię. Dominują potężne, wieloczynnościowe kombajny z komputerowym sterowaniem. Ale jedno się nie zmieniło – praca rolnika wciąż jest bardzo ciężka, godna szacunku, choć już inna. **(mk)**



Te „Wiersze wojenne”

„Scenariusz” z wierszy Baczyńskiego jest dziełem autora muzyki, czyli Zygmunta Koniecznego. W sumie powstało arcydzieło. Na podobne określenie zasługuje wykonanie Ewy Demarczyk. Ta pieśń to jeden z najświetniejszych klejnotów z ówczesnej Piwnicy pod Baranami (premiera w Sopocie '65). Na powracający uporczywie motyw wojskowej orkiestry kompozytor nałożył dwie relacje – grozę wojny i równoległy, tragicznie uwikłany w ów czas intymny świat miłości. Potężne wrażenie robiło wykonanie tej piosenki. I to się nie zmienia. Wybrałem dziś fragmenty z tej „lirycznej strony”.



Leszek Długosz

Krzysztof Kamil Baczyński (1921–1944)

*Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała ніс
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior,
zmięrzchu graniem,
aż ukaże jądro mleczne ptasi świst.*

*Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne – obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych
czarny pył. [...]
Kto mi odda moje zapatrzenie
i ten cień, co za tobą odszedł?
Ach, te dni jak zwierzęta mrucząc,
jak rośliny są – coraz młodsze.
I niedługo już – tacy maleńcy,
na lupinie orzecha stojąc,
popłyniemy porom na opak
jak na przekór wodnym stojom.
I tak w wodę się chyląc na przemian popłyniemy nieostrożnie
w zapomnienie,
tylko płakać będą na ziemi
zostawione przez nas nasze cienie...*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ



Tęcza to krótkotrwała mgiełka

Wobec tego, co Putin wyprawia na Ukrainie, można jeszcze mieć wątpliwość co do zagubienia społeczeństw liberalnej demokracji?

Ileż to razy tracimy z kimś dobry kontakt przez nieporozumienie? Ile niepotrzebnych zgrzytów z tego powodu w rodzinie (zrozumieć współczesnego nastolatka!), w pracy, w urzędzie?

Podczas ubiegłorocznych przesłuchań w ramach konkursu chopinowskiego swoją grą ujął mnie pewien Chińczyk. Grał tak, jakby bez kłopotu przeniknął najbardziej skomplikowane kody polskiej kultury zawarte w dziele Chopina. Jeśli muzyka Chopina – dzięki jego geniuszowi – jest ekspresją, przecież swoistą syntezą, złożoności wszak nie tylko polskiej kultury, a ci genialni azjatyccy wykonawcy to przenikają, to musimy zadać sobie pytanie, czy my potrafimy przeniknąć ich kulturę. Czy potrafimy zrozumieć Chińczyka, Japończyka, Maledyzyjczyka? Ten, kto potrafi lepiej zrozumieć, przeniknąć kulturę drugiego, prawdopodobnie zwycięży w starciu cywilizacji.

A przecież bez kompetencji wzajemnego porozumienia niemożliwe jest polubowne współistnienie, a co tu dopiero mówić o takim rozwoju społeczeństw, który przynosi dobro wspólne. Tak, ale co to dziś znaczy „polubowne współistnienie” i „dobro wspólne”?

Swego czasu pewne wrażenie zrobiła na mnie książka amerykańskiego psychologa społecznego Richarda Nisbetta „Geografia myślenia. Dlaczego ludzie Wschodu i Zachodu myślą inaczej?” (po angielsku ukazała się w 2003 r.).

Autor, przywołując liczne badania i eksperymenty, pokazuje, jak bardzo różnią się procesy poznawcze w kulturze zachodniej (zasadniczo amerykańskiej) od myślenia występującego w kulturach azjatyckich – głównie Chin, Japonii i Korei. O ile w kulturach współczesnego Zachodu zwykle zakłada się, że każdy człowiek jest wyjątkowy i niepowtarzalny, to stwierdzenie takie w kulturze Wschodu mocno trąci fałszem.

Nisbett dochodzi do wniosku, że Azjaci dalece częściej niż Amerykanie definiują siebie w sytuacyjnych kontekstach niż w oderwaniu od nich. Jakby nie brali pod uwagę swoistych cech osobowościowych. Nawet o sobie myślą „my”, bo są częścią większej całości. Takie poczucie bycia częścią, nie zaś samoistnym i autonomicznym bytem, jest z kolei obce kulturze dzisiejszego Zachodu. Psycholog zauważa też, że społeczeństwa zachodnie są głęboko socjalizowane w duchu indywidualizmu i przywołuje elementarze, z których uczyły się amerykańskie dzieci, oraz książki do edukacji chińskich dzieci. Pierwsze zdania, na których dzieci amerykańskie uczyły się czytać, opisują czynności wykonywane przez ludzi oddzielonych od innych, np. chłopiec biega, chłopiec skacze. W elementarzach chińskich były to zdania opisujące relacje międzyludzkie, typu: starszy brat opiekuje się młodszym.

Warto nadmienić, że Richard Nisbett powołuje się na podręczniki z lat 60. ub.w. Do jakiej postaci wyewoluowały amerykańskie elementarze dziś? Ile tęczowych książek i podręczników oferuje nam rynek? Zresztą co tu mówić o dalekiej Ameryce, przecież polskie szkoły mają swoje tęczowe piątki, a organizacje pozarządowych spieszących edukować w duchu postępu i najnowszych trendów nie brakuje. Najsmutniejsze jest jednak to, że nie wolno o zagubieniu kulturowym Zachodu nawet dyskutować. Każda najmniejsza wątpliwość dotycząca kwestii LGBT+ otrzymuje łatkę homofobii.

Bo czy patrząc na nierzadko znajdujące na Zachodzie posłuch głosy poparcia czy tylko choćby wątpliwości wobec tego, co Putin wyprawia na Ukrainie, można jeszcze mieć wątpliwość co do zagubienia społeczeństw liberalnej demokracji? Od kiedy ludzie próbowali regulować stosunki z obcymi (dziś mówimy o polityce międzynarodowej albo geostrategiach), jedną z najważniejszych spraw było rozumienie tych obcych (dziś partnerów negocjacji albo wrogów). Przewidywanie ich intencji i działań. Zdaje się, że Zachód przestał sam siebie rozumieć.

Stąd może pęd na oślep w różnorodność społeczną z jednoczesnym zaniebdaniem ram, które tworzą wspólnotę i chronią przed chaosem. Ramy, rozumiane jako tradycja, normy, dobry obyczaj czy tabu, z natury rzeczy nie mogą być superpłynne i nieskończenie negocjowane. Przecież tęcza to tylko krótkotrwała mgiełka.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



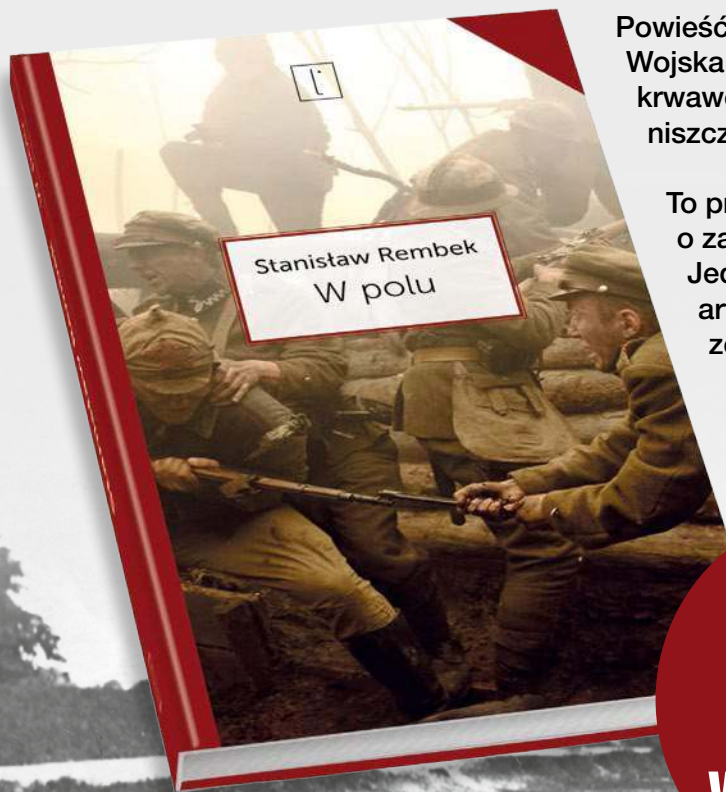
WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

**TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ**

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Powieść „W polu” przedstawia dzieje kompanii Wojska Polskiego w czasie wojny polsko-bolszewickiej: krwawe walki, grozę, brutalność i chaos, ale także niszczący wpływ na ludzką psychikę.

To prawdziwy obraz Polaków, którzy zaciekle walczyli o zachowanie dopiero co odzyskanej niepodległości. Jednym z nich był Stanisław Rembek – ówczesny artylerzysta, a później pisarz, którego książki zekranizowali Andrzej Wajda i Juliusz Machulski.

**100
książek
w prezencie**

Książkę „W polu” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16